

DOBRA POWIEŚĆ KRYMINALNA

Donald E.  
**Westlake**

The book cover features a dark, textured background with a line drawing of a woman lying on her back. Her right arm is raised, and her left hand is near her head. A large, irregular red stain, resembling blood, is smeared across the lower right portion of the drawing. The overall style is gritty and noir.

**Historia  
z haczykiem** *C&T*



18,79

## **CÓŻ ZA INTRYGA! SKOJARZENIA Z HITCHCOCKIEM NATYCHMIASTOWE!**

Było sobie dwóch pisarzy. Jeden biedny, drugi bogaty. Ten bogaty to Bryce Proctor. Ale rozwodzi się właśnie z żoną. I na dodatek przeżywa kryzys twórczy. Choć może to lepiej, bo gdyby teraz napisał powieść i wydał ją – dostałby milion dolarów honorarium. A tym samym byłby żonie trafiłaby się połowa!

Biednym pisarzem jest Wayne Prentice, którego powieści nie są w cenie. Właśnie napisał kolejną, niezłą – odrzuconą, niestety. I spotkał po dwudziestu latach kolegę z czasów studiów, Bryce'a...

A gdyby tak Bryce podał się za autora jego powieści? Wtedy Wayne mógłby liczyć na pół miliona jego honorarium. Pod jednym małym warunkiem: żona Bryce'a musi zginąć...

Pozornie proste, ale gdzieś w tym musi tkwić haczyk...

Donald E. Westlake (1933-2008) to niezwykle płodny pisarz amerykański, znany równie dobrze jako Richard Stark (legendarna sfilmowana powieść „Zbieg z Alcatraz”). Był także cenionym scenarzystą – autorem słynnej adaptacji „Naciągaczy” Jima Thompsona. Trzykrotny zdobywca Edgar Award był w gatunku powieści kryminalnej tym, o którym zwykło się mówić „urodzony pisarz”. Zawdzięczał sławę nie tylko oryginalnym intrygom, ale i żywym dialogom, których wyśmienitą próbkę mamy w „Historii z haczykiem” – jednej z jego późniejszych powieści, sfilmowanej (2004) przez Thomasa Vincenta.



44700  
69/5  
1001

25 zł



**Donald E. Westlake**

# Historia z haczykiem

Przekład: ŁUKASZ MAŁECKI

<

Pamięci Gary'ego Salta, wspaniałego przyjaciela, szanowanej agenta literackiego, podpory Zachodniego Wybrzeża, sprzymi rzeńca przez 22 lata, który zmarł na raka w wieku 53 lat. Moi zdaniem stanowczo zbyt młodo.  
Żegnaj, Gary

Bryce zanotował: „Kirgistan. Złóża mineralne zawierają złoto. 95% w zasięgu pasma górskiego Tien Shan. Stolica: Biszkek”. Następnie odłożył pióro na podkładkę i zaczął wertować leżącą na stole książkę w poszukiwaniu kolejnych informacji na temat pasma Tien Shan. Ta nazwa brzmiała surowo, idealnie pasowała dla tła akcji.

W dziale naukowym Biblioteki Manhattańskiej Bryce'a otaczały tuziny innych odludków studiujących książki i robiących notatki. Przebywanie wśród tych ludzi dodawało mu otuchy.

Szept przy uchu: – Pan Proctorr?

No cóż, pomyślał. Obowiązki wzywają. Spojrzał w górę – młody mężczyzna, prawdopodobnie po dwudziestce, chudy i blady, z twarzą zbyt drobną w stosunku do wielkich okularów i z niepewnym uśmiechem, jakby obawiał się odrzucenia.

– Pan Bryce Proctorr, zgadza się?

Bryce kiwnął głową. – We własnej osobie.

– Kocham pana książki, panie Proctorr. Nie chciałbym przeszkadzać...

– W porządku.

Notatnik i długopis fana już czekały, wyciągnięte w stronę Bryce'a. – Czy byłby pan tak miły? Przekleję na mój egzemplarz Dwójki karo, kiedy wrócę do domu.

– Wspaniale, koniecznie proszę tak zrobić. – Bryce chwycił notatnik i długopis. – Jak ma pan na imię?

– Gene.

Uzgodnili pisownię, po czym Bryce napisał: „Dla Gene'a z najlepszymi życzeniami, Bryce Proctorr”.

– Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Miał wrażenie, jakby spał przy tym, patrzył przez zamknięte, lecz przeźroczyste powieki. Gene odszedł, a Bryce chciał powrócić do badań pasma górskiego Tien Shan, ale nie potrafił. Nie obchodziło go pasmo górskie Tien Shan.

To nie działało. Wiedział, że kręci się w kółko, ale doszedł do wniosku, że grzebanie w książkach, a nawet samo udawanie, że w nich grzebie, będzie lepsze od siedzenia w mieszkaniu, oglądania starych filmów, a już z pewnością lepsze od powrotu w środku tygodnia do pustego domu w Connecticut. Tyle że jeszcze nie doszedł do siebie, był tu, ale jakby go nie było, a gniot, którym się zajmował, pozostawał gniotem. Brakowało w nim opowieści.

Czuł się niespokojny i odrobinę samotny, zmierzając przez bibliotekę w stronę wyjścia, kiedy jego wzrok natrafił na coś znajomego. Kogoś znajomego, znajomą twarz, profil znajomej twarzy mężczyzny siedzącego, pochylonego nad grubą książką i wynotowującego adresy do niewielkiego notatnika. Znajoma twarz z przeszłości. Bryce zwolnił nieco kroku i wówczas pojawiło się nazwisko: Wayne Prentice.

Już miał go minąć, ale wtedy pomyślał: Wayne. Co się działo z Wayne'em Prentice'em? Wspomnienia sprzed dwudziestu pięciu lat przemykały mu przed oczami jak stare pocztówki: zawsze w grupie, na zabawach, ściśnięci w samochodach, w parku Jones Beach, w barach, w ciasnych pokojach małych, nieumeblowanych mieszkań. Nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko, ale zawsze łączyły ich dobre stosunki, aż pewnego dnia już się nie spotkali i raptem minęło dwadzieścia lat, ponad dwadzieścia lat. Co przez ten czas porabiał Wayne Prentice? Czy on przypadkiem nie opublikował jakichś książek?

Włosy Wayne'a były rzadsze i staranniej uczesane, niż to pamiętał Bryce, a twarz z profilu wydawała się pełniejsza; aleja też się postarzałem, pomyślał. Obaj nosili bawełniane spodnie, Wayne jasnobrązowe, Bryce czarne, Bryce zdarte tenisówki, Wayne sfatygowane brązowe mokasyny.

Wiatrówka Wayne'a była z mdłozielonej bawełny, Bryce'a z ciemnożółtego zamszu. My nawet przypominamy starych znajomych, pomyślał Bryce. Zboczył w stronę Wayne'a z piórem w lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, notatnikiem w zewnętrznej i z uśmiechem na twarzy. Teraz, kiedy był sławny i rozpoznawano go niemal wszędzie, nie miał problemów z podchodzeniem do ludzi. Zwykle wydawało im się, że już go znają. A Wayne oczywiście już go znał.

– Wayne?

Mężczyzna spojrział w górę; twarz wyglądała na wynędzniałą, oczy posępnie. Ile miał lat? Tyle co Bryce, czterdzieści cztery? Coś koło tego, choć wyglądał starzej.

I rzecz jasna natychmiast rozpoznał starego kumpla. Wygladziły mu się zmarszczki, na twarzy pojawił szeroki uśmiech, a z oczu znikło zamyślenie, gdy skoczył na równe nogi, pozwalając, by jego książka się zamknęła.

– Bryce! Na Boga, skąd się tutaj wziąłeś? Co tu robisz?

– To samo, co ty – odparł Bryce ze swobodnym uśmiechem, mając nadzieję, że nie popełnił błędu. A jeśli Wayne poprosi go o pieniądze? – Grzebię w książkach. Wciąż powtarzam mojemu redaktorowi, że w końcu uprawiam fikcję literacką, więc mógłbym wszystko zmyślać, ale nie, teraz każdy wymaga, żeby szczegóły się zgadzały. – Skinął w stronę rocznika, który przeglądał Wayne. – Na pewno wiesz, o czym mówię.

– Jasne – odparł Wayne, choć na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania.

Nie poprosi mnie o pieniądze – stwierdził Bryce – a jeśli nawet to zrobi, spławię go drobnymi.

– Masz ochotę na przerwę? – zapytał.

– Dlaczego nie – odpowiedział Wayne.

– To chodźmy na drinka.

Bar wyglądał staromodnie, z ciężkimi, ciemnobrazowymi ławami i podróbkami lamp Tiffany o łagodnym, przygaszonym świetle, jakby zaprojektowano go dla cudzołożników, chociaż na około tuzin gości siedzących tu we wtorek o czwartej po południu składali się wyłącznie turyści mówiący językami innymi niż angielski. Kelner, starszy, zgorzkniały mężczyzna o krępej budowie ciała, nie pasował do tego miejsca, jakby stracił właściwszą dla swej postury pracę, a to było jedyne, co potrafił znaleźć.

– Krwawą Mary – zamówił Bryce, po czym wyjaśnił Wayne'owi: – To mój posiłek.

– W takim razie ja też poproszę – zdecydował Wayne.

Kelner odszedł, a Bryce znów się odezwał: – Boże, minęło tyle lat.

– Próbowałem sobie przypomnieć, ile.

– Co najmniej dwadzieścia. Chyba wydałeś wtedy książkę.

Wayne przytaknął. – Prawdopodobnie właśnie wtedy. Zgarnąłem pieniądze i wyjechałem na rok do Włoch, do Mediolanu, prowadzić badania do następnej powieści. Straciłem wtedy kontakt z wieloma ludźmi.

Podano ich Krwawę Mary. Wznieśli toast, po czym Bryce spytał:

– Już nie piszesz? – Na widok skrzywionej twarzy Wayne'a zrozumiał, że zachował się jak skończony głupek. – Przepraszam, czyja...

Wayne pokręcił jednak szybko głową. – Nie, w porządku, nie przejmuj się. Dobre pytanie – czy ja jeszcze piszę?

Bryce nie był przyzwyczajony do tak krępujących sytuacji i zaczynał żałować, że doprowadził do tego spotkania po latach.

– Po prostu nie wydaje mi się, żebym widział ostatnio twoje nazwisko...

– Bo nie widziałeś. – Niespodziewanie Wayne obdarzył go promiennym uśmiechem, jakby zza chmur wyrzało słońce. – Mój Boże, wreszcie mogę komuś wyznać prawdę! Po raz pierwszy mogę powiedzieć całą prawdę.

Wyrzuty sumienia dręczyły Bryce'a coraz boleśniej. – Nie nadażam.

– Spokojnie, to nie potrwa długo – obiecał Wayne. – Nie napisałem jednej książki, napisałem siedem. Pierwsza, Z perspektywy Polluksa, sprzedawała się...

– O właśnie! Próbowałem sobie przypomnieć tytuł. – I tematykę, dodał w myślach Bryce; również ta część niechętnie wyłaniała się z mroków niepamięci.

– ...sprzedawała się lepiej, niż ktokolwiek oczekiwał – dokończył Wayne. – Dzięki czemu zaproponowali mi kontrakt na dwie kolejne książki, i to na dużo lepszych warunkach. One też świetnie sobie radziły.

– Więc póki co wszystko zgodnie z planem – stwierdził Bryce, zastanawiając się, co poszło nie tak. Alkohol? Nieudane małżeństwo?

– Powiem ci coś o świecie, w którym żyjemy. Tym światem rządzą komputery.

– Cóż, to pewnie prawda.

– Ludzie nie podejmują już decyzji, podejmują je komputery. – Wayne pochylił się mocniej. – Powiem ci, co teraz spotyka pisarzy.

– Wayne... – przerwał mu delikatnie Bryce. – Ja sam jestem pisarzem.

– Ale tobie się udało. Wybiłeś się ponad fale przybojów, to gównu cię nie dotyczy. Ono dotyczy facetów ze środka, facetów takich jak ja. We wszystkich księgarniach sieciowych mają teraz komputery, które mówią im: wzięliśmy pięć tysięcy egzemplarzy jego ostatniej książki, ale sprzedało się tylko trzy tysiące sto, więc następnym razem nie zamawiajmy więcej niż trzy i pół tysiąca. W związku z czym przy okazji następnej książki dystrybucja jest nieco gorsza i sprzedają dwa tysiące siedemset egzemplarzy, a przy kolejnej książce zamawiają trzy tysiące.

– To może zmierzać tylko w jednym kierunku – stwierdził Bryce.

– Pewnie, ty to wiesz. A kiedy spada sprzedaż, spadają też zaliczki. Za ósmą książkę wydawca proponował mi dwadzieścia tysięcy dolarów.

– A wcześniej dawał...?

– Najwięcej przy trzeciej umowie – wyjaśnił Wayne. – Za książki numer cztery i pięć. Dostałem siedemdziesiąt pięć tysięcy za każdą plus reklama i mała kampania promocyjna – Boston, Waszyngton, Zachodnie Wybrzeże. Tylko że wtedy sprzedaż zaczęła spadać.

– Z powodu komputera.

– Dokładnie tak. – Wayne skosztował Krwawej Mary. – Wydawca ciągle we mnie wierzył, więc przy nowej książce udało mu się przepchnąć niemal równie dobry kontrakt, sześćdziesiąt kawałków za szóstą powieść i siedemdziesiąt pięć za siódmą, ale już bez dodatkowej reklamy, bez wyjazdów promocyjnych. Przez co sprzedaż poleciała na łeb, na szyję i przy następnej umowie zaproponowali dwadzieścia tysięcy. Za jedną powieść. Koniec z kontraktami na kilka książek.

Bryce myślał o tym wszystkim jak o czymś, co mogło dotknąć także jego, ale na szczęście nie dotknęło.

– Jezu, Wayne, i co zrobiłeś? – zapytał.

– To, co robią inni – rzucił ostro Wayne, dając upust pozostałościom dawnego gniewu. – Wydostałem się z ich pieprzonego komputera.

– Wydostałeś się? Jak?

– Zdradzę ci pewien sekret – wszędzie wokół ludzie piszą swoje debiutanckie dzieła po raz kolejny.

Minęła sekunda, nim Bryce zrozumiał, o co chodzi, a wtedy uśmiechnął się szeroko. – Pseudonim literacki.

– Chroniony pseudonim literacki – sprecyzował Wayne. – Nic ci nie da, jeśli wydawca zorientuje się, że to pseudonim. Tylko mój agent wie, że tak naprawdę to ja. – Wziął kolejny łyk i potrząsnął głową. – To trochę komplikuje życie. Ponieważ spędziłem rok we Włoszech, jestem teraz amerykańskim emigrantem mieszkającym w Mediolanie i jako rzeczoznawca antyków dużo podróżuję po Europie, więc komunikuję się z wydawcą poprzez

agenta. A jeżeli muszę coś napisać czy podesłać poprawki, robię to przez e-mail.

– Który wychodzi z Mediolanu.

– Nic prostszego.

Bryce zaśmiał się. – Wydaje im się, że ślą ci te maile aż do Włoch, podczas gdy ty siedzisz...

– W Greenwich Village.

Pokiwał z uznaniem głową, jakby chodziło o sprytny chwyt zastosowany w książce.

– I gra warta świeczki? – zapytał.

– Cóż, sam rozumiesz, że są pewne wady – stwierdził Wayne. – Nie mogę promować książek, jeździć w trasy czy udzielać wywiadów. Nie mogę też nawiązać bardziej osobistych stosunków z moim redaktorem, co bywa problematyczne.

– Jasne.

– Ale są też zalety – ciągnął Wayne. – Wziąłem ósmą książkę, tę, za którą stary wydawca chciał mi zapłacić tylko dwadzieścia tysięcy, pozmieniałem ją tak, żeby nie dało się jej na pierwszy rzut oka rozpoznać i wysłałem agentowi, a inny wydawca zaproponował mi za nią sześćdziesiąt kawałków.

– Bo to był debiut.

– Bo była dobra – poprawił Bryce'a Wayne. – Trzymająca w napięciu opowieść, a autor nie figurował w żadnym komputerze. Dzięki czemu oceniali książkę, a nie rzędy starych liczb w rubrykach sprzedaży.

Bryce wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Uwielbiam intrygi, które się sprawdzają – powiedział.

– I przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Umowy na pojedyncze książki, bo nie byłem profesjonalista, tylko rzeczoznawcą mieszkającym gdzieś we Włoszech. Ale za drugą powieść zaproponowali siedemdziesiąt pięć tysięcy, a za trzecią osiemdziesiąt pięć. Trzecia sprzedawała się nieco gorzej, więc przy czwartej zaliczka spadła z powrotem do siedemdziesięciu pięciu...

– Tym razem jeszcze szybciej – zauważył Bryce.

– Trzy tygodnie temu wydawca odrzucił książkę numer pięć. Żadnej umowy, nawet na minimalną kwotę.

Bryce potrafił zrozumieć ten ból, mimo że jemu nic takiego nigdy się nie przydarzyło.

– Cholera, Wayne – pokiwał głową. – Przerabana sytuacja.

– Mój agent wykonał co prawda kilka telefonów, ale wszyscy mają dostęp do kartotek wszystkich, bo wszyscy sprzedają przez te same komputery. Nikt już nie chce Tima Fleeta.

– To ty?

– Do niedawna.

– Zaraz, zaraz... Efekt Dopplera?

– Książka numer trzy.

– Twój wydawca podesłał mi wydruk. Chyba nie napisałem ci żadnej polecanki – Bryce zgarbił się z zażenowaniem.

– Bez znaczenia – odparł Wayne, patrząc poprzez Bryce'a w jakiś nieokreślony punkt. – Nie wiem, czy cokolwiek ma jeszcze znaczenie.

– Co w takim razie zamierzasz zrobić z tą nową książką?

– Nic. Zapytałem agenta, dlaczego by nie umieścić na okładce mojego prawdziwego nazwiska i zobaczyć, co się stanie, ale odpowiedział, że komputer mnie pamięta i nikomu się nie śpieszy, żeby sprowadzić Wayne'a Prentice'a z powrotem na rynek, na którym był nieobecny przez siedem lat. Komputer wciąż mnie pamięta, a czytelnicy już nie.

– Chryste, co za gówniana sytuacja.

– Mnie to mówisz? Jeszcze jedna kolejka? – zapytał Wayne.

– Ale nie Krwawej Mary.

- Piwo też jest w porządku.

- Niech będzie piwo.

Zawołali kelnera i zamówili dwa Becksy.

- No i co teraz planujesz? - spytał Bryce.

- Napisałem CV - odparł Wayne. - Spróbuję znaleźć robotę jako nauczyciel. Właśnie po to siedziałem w bibliotece, spisywałem adresy college'ów.

- Przynajmniej przez jakiś czas utrzyma cię to przy życiu.

- Pewnie tak.

Chwycili zamówione piwo i wzięli po małym łyku, a Bryce spojrział na nieszczęśliwą twarz Wayne'a. On wcale nie chce uczyć w college'u, pomyślał. Biedny drań chce być pisarzem. On jest pisarzem, tylko że stracił grunt pod nogami.

Cóż za ironia losu - spotkać go akurat w momencie, kiedy ja sam nie jestem już pisarzem, kiedy brakuje mi motywacji, a...

I wtedy o tym pomyślał. Pomyślał o opowieści, pomyślał o tym jak o opowieści. Po raz pierwszy od ponad roku myślał w kategoriach opowieści. Właśnie to w pierwszej kolejności zafascynowało go w pracy pisarza i właśnie to tak kochał - powolne, lecz niepowstrzymane brnięcie wraz z prądem opowieści, wymyślanie opowieści, zwrotów akcji, stawianie każdego pojedynczego kroczku. Czuł się jak w labiryncie, gdy w tej samej chwili tworzył zagadki i rozwiązania, gdy zerkał, co się kryje za tym zakrętem, za tamtym i za następnym.

I właśnie tego brakowało jego umysłowi przez ostatni rok, ponad rok - śledzenia opowieści, poszukiwania drogi, zaskoczeń i zachwytów każdą nową perspektywą i każdym krokiem postawionym na drodze do nieuniknionego finału. Przez ostatnie półtora roku jego życie składało się przede wszystkim z frustracji, nudy i wiecznych oczekiwań, ponieważ utracił siłę napędową własnej egzystencji. Nie doświadczył tej przyjemności przez tak długi czas, a teraz, właśnie teraz, w jednej chwili powróciła.

Ale nie dosłownie opowieść, nie coś, co można zabrać do domu i spisać. Coś innego.

Wayne popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Bryce? O co chodzi?

- Sekunda - uciszył go Bryce. - Pozwól mi się zastanowić, dokładnie to przemyśleć.

Wayne czekał, marszcząc czoło, odrobinę zmartwiony reakcją kolegi, a tymczasem Bryce analizował. Czy mógł to zasugerować? Czy to by zadziałało? I czyżby właśnie znalazł rozwiązanie?

Odpowiedź brzmiała: tak.

- Bryce? Wszystko w porządku?

- Słuchaj, Wayne - zaczął. - Dobrze wiesz, że kiedy... kiedy pracujesz nad książką, musisz oczywiście wymyślić fabułę, ale jest też haczyk, czyli to, na co autor łapie uwagę czytelnika, a ty czasem nie potrafisz na to wpaść, myślisz, ale nie potrafisz i nie potrafisz, aż nagle, zupełnie niespodziewanie, jest! Znasz to uczucie?

- Jasne - odpowiedział Wayne. - W końcu musi się pojawić, bez niego ani rusz.

- I czasem to jest coś zupełnie innego, niż się spodziewałeś, coś, czego nawet nie szukałeś.

- Takie są najlepsze - zgodził się Wayne.

- Właśnie znalazłem mój haczyk - wyjaśnił Bryce.

- Chodzi ci o książkę, nad którą pracujesz?

- Nie, o życie, nad którym pracuję. Prawda jest taka, Wayne, że od ponad roku nie jestem w stanie pisać.

Wayne spojrział na niego z niedowierzaniem. - Ty?

- Właśnie tyle ciągnie się ta gówniana sprawa rozwodowa. Nie powinienem być nigdy zostawiać pierwszej żony. - Bryce pokręcił głową. -



Wierz mi, zdaję sobie sprawę, jak głupio to brzmi, ale w porównaniu z Lucie Ellen była Matką Teresą. Lucie chce mi odebrać wszystko, po prostu wszystko, to mnie wykańcza, prawnicy, zeznania, księgowi... Ma połowę praw do wszystkiego, co opublikowałem w czasie naszego małżeństwa, a żąda o wiele, wiele więcej, to po prostu nie ma końca.

– To fatalnie – przyznał Wayne. – W tym temacie akurat mi się poszczęściło. Wciąż jestem z Susan, nie mamy żadnych problemów. Ale znamy kilka osób, które się w coś takiego wpakowały i zwykle chodzi chyba bardziej o niechęć i negatywne emocje niż o pieniądze.

– Z Lucie chodzi wyłącznie o pieniądze – zapewnił go Bryce. – Jasne, jest też niechęć i negatywne emocje, ale chodzi o cholerne pieniądze.

– Przykro mi to słyszeć, chłopie.

– Dzięki. Tylko że termin oddania kolejnej książki minął niemal rok temu, redaktor wciąż do mnie wydzwaniał ze swoimi delikatnymi sugestiami, a ja go okłamuję, że prawie gotowe, że poprawiam, bo wszystko musi grać. W międzyczasie prawnicy i cała reszta pochłaniają zaskórniaki, a nie dostanę kolejnej zaliczki, zanim nie oddam maszynopisu.

– Na pewno masz jakieś zabezpieczenie.

Bryce wyszczerzył się w uśmiechu. – Tak sądzisz? Trójka dzieciaków w college'u, żadne dzięki Bogu nie mieszka z Lucie, plus prawnicy, księgowi, alimenty dla Ellen, dom w Connecticut, mieszkanie w mieście i co miesiąc forsa na utrzymanie dla tej wywłoki.

– Cóż, każdy rozwód prędzej czy później musi się skończyć – stwierdził Wayne. – To tylko stan przejściowy.

– To tylko wygląda na stan przejściowy – odparł Bryce. – Ale teraz mam mój haczyk. Znalazłem go, mimo że wcale nie szukałem. I już wiem, jak z tego wybrnąć. A ty wybrniesz razem ze mną.

Wayne zmarszczył brwi. – To znaczy?

– Ty masz książkę, ale brakuje ci wydawcy – przypomniał mu Bryce. – Za to ja mam wydawcę, ale brakuje mi książki.

– Słucham? – Wayne uśmiechnął się krzywo. – Chyba żartujesz, powiedz, że robisz sobie ze mnie jaja.

– Nie robię. Pamiętam Efekt Dopplera, niezła rzecz. Pamiętam, jak pomyślałem: ten facet pisze trochę jak ja. Suspens, akcja, ale z szerszym spojrzeniem. Ta twoja najnowsza książka, o czym ona jest?

– O biznesmenie, który robi interesy z pewnym senatorem – odpowiedział Wayne. – Nic nielegalnego i nic ważnego. Ale później okazuje się, że prokurator prowadzi dochodzenie w sprawie tego senatora, a jego ludzie zaczynają węszyć wokół biznesmena, podejrzewając, że może coś dla nich mieć. Nie ma, ale wplątał się w ciemne interesy z kimś innym, jakieś przekręty z ochroną środowiska, i nie chce, żeby to wyszło na jaw, podczas gdy oni potrzebują jedynie haka na senatora, którego on nie może im dostarczyć. A w jakiś sposób musi sprawić, żeby dali mu spokój.

– I co robi?

– Zabija senatora.

Bryce pokręcił głową. – Krótka historia.

– To dopiero pierwsze sto stron. Jest dużo więcej, o Waszyngtonie, o zatruciu oceanów, o Wall Street... Weźmy na przykład twoją powieść, Dwa z jednego. Streść intrygę i każdy ci powie, że to krótka historia.

Bryce uśmiechnął się. Wiedział, że książka Wayne'a będzie w porządku. – Sam widzisz, że to może wypalić.

– Nie – zaprotestował Wayne. – Nie mówisz tego poważnie.

– Oczywiście, że mówię. Kto widział maszynopis?

– Moja żona, agent i były wydawca.

– Przyślij mi ją – zaproponował Bryce. – Dam ci moją wizytówkę. Przyślij, a jeśli jest tak dobra, jak sądzę, trochę przy niej pomajstruję i wyślę jako własną powieść. Wayne, moja zaliczka wynosi milion dolarów.

Wayne był pod wrażeniem, ale kiwnął głową i stwierdził: – Tak sądziłem, że w tych okolicach.

– Podzielimy się pół na pół – powiedział Bryce. – Przed prowizjami, podatkami i tak dalej – szczegóły omówimy później – to będzie pięćset pięćdziesiąt tysięcy na łebka. Siedem razy więcej, niż zaproponowałby ci twój wydawca, gdyby jednak postanowił cię zatrzymać.

– Bryce, to szaleństwo... – wyjąkał Wayne.

– Nie, ani trochę. Co za różnica, jakie nazwisko ukaże się na okładce? Przecież i tak nie zapisałbyś jej na swoje konto, tylko na konto Tima Fleeta.

– Tak, ale...

– W ten sposób obaj złapiemy oddech, na naszych kontach pojawią się okrągłe sumki, obaj zyskamy dość czasu, żeby zorganizować sobie życie.

– Wyszłaby książka pod twoim nazwiskiem. Książka, której nie napisałeś.

– Mam to gdzieś. – Bryce wzruszył ramionami. – To na pewno nie pierwszy i nie ostatni raz w historii literatury, a ja mam to gdzieś.

Wayne zmarszczył brwi, wciąż szukając przeciwwskazań. – Gdyby to kiedykolwiek wyszło na jaw...

– To już moje zmartwienie, nie twoje.

– Wydaje mi się, sądzę, że mógłbym... – Marszczył brwi coraz mocniej, aż nagle potrząsnął głową i uśmiechnął się tajemniczo. – To by mogło wypalić, co?

– Uratuje mi dupę. I tobie.

– I tak nie byłby ze mnie dobry nauczyciel – odparł z namysłem Wayne.

– Przyślij mi tę powieść.

Kiwnął głową. – Wyślę rano.

– Więc umowa stoi.

– Umowa stoi.

– Pod jednym warunkiem – dodał nagle Bryce.

Wayne zamrugał. – Jest jakiś warunek?

– Tylko jeden.

– Jasne. Co to takiego?

Właśnie nadeszła ta chwila, pomyślał Bryce i spojrzał Wayne'owi prosto w oczy.

– Moja żona musi zginąć – powiedział.

2

Susan jeszcze nie wróciła do domu, co się akurat dobrze składało. Wayne chciał pomyśleć, zanim opowie jej o dzisiejszym dniu. Chciał oczyścić głowę. Zwykle nie pijał Krwawej Mary i piwa wczesnym popołudniem, czego efektem był lekki rausz i ból brzucha. Nie był także przyzwyczajony do takich ofert jak ta, którą złożył mu Bryce Proctorr.

Czy lubił go za dawnych lat? Wayne ledwie potrafił sobie przypomnieć Bryce'a z dawnych lat, bo oczywiście dokładnie śledził wszystkie jego późniejsze dokonania. Książka za książką na listach bestsellerów, wywiady w telewizji, własna kolumna w „New York Timesie”... Zrobił nawet reklamę dla bmw. Właśnie dlatego Wayne z trudem przywoływał w pamięci okres sprzed dwudziestu lat, kiedy obaj byli nieopierzonymi pisarczykami szamoczącymi się w sieci Nowego Jorku, obracającymi w podobnym towarzystwie, wszyscy w tym uroczym świecie, gdzie jeszcze nie istniał podział na zwycięzców i przegranych.

Wayne nie chciał o tym mówić podczas spotkania, ale czytał o małżeństwie Bryce'a w magazynie „People” jakieś osiem miesięcy temu. Trafił tam na zdjęcie Bryce'a i Lucie „ze szczęśliwego okresu”, szeroko uśmiechniętych i wygodnie rozłożonych na czerwonym, aksamitnym szezlongu stojącym na zielonym trawniku przed wielkim, białym domem z kolumnami w Connecticut.

Odniósł wówczas wrażenie, że Lucie, blondynka o pociągłej twarzy, wygląda pięknie, ale zarazem niebezpiecznie, jakby była odrobinę niezrównoważona. Wayne miał zwyczaj wypowiadać swoje myśli na głos. Susan pracowała poza domem, w związku z czym spędzał mnóstwo czasu samotnie, wędrując między pokojami, kiedy akurat nie siedział przed komputerem. A gdy zdarzało mu się je wypowiadać, czasami sam był nimi zaskoczony, choć najczęściej w ogóle ich nie słyszał. Teraz, idąc w stronę kuchni z nadzieją, że zostało jeszcze trochę maślanki, która pomogłaby mu się uporać z niestrawnością i rauszem, powiedział:

– Tylko bogacze mogą myśleć w taki sposób. A on jest teraz bogaczem. Kiedy jesteś bogaczem, znajdujesz sobie ludzi, którzy wykonają za ciebie brudną robotę.

W lodówce znalazł pełny w jednej trzeciej kartonik maślanki. Wypił wszystko prosto z kartonika, stojąc pośrodku kuchni. Jak na manhattańskie warunki była to całkiem spora kuchnia w całkiem sporym sześciopokojowym mieszkaniu na Perry Street w dzielnicy Greenwich Village. Susan nie mogła mieć dzieci, więc tak naprawdę nie potrzebowali aż tyle przestrzeni, ale w tej kamienicy obowiązywała kontrolowana wysokość czynszu. Gdyby zdecydowali się gdziekolwiek przenieść, płaciliby więcej. A poza tym lubili mieć dużo miejsca, dzięki czemu jeden pokój przekształcili w odpowiednik strychu – kolejna rzadkość na Manhattanie. Kiedy szło im dobrze, nie widzieli powodów, by się przeprowadzać do lepszego mieszkania, a kiedy szło źle – czy właśnie teraz szło źle? – trzymali się tej przyjemnej, niedrogiej i przestronnej jaskini.

Stojąc w kuchni z pustym kartonikiem po maślanke i patrząc na schludny rząd buteleczek oraz pojemników z przyprawami, które Susan ułożyła alfabetycznie na półce nad piecykiem, Wayne powiedział:

– Dlaczego jemu się wydaje, że ja potrafiłbym to zrobić? Przecież nawet mnie nie zna. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem, nigdy nawet... Kiedy po raz ostatni wdałem się w bójkę? Chyba w podstawówce. Nie jestem takim człowiekiem. To obraźliwe, że w ogóle coś takiego pomyślał!

Wyrzucił kartonik do śmietnika pod zlewem, a kiedy się wyprostował, zobaczył swoje odbicie w oknie. Kuchnia i druga łazienka były jedynymi pomieszczeniami, których okna wychodziły na kanał wentylacyjny sześciopiętrowego budynku, z ich mieszkaniem na piętrze czwartym. W dzień widzieli przez te okna ponure, czarne cegły oraz okno kuchni przeciwległego mieszkania, zasłonięte kremowymi roletami, zaś w nocy albo żółte światło bijące z tego okna, albo jeżeli nikogo nie było w domu, swoje odbicia na szybie.

Teraz na zewnątrz było ciemno, a mieszkanie po przeciwnej stronie puste, i Wayne ujrzał swoje odbicie. Wyglądał na przestraszonego, jak ktoś, kogo nieomal potrafił samochód. I kto nie wie, czy przypadkiem nie nadjeżdża kolejny.

Odwrócił się. Nigdy nie mówił do siebie na głos, kiedy widział swoje odbicie. Z plecami skierowanymi w stronę zlewu powiedział:

– On nawet nie zdaje sobie sprawy, że mnie obraził. Nie zna mnie i nie troszczy się o mnie. Jestem tylko narzędziem, z którego mógłby skorzystać. Z którego mógłby skorzystać bogacz. Pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Potrząsnął głową, wyszedł z kuchni i skierował kroki do swojego biura, najmniejszej sypialni, która w większości dużych rodzin zwykle przejmowała funkcję pokoju dziecięcego. Odpowiadała mu jej ciasnota i przytulność, kalejdoskop obrazków, karykatur, notatek, książkowych obwolut i okładek, którymi upstrzone były ściany oraz biurko wykonane przez niego własnoręcznie lata temu z dwóch metalowych szafek na dokumenty i porządnej drewnianej płyty zdobytej w składzie drewna.



Usiadł przy biurku i z początku nic nie robił. Wchłaniał atmosferę miejsca. Następnie włączył wszystkie urządzenia i położył dłonie na klawiaturze.

Moja żona musi zginąć.

Co? Co masz na myśli?

Jeśli ten plan ma zadziałać, Wayne, Lucie musi zginąć. Jeśli nie zginie, zrywamy umowę.

Czyżbyś prosił mnie, żebym...

Wayne, Wayne, nie, o nic cię nie proszę ani niczego nie sugeruję. Ale tak wygląda sytuacja, Wayne. Rozwód jeszcze się nie skończył, ciągle jesteśmy małżeństwem. Jeśli przekażę wydawcy tę książkę, Lucie zażąda połowy zaliczki. A zgodnie z prawem musi ją dostać. Drugą połowę daję tobie. Co zostanie dla mnie?

Ale... dlaczego o tym wspomniałeś, skoro... Skoro nie możemy tego zrobić?!

Ależ możemy, Wayne. Możemy. Jest tylko jeden drobny problem – Lucie musi zginąć.

Chcesz, żebym...

Wayne, ja nie chcę, żebyś cokolwiek robił, masz mi tylko przesłać maszynopis. I wtedy zobaczymy, czy da się coś wykombinować, tak jak już wspominałem.

Nie da się, póki żyje twoja żona.

W takiej sytuacji to nie ma sensu, sam rozumiesz, Wayne.

(Cisza – długa cisza – Bryce patrzy na Wayne'a – Wayne stara się nie patrzeć na nic).

To muszę się z nią spotkać. Muszę z nią porozmawiać.

Ale o czym, Wayne?

O pogodzie. O Connecticut. Wszystko jedno.

Ale chyba nie po to, by powiedzieć: Lucie, twój mąż właśnie wyznaczył nagrodę za twoją głowę?

Nie, nie, nawet o tym nie myślałem.

Więc co w takim razie myślałeś?

Twierdzisz, że ona jest złą osobą, mściwą i pazerną.

Och, zaufaj mi, Wayne, to prawda.

Nie, nie chcę. Chcę się osobiście przekonać, że jest tak zła, jak twierdzisz.

Chodzi ci o to, że jeśli naprawdę jest wiedźmą, będzie ci łatwiej... Bryce, ja nawet nie wiem, czy to jest w ogóle możliwe. Żaden z nas tego nie wie. Zdaję sobie sprawę, że to dla nas obu coś zupełnie nowego i że to nie jest łatwe. Muszę się z nią spotkać. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Dlaczego?

Naprawdę jest taka, jak twierdzę, wredna suka w każdym calu, ale może ci się wydać kimś zupełnie innym. Wayne, zastanów się nad tym – przecież ja sam się w niej kiedyś zakochałem. A gdybyś ty się w niej zakochał?

Wykluczone. Skąd ta pewność? Jest Susan. Nigdy nie wiesz... Nie ma najmniejszych szans. Nawet o tym czasem nie myślisz? Po co? Ty się łajdaczyłeś? W czasie małżeństwa z Lucie? Nie, nie łajdaczyłem się. Ale w chwili kiedy postanowiła odejść, chłopie...

Susan nie odejdzie.

Jak długo jesteście małżeństwem?

Dziewiętnaście lat.

A dzieci?

Żadnych.

Tylko wy dwoje...

Tylko tego nam trzeba.

To wspaniale, Wayne, zazdrozczę ci.

Dzięki.

Właśnie tego chcę następnym razem. Wreszcie zrobić to jak należy. Oby ci się powiodło.

Dzięki. Zastanowię się, jak zaaranżować spotkanie.

Dobrze.

I prześlij mi ten maszynopis. Och, na pewno to zrobię.

Wayne czytał ten dialog raz za razem. Pewne kwestie, zarówno swoje, jak i Bryce'a, wypowiadał na głos. Sprawił, że Bryce brzmiał jak osoba skłonna do manipulacji, często posługująca się aluzjami. Sprawił, że sam brzmiał jak ktoś niewinny, lecz łatwo ulegający wpływowi. Kiedy usłyszał chrzęst klucza w zamku drzwi wejściowych, spojrzął na ścienny zegar wiszący na lewo od biurka. Piętnaście po szóstej. Siedział tu już godzinę i dziesięć minut. Przesunął kursor na „X” w prawym górnym rogu i kliknął. Wyskoczył komunikat: „Czy chcesz zapisać zmiany w pliku Dokument1”? Kursor na „Nie”: klik.

Wszystko znikło.

Susan pracowała dla UniCare, organizacji zarządzającej instytucjami charytatywnymi, wspieranymi głównie przez stan Nowy Jork i częściowo przez koncerny tytoniowe. Samo UniCare nie pełniło funkcji charytatywnej, zajmowało się jedynie rozdzielaniem pozyskanych funduszy zgodnie z bieżącymi potrzebami. Ludzie wpłacający pieniądze byli zwykle bezdusznymi biurokratami, których nie obchodziło to, co robią, natomiast ludzie kierujący fundacjami wrażliwcami z sercem na dłoni, wiecznie o krok od łez na samą myśl o swoich „klientach”. Te dwie grupy w żadnych warunkach nie potrafiły się porozumieć. Susan, która umiała rozmawiać zarówno z jednymi, jak i drugimi, nie tracąc nad sobą panowania, była nieoceniona. Rozpoczęła współpracę z UniCare czternaście lat temu jako sekretarka, a w tej chwili zajmowała stanowisko wicedyrektora. Do tego stopnia nieoceniona.

Była także nieoceniona dla Wayne'a. Wayne doskonale wiedział, że poświęcił swoje życie fikcji i fantazjom, w związku z czym czasem dochodził do wniosku, że gdyby nie twardo stąpająca po ziemi Susan, nie przeżyłby tak długo. Wierzył, że właśnie to mogło być powodem uzależnienia wielu pisarzy od alkoholu i narkotyków – koniec końców po prostu nie chcieli wracać z powrotem do bezbarwnego świata, w którym żyła cała reszta ludzkości.

– Cześć, cukiereczku – powiedział, podziwiając szczupłe, giętkie ciało, kiedy szła przez korytarz w żakiecie i spódnicy, z jasnobrazowymi włosami podskakującymi przy jej policzkach.

– Cześć, kochanie – odpowiedziała Susan i zatrzymała się, by go pocałować. Jej usta były zawsze tak delikatne, dużo bardziej delikatne, niż na to wyglądały, co do dzisiaj potrafiło go zaskoczyć. Całował ją każdego dnia, i to więcej niż raz, a każdego dnia czuł się tym faktem zaskoczony.

Ruszył za nią do kuchni. Choć pracowała w mieście, a Wayne cały dzień siedział w domu, to na niej spoczywał obowiązek przygotowywania kolacji. Oboje dorastali w tradycjonalistycznych rodzinach, w których przyrządzaniem posiłków zajmowały się kobiety, mężczyźni zaś słynęli z tego, że o gotowaniu w domu nie wiedzą nic, choć wiedzą wszystko o gotowaniu pod gołym niebem. Niestety, mieszkanie w Greenwich Village nie zapewniało im nawet skrawka gołego nieba, jeśli więc nawet Wayne odziedziczył po męskich przodkach z okolic Hartford talent do kucharzenia na świeżym powietrzu, to do tej pory z pewnością zdażył on zaniknąć, a w zamkniętej kuchni gotowanie nie szło mu w ogóle. Zresztą Susan także myślała o gotowaniu w kategoriach płci i po kilku porażkach ze strony Wayne'a, by upichcić coś, co chociaż trochę przypominałoby posiłek, zapewniła go, że nie ma nic przeciwko przejęciu tego obowiązku – i najwyraźniej faktycznie nie miała.

W praktyce oznaczało to natomiast, że w tygodniu Susan przynosiła do domu posiłki przygotowane przez kogoś innego, które wymagały jedynie podgrzania. Na szczęście w Greenwich Village można było znaleźć kilka sklepików oferujących jedzenie tysiąc razy lepsze od mrożonek z supermarketów, dzięki czemu nie musieli otępić swoich receptorów smakowych za cenę bezstresowego życia. Za to w weekendy Susan dość często brała się za gotowanie – szczególnie jeśli zaprosili znajomych – i była w tym naprawdę niezła.

A teraz Wayne szedł za nią, podczas gdy ona niosła do kuchni biało-zielone torby zakupowe od Balducciego. Położyła je na blacie i zerkając na ścienny zegar, zapytała:

- Kolacja po wiadomościach?
- Jasne – odpowiedział.
- Nastawię w czasie pierwszych reklam.

Wayne także spojrzął na zegar. Wiadomości zaczynały się za dwanaście minut. Przyszedł za Susan do kuchni, by opowiedzieć jej o spotkaniu z Bryce'em Proctorrem i o dziwacznej propozycji, o której musiał teraz myśleć, ale czy wyrobi się w dwanaście minut? Chciał, by Susan poświęciła mu całą uwagę, bo naprawdę zależało mu na jej opinii. Powiniennem natychmiast zapomnieć o tym szaleństwie, wypominał sobie, dobrze wiem, że powiniennem, lecz nie zrobię tego, dopóki Susan nie wybije mi tego z głowy.

Powiem jej po wiadomościach, zdecydował i natychmiast poczuł ulgę, bo tak naprawdę wciąż nie wiedział, jak powinien to powiedzieć. Jak ją w to wszystko wprowadzić? W jakim świetle przedstawić całe spotkanie? Zastanowię się nad tym w czasie wiadomości, pomyślał, a potem jej opowiem.

W rzeczywistości opowiedział jej o tym w salonie przy kolacji, przy filetach z dorsza w sosie kremowym z brokułami, zapiekаныmi ziemniakami i chardonnay Corbett Canyon, kolejna rzadkość w tej okolicy. Na stole płonęły świece, a jedyne światło elektryczne saczyło się przez korytarz z kuchni.

- Nie uwierzysz, na kogo dzisiaj wpadłem – zaczął.
- Hmm?
- Poszedłem do biblioteki spisać adresy college'ów. Pamiętasz, do moich CV.
- Mhm – odparła, nie patrząc na niego. Wiedział, że nie podobał jej się ten pomysł. Wątpiła, by kampus college'u był dla niego właściwym miejscem, a już z pewnością nie chciała rezygnować z własnej pracy, żeby przeprowadzać się do jakiegoś niewielkiego akademickiego miasteczka w Pensylwanii czy Ohio. Wyłożyła mu, co na ten temat sądzi – jak zwykle zresztą – ale powiedziała też, że rozumie, co zmusiło go do podjęcia takiej decyzji i że, jeśli trzeba, przejdą przez to razem, cokolwiek by się nie działo. Ale teraz nie zamierzała angażować się w ożywioną rozmowę na temat adresów college'ów i życiorysów.

– Bryce Proctorr – powiedział Wayne.  
Spojrzała na niego. – Ten pisarz?

– Ten sławny pisarz. Znaliśmy się lata temu, zanim cię spotkałem. Zanim wyjechałem do Włoch. A po powrocie wpadłem na ciebie. Uśmiechnął się do niej szeroko, wciąż zachwycony, że pojawiła się w jego życiu. Susan wiedziała zaś, o czym myśli Wayne, więc odwzajemniła uśmiech. Zrobiła to lubieżnie, ale w sposób, który tylko Wayne potrafili by dostrzec. Poczul, że robi mu się ciepło, wciąż jednak miał historię do opowiedzenia, historię, która w tej chwili pochłaniała go całkowicie.

– W każdym razie – kontynuował – spotkałem go w bibliotece, gdzie szukał czegoś w książkach. Zobaczył mnie pierwszy i podszedł się przywitać, a potem razem skoczyliśmy na drinka.

- Więc to normalny facet.



– Tak mi się wydaje. Ale teraz jest bogaty, sama rozumiesz. Powiedział mi, że dostaje milion za jedną książkę.

– Powiedział ci...

– Cóż, miał powód.

– A czy on wie o twoich kłopotach?

– Tak, rozmawialiśmy o nich.

– A on powiedział, że dostaje milion za książkę. Żebyś się obszedł smakiem...

– To nie tak, Susan. Opowiem ci dokładnie, jak było. Wayne opisał Susan przebieg spotkania i jak to wyznał Proctorrowi, na czym polega jego problem, na co Proctorr odparł, że jego drugie małżeństwo kończy się właśnie bardzo przykrym i długim rozwodem. – Pisali o tym kilka miesięcy temu w „People”, pamiętasz?

– Niezbyt – odparła Susan. – Ale ty go znałeś, więc byłeś bardziej zainteresowany.

– Zaproponował mi układ – powiedział Wayne. Serce waliło mu jak młotem, a mięśnie brzucha dostały skurczy. Jedzenie od Balducciego jak zwykle było świetne, ale nie przełknąłby już ani kęsa.

– Układ? Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że on się emocjonalnie bardzo zaangażował w ten rozwód i od półtora roku nie potrafi nic napisać. Zalega u wydawcy z książką, ale jej nie ma, a potrzebuje pieniędzy. Chce opublikować Dublet domina pod własnym nazwiskiem. O ile – dodał szybko Wayne – uzna, że jest wystarczająco dobry.

Susan odłożyła widelec i uniosła głowę, by lepiej słyszeć. – Chce opublikować twoją książkę? Jakby sam ją napisał?

– Właściwie to komplement, choć wyrażony w dość zabawny sposób – stwierdził Wayne. – Chodzi o to, że on już zna moje powieści. Czytał Efekt Dopplera i jakies inne.

– Ale Wayne, dlaczego chciałbyś coś takiego zrobić?

– Za pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Susan wyprostowała się na krześle. – Och...

– Mam mu wysłać maszynopis – ciągnął Wayne. – Jeśli uzna, że jest wystarczająco dobry, zmieni nazwisko – tytuł pewnie też – i przekaże swojemu wydawcy, a my podzielimy się pieniędzmi. Nikt się nigdy nie dowie, nawet jego agent i redaktor.

– Och, Wayne...

– W zasadzie – dodał – Dublet domina i tak nie ukazałby się pod moim nazwiskiem, to przecież kolejna książka Tima Fleeta.

– Ale to się wydaje takie... dziwne – stwierdziła Susan.

– Niektórzy znani pisarze korzystali z usług ghostwriterów – zapewnił ją Wayne. – Kiedy mieli blokadę twórczą, kłopoty z alkoholem, wszystko jedno. Branża wydawnicza jest pełna takich plotek.

– Tak, wiem o tym – odpowiedziała. Przez pracę Wayne'a sama przez lata miała kontakt z tym środowiskiem.

– Więc to nie będzie precedens. Sam nie opublikuję Dubletu domina pod żadnym nazwiskiem. W ten sposób, zamiast wyrzucić maszynopis do śmieci i nie dostać złamanego centa, mogę wyciągnąć pół miliona dolarów.

– Wydaje mi się... wydaje mi się, że powinienes przyjąć tę propozycję.

– Tylko że jest jeden problem.

Susan czekała. – Tak? O co chodzi?

– O coś, na czym mu zależy. – Wayne'owi trudno było znaleźć właściwe słowa.

– O coś, na czym mu zależy? – Znów ten niewyraźny, kuszący uśmiezek.

– A na czym mu tak niby zależy? Na prawie pierwszej nocy?

Wayne wybuchł śmiechem, nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo był spięty, sztywny niczym kryształ – stuknij mnie lekko, a rozpadnę się na drobne kawałki.

– Nie, to by było zbyt proste, posłałbym go prosto do piekła.

– To dobrze – odparła, wciąż uśmiechnięta.

Jemu nie było jednak do śmiechu. Spojrzał na niedojedzoną kolację oświetloną blaskiem świec, na bladą rybę, blade ziemniaki, toksycznie zielone brokuły.

– Chce, żebym zabił jego żonę.

– Słucham?

Teraz na jej twarzy malował się wyraz zdumienia i niedowierzania.

– Zasadniczo właśnie w ten sposób zdobędę połowę, która prawnie należy się jej.

– Wayne, o czym ty w ogóle mówisz?

– Dopóki ona żyje, połowa zaliczki za książkę Bryce'a należy się jej. Jeśli ja dostanę drugą połowę, dla niego nic nie zostanie, nie będzie miał powodu, by to robić.

– Płaci ci za zabicie żony.

– Tak. – Wayne pokiwał głową. – Oraz za książkę.

Oboje milczeli, żadne nie jadło, ona patrzyła na niego krzywo, on żałośnie spoglądał w każdą stronę pokoju migoczącego w blasku świec, tylko nie na nią. Zegar w kuchni chodził na baterie, a wskazówka minutowa co sekundę wydawała ciche kliknięcie, dźwięk, którego prawie nigdy nie słyszeli, ale który teraz brzmiał głośno jak uderzenia metalowej łyżki o dzielący ich stół.

– I co mu powiedziałaś? – zapytała Susan tak cicho, że ledwie ją usłyszał między kolejnymi uderzeniami.

– Powiedziałem, że muszę się z nią spotkać.

To ją zaskoczyło. – Spotkać? Po co?

– Cóż, Proctorr opisywał mi, jaka to osoba, pazerna, mściwa, prawdziwa zimna suka. Jeśli rzeczywiście jest taka zła...

– Byłoby ci trochę łatwiej. Och, Wayne...

– Wiem, wiem. Ale chodzi o to, że on się zgodził. Wymyśli jakiś sposób, żeby zorganizować spotkanie. A w międzyczasie mam mu podesłać ten maszynopis. Jutro. – Potrząsnął głową. – Wyślę też kilka CV, byłoby dobrze na chwilę wrócić do rzeczywistości.

– Nie.

Spojrzał na nią uważnie. – Nie? Co znaczy „nie”?

– Nie wysyłaj CV. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego nie?

Susan nie odpowiadała. Obserwował ją w napięciu, aż w końcu stwierdziła: – Poczekaj, aż się z nią spotkasz.

Oddech utknął mu w gardle. Wpatrywali się w siebie, żadne nawet nie mrugnęło i wtedy Wayne pomyślał: ona chce, żebym to zrobił! A był pewien, że w mgnieniu oka wybije mu ten pomysł z głowy, tak bardzo wierzył w jej rozsądek, pogardę dla mrzonek. Wpatrywali się w siebie, a kiedy dostrzegł, jak pośpiesznie Susan zaciska szczęki, rzekł:

– A jeśli się okaże, że to nieprawda? Że jest porządną osobą, kimś, kogo moglibyśmy polubić?

– Wtedy wyślesz CV. – Spojrzała w bok. – Nie jesz kolacji...

– Ty też nie. Susan, dlaczego tak ci zależy, żebym to wysyłanie odwlekał?

Kiwnęła głową, nadal na niego nie patrząc, a po chwili z powrotem się odwróciła.

– Bo to by był koniec naszego małżeństwa, Wayne, wiem, że tak by było, ale co mogę powiedzieć? Jakie mamy alternatywy? Nie możesz żyć moim kosztem. Oczywiście jakoś byśmy sobie poradzili, ale ty po prostu nie możesz. A życie, które toczyłeś przez dwadzieścia lat, właśnie dobiegło

końca, choć to nie twoja wina, wiem o tym. Rynek się zmienia, zmieniają się reguły gry i choć wszyscy zdają sobie z tego sprawę, nikt nigdy nie podejrzewa, że ostrze gilotyny właśnie spada na ich szyję. Ale na czyjaś musi spaść, i tym razem trafiło na ciebie.

– To jeszcze nie koniec małżeństwa, Susan.

– Znienawidzilibyśmy się w tej Zatoce Sztuk Pięknych, kochanie, dobrze wiesz, że tak by było. Nienawidzilibyśmy siebie samych i siebie nawzajem, aż któregoś dnia postanowiłabym spakować manatki i wrócić do domu, a ty nie potrafiłbyś tego zrobić.

– Ale to, o czym rozmawiamy, to znaczy, rozumiesz chyba...

– Nie musisz tego mówić głośno, kochanie – przerwała mu Susan. – Oboje doskonale wiemy, o czym rozmawiamy.

– Susan, wydawało mi się, że ty...

– Zależy mi na nas, Wayne. Zależy mi na tym mieszkaniu i na naszym życiu. Na mojej pracy, na tym, czym się zajmuję. Nie chcę, żeby świat zniszczył to wszystko jak zamek z piasku.

Wayne spojrział w dół na swój talerz. Podniósł widelec, ale nic z nim nie robił. Znow podniósł głowę i zauważył, że Susan obserwuje go beznamietnie.

– A jeśli ona okaże się miłą osobą? – zapytał jeszcze raz.

Oczy jej zalsniły. – Zobaczymy.

3

Zolpidem nie działał. Bryce nie chciał otworzyć oczu, nie chciał przed samym sobą przyznać, że wciąż nie śpi, ale ostatecznie siła nudy, rozdrażnienia i zmartwień osiągnęła wystarczający poziom, by zmusić go do uniesienia powiek, a czerwone cyfry na zegarku przy łóżku pokazywały, że jest 4:19. Niech to szlag.

Gdyby Isabelle mogła zostać na noc, z pewnością zasnęłby jak dziecko. Gdyby obok leżała, gdyby leżał tam ktokolwiek, ciepłe, przyjazne ciało, bezsenność by nie wróciła. Ale Lucie wynajęła prywatnego detektywa – sam by się tego domyślił, nawet gdyby nie ostrzegł go prawnik Bob – a on nie odważyłby się na tak wiele, nie przed zakończeniem rozwodu. Mógł się spotykać z Isabelle i jeść kolacje z Isabelle, ale spać (albo nie spać) musiał sam, noc po nocy.

Czasami wstawał i czytał, czasami wstawał i pił, czasami wstawał i oglądał film, ale zwykle po prostu leżał, martwiąc się, wściekając lub współczując samemu sobie. Czasami pigułki nasenne działały i wtedy budził się rano wypoczęty, prawie jak za dawnych dni. Czasem nie działały. Tak jak dziś.

A dziś nowa zmora chrobotowała i zgrzytała z tyłu jego głowy, wyciągała pazury w ciemności sypialni. Co też strzeliło mu do głowy, żeby składać taką ofertę Wayne'owi Prentice'owi?! Jak mógł się tak odsłonić, wystawić na atak komuś, kogo praktycznie nie znał, właściwie nie znał w ogóle?

A jeśli Prentice zacznie gadać? Jeśli pójdzie z tym do Lucie? Jeśli dojdzie do wniosku, że rozgłos to najlepsza metoda odzyskania dawnej pozycji, w związku z czym postanowi oznajmić całemu światu, że Bryce Proctorr zaoferował mu pół miliona dolarów za pozbycie się jego żony? Jedna z zasad techniki raketowej: żeby się wysoko wzbić, trzeba wywierać nacisk w przeciwnym kierunku. I Wayne Prentice wzbija się wysoko, wywierając nacisk na Bryce'a Proctorra.

Czuł się wtedy, jakby snuł opowieść, wymyślał coś, co mógłby wykorzystać w swojej książce, co prawda niezbyt dobrej. Prentice musiał pomyśleć, że Bryce oszalał, i może faktycznie tak było. Zupełnie niespodziewanie ta mała intryga pojawia się w jego umyśle, a on udaje, że to się dzieje naprawdę, na miłość boską. Odgrywa scenkę. Jakby fikcja miała nagle osiągnąć status rzeczywistości. Zostaw te pierdoły w biurze – upomniał siebie, ale było już za późno.



Czy mógłby się wszystkiego wyprzeć? Czy gdyby Prentice wypaplał wszystko publicznie, mógłby powiedzieć: „Cóż za głupi pomysł! Nigdy nikomu nie złożyłbym takiej propozycji, a już z pewnością nie komuś, kogo ledwie znam i kogo nie widziałem od dwudziestu lat. Ten człowiek to medialna hiena, to wszystko, a jeśli będzie powtarzać te zarzuty, skontaktuję się z policją”.

Udawać surowego, zbulwersowanego, pewnego siebie. To ja jestem gwiazdą, powiedział sobie Bryce. A kim jest Wayne Prentice? Nikim. Mniej niż nikim. Już nawet nie Timem Fleetem.

Kiedy zegarek pokazywał 5:04, Bryce wstał i zaczął chodzić po mieszkaniu, zapalając wszystkie światła. Z przestronnego salonu, o którego wystrój zadbała Lucie i sędka Bloomingdale's, rozciągał się widok na Central Park i budynki Piątej Alei po drugiej stronie. Okna jadalni, położonej w południowo-wschodniej części mieszkania, również wychodziły na Central Park, a ponadto znajdowały się tam drzwi na taras po południowej stronie, który pozwalał z piętnastego piętra oglądać śródmieście.

Bryce wyszedł na taras bosy, ubrany tylko w szary szlafrok, ale od New Jersey wiało nieprzyjemnie, a poza tym dziś przechodziły go ciarki od wrażenia wysokości, bliskości pustej przestrzeni ciągnącej się kilkaset stóp w dół aż do chodnika. Jeśli kiedyś postanowię popełnić samobójstwo, pomyślał, zrobię to właśnie tu, zanurkuję za tę poręcz.

Nie zamierzał się zabijać, nie miał takiej potrzeby i wiedział, że nigdy mieć nie będzie, lecz dziś prawie czuł ten zew, jakby płynął na fali, jakby coś go ciągnęło i jednocześnie wywierało delikatny nacisk na plecy. Wreszcie byś zasnął, pomyślał i wrócił do mieszkania.

To niedobrze tak długo być tak samotnym. Przez samotność zaczynał się bać samego siebie na własnym tarasie, miejscu, które przecież uwielbiał. Przez samotność wygadał się głupio przed nieznanym, ryzykując Bóg jeden wie jakie konsekwencje.

Bryce nazywał swoją „pracownią” pomieszczenie będące po części biblioteką, a po części centrum rozrywki. Panoramiczny telewizor maskowały co prawda antycznie wyglądające mahoniowe drzwiczki wciśnięte pomiędzy regały z książkami, ale przeznaczenie pokoju zdradzała skórzana sofa stojąca pod przeciwległą ścianą. Bryce skierował tam kroki prosto z tarasu i otworzył mahoniowe drzwiczki. Przez chwilę wpatrywał się zamglonym wzrokiem w niewyraźne odbicie widoczne na ekranie telewizora, zmęczony, ale nie śpiący. W końcu pochylił się, by otworzyć jedną z szuflad pod telewizorem, gdzie trzymał kasety z filmami i wybrał Deszczową piosenkę.

Zasnął w połowie.

Przez dwie noce od wpadki z Wayne'em Prentice'em bezsenność dręczyła Bryce'a bardziej niż zwykle, przez co wałęsał się po domu ociężały i pozbawiony energii. Zdarzały się chwile, kiedy myślał: oddaj jej wszystko, byle to zakończyć, podpisz każdy papierek, jaki ci podsunie, zgódź się na wszelkie warunki, niech cię puści z torbami, zabierze przeszłość i przyszłość, zaczniesz od nowa, co ci zależy? Ale to tak nie działało, prawnicy i sędzia by na to nie pozwolili. Tryby maszyny musiały się obracać swym własnym, powolnym rytmem.

Wtedy, trzeciego dnia, dostał dwie przesyłki, które całkowicie odmieniły mu humor. Pierwsza, duża brązowa koperta, zawierała maszynopis. A zatem Wayne postanowił go wysłać. Sześćset dwadzieścia trzy strony, Dublet domina autorstwa Tima Fleeta. Dedykacja: „Dla Susan”. To musiała być żona. A oprócz tego czysta, niepodpisana kartka bez nagłówka z krótką notką napisaną na maszynie:

Muszę się z nią spotkać.

Jednak to robi.

Bryce usiadł z pocztą przy stole w jadalni, słońce wpadało z lewej przez taras, który nagle stracił posępny charakter. Zrobi to, pomyślał i

stwierdził, że chytrze to zaplanował, wybrał odpowiedniego człowieka, wykonał genialny ruch.

W drugiej przesyłce przyszło zaproszenie na premierę off-broad-wayowej sztuki wystawianej w niewielkim teatrze w śródmieściu na Grove Street. Napisał ją Jack Wagner, zajmujący się głównie dziennikarstwem prasowym, kolega Bryce'a, odkąd dziesięć lat temu przeprowadził z nim wywiad. Jack wyjątkowo ekscytował się premierą, ponieważ była to jego pierwsza sztuka, chociaż wydawało się mało prawdopodobne, by zobaczyło ją więcej niż tysiąc osób i z pewnością nie należało oczekiwać żadnych zysków, ani dla Jacka, ani dla teatru. Mimo to Bryce rozumiał dumę i entuzjazm znajomego – w końcu takich rzeczy nie robiło się dla pieniędzy.

Przyjemnie było dostać to zaproszenie, lecz w pierwszej chwili nie wydało się ono Bryce'owi istotne ani nie połączył go z maszynopisem, który znalazł tego dnia w poczcie. Zauważył jednak, że obok numeru wydrukowanego na zaproszeniu z grzecznościową prośbą o odpowiedź widniał drugi numer oraz odręczna notatka: „Bryce! Zadzwoń, proszę, zanim odpowiesz. Jack”.

O co mogło chodzić? Najbliższy telefon znajdował się w kuchni. Bryce przeszedł tam, wyciągnął jeden z jasnych jesionowych stołków spod wyspy kuchennej i wykręcił numer.

– Halo? Jack? Mówi Bryce.

– Och, świetnie, że się odzywasz. Słuchaj, nie wiem, czy to jest dla ciebie niezręczna sytuacja, ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

– Tak?

– Nasza reżyserka, Janet Higgins, przyjaźni się z Lucie.

Myśl, że Lucie ma jakieś przyjaciółki, nie przestawała zadziwiać Bryce'a.

– I chodzi ci o to, że też została zaproszona – powiedział.

– Wybacz, Bryce, dobrze wiesz, że chciałbym cię tu zobaczyć, ale jeśli to problem...

– Cóż, tak, to jest problem. Przyjdę na drugi spektakl, w porządku?

– Wybacz, wiem, przez co musisz teraz przechodzić.

Nie, nie wiesz, pomyślał Bryce, ale wtedy coś mu przyszło do głowy. Wprostował się na krześle.

– Sekunda. Jack? Możesz chwilę poczekać? Muszę po coś pójść, zaraz wrócę.

– Jasne.

Odłożywszy słuchawkę na bok, rzucił się przez drzwi do jadalni, chwycił brązową kopertę z nalepką „PRIORYTET” i maszynopisem w środku i szybko wrócił do kuchni.

– Jack?

– Jestem.

– Mam znajomego, który powinien obejrzeć twoją sztukę, byłby nią zainteresowany. Nie zna Lucie, więc nie będzie problemu. Mógłbyś go zaprosić na moje miejsce?

– Jasne, jeśli tak ci zależy.

– Nie na moje miejsce tak w ogóle, nie o to mi chodziło. Po prostu chciałbym, żebyś go zaprosił.

– Jasne. Co to za jeden?

– Znajomy pisarz, Wayne Prentice. – Bryce odczytał do słuchawki adres zwrotny z koperty.

– Znam jego książki? – zapytał Jack.

– Może jakieś starsze. Od pewnego czasu ma blokadę, biedny facet.

– Och.

– Może uda ci się go zainspirować.

Jack zaśmiał się. – Pewnie stwierdzi: Chryste, przecież potrafię napisać coś lepszego niż ten gniot, i proszę, odblokowany.

– Dokładnie tak. Dzięki, Jack.

– Nie ma sprawy.

– I dzięki za ostrzeżenie.

– Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie, Bryce.

Bryce spojrział na nazwisko i adres wydrukowane na kopercie. – Całkiem możliwe, że tak będzie, Jack.

Pod telefonem w kuchni leżała książka telefoniczna. Bryce znalazł Wayne'a Prentice'a mieszkającego na Perry Street. Wykręcił numer, wysłuchał nagranych sekretarce głosu Wayne'a, a po sygnale zostawił wiadomość: – Spotkasz ją. Przyjmij zaproszenie na Niewierność.

Tej nocy pigułka zadziałała. Bryce spał aż do rana.

4

Kiedy Susan wróciła do domu, Wayne pocałował ją, ale wydawał się rozkojarzony.

– Chcę, żebyś czegoś posłuchała – powiedział.

– Czego?

Szła za nim do kuchni, gdzie trzymali automatyczną sekretarkę, podczas gdy on tłumaczył:

– Wyszedłem na chwilę do delikatesów kupić coś na lunch, a kiedy wróciłem, czekała jedna wiadomość. – Wdusił przycisk PLAY: „Spotkasz ją. Przyjmij zaproszenie na Niewierność.” – To Bryce Proctorr – wyjaśnił. – To jego głos.

– Puść jeszcze raz.

Wayne puścił, a Susan słuchała z zaciśniętymi ustami i przymkniętymi powiekami.

– Brzmi arogancko – stwierdziła.

– Nie jest arogancki – odparł Wayne. – Z takimi sukcesami na koncie mógłby być, ale nie jest. Jest tylko pewny siebie.

– Jeszcze raz.

Po trzecim odsłuchu Susan powiedziała: – To nie arogancja, to nerwy. Jest spięty i próbuje to ukryć.

– Nie wie, czy to zrobię. Do tej pory powinien już dostać Dublet domina, a z tego mógł wywnioskować, że przynajmniej się zastanawiam.

– A ta Niewierność? Co to takiego?

– Znalazłem w „New Yorku”. – Wayne skinął w stronę magazynu leżącego na kuchennym stole ze stroną zaznaczoną nożem do mięsa.

– Jeszcze tego nie grają, premiera jest w następny czwartek, niedaleko, na Grove Street.

Susan podeszła do magazynu, by przeczytać zapowiedź.

– Nowa komedia. Nigdy nie słyszałam o Jacku Wagnerze.

– Zadzwonili do mnie z teatru koło wpół do czwartej – ciągnął Wayne. – Nazywa się „Nu-Arts”.

To ją zaskoczyło. – Zadzwonili do ciebie?

– Chyba jakaś kasjerka albo sekretarka, nie jestem pewien. Powiedziała, że na prośbę autora wpisali mnie na listę gości premierowego spektaklu i że wysła mi zaproszenie pocztą, ale woleli zawiadomić mnie telefonicznie, bo zostało niewiele czasu.

– Bryce Proctorr macha magiczną różdżką, a ty dostajesz zaproszenie na premierę.

– Off-broadwayową.

– Ale jednak. – Susan ponownie zerknęła na zapowiedź w magazynie i uśmiechnęła się do Wayne'a kwaśno. – Myślisz, że to jego pseudonim artystyczny? Jack Wagner?

– Kogo, Bryce'a? – Wayne zaśmiał się. – Nie, po co mu pseudonim?

– Po prostu tak to brzmi.

– Bryce Proctorr nie używa pseudonimów – stwierdził z całkowitą pewnością. – Poza tym gdyby to była jego sztuka, jego żona nie znalazłaby się na liście gości.

– Pewnie masz rację.

Zapowiedź nie zawierała zbyt wielu informacji – streszczenia fabuły czy poprzednich dokonań autora i innych zaangażowanych osób

– ale Susan wciąż do niej wracała, jakby mogła tam znaleźć odpowiedź na pytanie, które nie dawało jej spokoju. Wayne obserwował ją, aż w końcu wskazał automatyczną sekretarkę.

– Chcesz posłuchać jeszcze raz?

– Nie. Lepiej to wykasuj.

– Racja.

To było dziwne uczucie. Każdego dnia człowiek wciska guzik kasowania, by pozbyć się starych wiadomości, a jednak tym razem chodziło o zupełnie nowe wrażenie, jakby grał w filmie o szpiegach. Albo o mordercach, i właśnie pozbywał się dowodu.

Piiip, oznajmiła sekretarka: wasze sekrety są bezpieczne.

Susan patrzyła na nią krzywo, ale po sygnale przeniosła wzrok na Wayne'a.

– To takie dziwne – stwierdziła. – Że on coś takiego potrafi. Rozstawiać dookoła ludzi.

– Po prostu ma znajomości, to wszystko. Nawet my mamy znajomości, Susan.

– Tak... Powiedziałeś tej sekretarce, że przyjdiesz?

– Że przyjdziemy. To zaproszenie dla dwóch osób, dla mnie i osoby towarzyszącej, więc powiedziałem, że kogoś przyprowadzę.

– O nie – zaprotestowała Susan. – Zajmuj się tym sam. To następny czwartek? Zjem więc kolację z Jill.

Jill była długoletnią przyjaciółką Susan, rozwiedziona, słodką, raczej przeciętną kobietą z wieloma nieistotnymi problemami. Za każdym razem, gdy Wayne wyjeżdżał lub nie miał czasu, Susan jadła z nią kolację. Męskim odpowiednikiem Jill był dla Wayne'a znajomy ze szkolnych czasów, Larry, drażliwy stary kawaler od chwili narodzin, ale z ironicznym poczuciem humoru, dzięki któremu w małych dawkach okazywał się całkiem zabawny. Wayne i Susan kilka razy żartowali, że powinni doprowadzić do spotkania delikatnej Jill z gruboskórnym Larrym – cóż to by była za katastrofa!

Teraz jednak Wayne'owi nie podobał się pomysł kolacji z Jill.

– Dlaczego? – zapytał. – Nie chcesz poznać sławnej Lucie?

– W żadnym wypadku – odparła Susan. – I nie chcę poznawać Bryce'a Proctorra, jeśli już o to chodzi, nie chcę znać żadnych szczegółów na temat tego, co robisz i co zamierzasz robić, nie licząc tych, które naprawdę muszę znać.

– Co to, zamierzasz się odtąd wszystkiego wypierać? – Wayne uśmiechał się, choć nie bawiła go ta sytuacja.

– Nie, oczywiście że nie. Ale to musi być twoja decyzja, Wayne, bez względu na to, jakie podejmiesz kroki. Jeśli ja wezmę w tym udział, to już nie będzie twoja decyzja i nigdy jej nie zaufasz. Miną lata, a ty wciąż będziesz mieć wątpliwości.

– Ale ta decyzja zależy także od ciebie. Twierdzisz, że nasze małżeństwo nie przetrwa, jeśli zacznę pracować jako nauczyciel w college'u, i, do cholery, pewnie masz rację. Więc ta decyzja zależy także od ciebie.

– Ale ja jej nie podejmę, Wayne – upierała się Susan. – Nie próbuję się wykręcać, ale ja po prostu nie chcę mieć własnego zdania na temat Lucie Proctorr, czy jak ona się teraz nazywa. Moje zdanie nie ma żadnego znaczenia. Moje zdanie mogłoby tylko skomplikować sprawę, bo jeśli pójde tam z tobą i ją poznam, będziesz musiał mnie zapytać, co na jej temat sądzę, a ja będę musiała ci odpowiedzieć, tylko że ja nie chcę doprowadzać do takiej sytuacji.

– A zatem chcesz, żebym się tym zajął sam – podsumował Wayne.

– Musisz. W tej kwestii jesteś zdany wyłącznie na siebie.

– Ale my wszystko robimy razem, Susan.

– Nie wszystko.

Wczesnym piątkowym popołudniem, przed wyjazdem z miasta na weekend, Bryce wstąpił do biura swojego prawnika, umówiwszy się przez telefon na spotkanie. Nie chodziło o prawnika Boba, faceta od rozwodów, lecz prawdziwego prawnika o nazwisku Fred Silver. Fred i prawnik Bob – który zwykł mówić o sobie per Robert Jacoby – pracowali dla tej samej kancelarii z biurami mieszczącymi się w Graybar Building nieopodal dworca Grand Central. Idealna lokalizacja dla Bryce'a, jeżdżącego do Connecticut linią Metro-North.

Fred Silver, który – nie tylko ze względu na nazwisko – bez wątpienia stanowił dla firmy żyłę srebra, miał również srebrne włosy. Zresztą wszystkie jego cechy zdawały się pozostawać w ścisłym związku z nazwiskiem i kolorem włosów. Gładki, lśniący, opanowany, kosztowny. Przywitał Bryce'a tym samym delikatnym uściskiem pulchnej, wypielęgowanej dłoni i wskazał to samo skórzane krzesło, które Bryce zawsze zajmował, po czym usiadł za biurkiem ze słowami: – Bob twierdzi, że jest postęp.

– A teraz zapytaj o to mnie – odparł Bryce.

Fred zachichotał. – Klientom zawsze się wydaje, że te sprawy trwają zbyt długo. Poczekaj, aż to się skończy, będziesz wdzięczny, że Bob postawił ostatnią kropkę nad „i”.

– Strasznie dużo tych „i” macie, babciu – rzucił Bryce. – Ale nie po to tu przyszedłem.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Muszę spisać umowę. Potrzebuję jej tak szybko, jak to tylko możliwe, i nikt nie może się o niej dowiedzieć.

Fred spojrział na niego zaskoczony i zaciekawiony – Bryce Proctorr nie należał do klientów, którzy lubili sprawiać niespodzianki.

– Sam wiesz, że wszystko, o czym tu rozmawiamy... – stwierdził i zamiast dokończyć wypowiedź, machnął lekko ręką.

– Tak, oczywiście. Wszystko zostaje między nami. – Bryce potarł dłonią twarz, jakby chciał się z niej pozbyć pajęczyn. W ciągu ostatniego roku ten zwyczaj nieświadomie wszedł mu w krew. – Musisz zrozumieć, że ten rozwód, to stawianie kropek nad „i” wyjątkowo mnie roz-kojarzyło.

– Oczywiście.

– Nie byłem w stanie pracować.

– Wiem, że trudno się skoncentrować, kiedy...

– Nie rozumiesz, Fred. Ja nie byłem w stanie pracować. W ogóle.

Po raz kolejny Fred poczuł się zaskoczony. – Nie wspomniałeś o tym.

– W zasadzie nikogo nie okłamywałem – odparł Bryce – ale też nie mówiłem całej prawdy. Joe co chwilę pyta – znasz go, mój redaktor–jak idzie z najnowszą książką, a ja odpowiadam, że powoli. Cóż, jeśli nie napisałem nic, to chyba też jest powoli?

– Nic? Bryce, rozmawiajmy poważnie, nie napisałeś absolutnie nic?

– Nie lubię nawet wchodzić do tego pokoju z komputerem – wytłumaczył Bryce. – Czasami mija cały tydzień, zanim zdecyduję się sprawdzić, czy nie przyszły jakieś e-maile.

Teraz Fred sprawiał wrażenie zaniepokojonego. – Pracujesz nad tym z kimś?

– Co masz na myśli? Terapię? Fred, ja doskonale wiem, na czym polega problem. Coś mi bezustannie buczy w głowie, to się chyba nazywa rozwód, i zanim to coś nie zniknie, nie będę się potrafił na niczym skoncentrować. Jedyne, co by wynikało z terapii, to kolejny powód do zniecierpliwienia.

Fred wierzył jednak, że na każdy możliwy do wyobrażenia ludzki problem przypada jakiś specjalista, który za odpowiednią opłatą potrafi go rozwiązać, więc rozłożył bezradnie ręce i powiedział z wyraźnym powątpiewaniem:

– Sam to wiesz najlepiej, Bryce.



– Mam nadzieję. W każdym razie to się musi wreszcie skończyć. Zalegam z książką i potrzebuję pieniędzy. W związku z czym postanowiłem zatrudnić współpracownika.

– Ty? Bryce, to wszystko, co dzisiaj mówisz... To do ciebie nie pasuje.

– Coś przecież muszę zrobić, Fred. Znam tego faceta od dawna, sam jest niezłym pisarzem, wydał kilka książek, ale niestety, nastąpiły dla niego złe czasy. Więc postanowił popracować nad nową powieścią razem ze mną i będzie ze mną pisać, ale z komercyjnego punktu widzenia byłoby bardzo źle, gdyby to wyszło na jaw. Dlatego musimy to zachować w ścisłej tajemnicy.

– Ale możesz mu zaufać...

– W stu procentach. Zależy mi na tym tak samo, jak mnie. No i jego karierze też by nie pomogło, gdyby się nagle okazało, że został ghostwriterem. To tak, jakby się wydało, że pisze nowelizacje.

– Nawet nie wiem, co to takiego – przyznał Fred.

– Literacka wersja filmu pisana na podstawie scenariusza.

– I zgaduję, że nie uważa się tego za zbyt ambitne zajęcie.

– To chałtura.

– Rozumiem. – Kiedy Fred przechodził do interesów, pochylał się i kładł przedramiona na biurku, prawą rękę w pobliżu pióra i żółtej podkładki, i właśnie tak zrobił w tej chwili. – Dogadałeś z tym facetem szczegóły?

– Według umowy zatrudnię go jako konsultanta redakcyjnego – powiedział Bryce i na moment zamilkł, podczas gdy Fred notował. – Ani słowa o współtworzeniu fabuły czy pisaniu. Jego praca ma charakter poufny, jeśli złamię ten warunek, nasz kontrakt przestaje obowiązywać i nie dostanie ani centa.

– A jeśli nie złamię?

– Pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów z pierwszych wpływów za nową książkę.

Tym razem Fred wyglądał na bezbrzeżnie zdumionego. – Bryce, to ogromna suma!

– Połowa zaliczki – doprecyzował Bryce. – Mówiłem, że to współpraca, więc należy mu się połowa. Ale później, za sprzedaż praw za granicę, prawa do ekranizacji i tak dalej, tylko jedna czwarta.

– Nie połowa?

– Nie, jedna czwarta.

– Zgodzi się na to?

– Jestem pewien – odparł Bryce, bo sam chciał się w tym upewnić. – Zrozumiem, że dodatkowy zysk wynika przede wszystkim z popularności mojego nazwiska, a nie z tego, co znajdzie się w książce.

– Na pewno masz rację – stwierdził Fred i z piórem w gotowości zapytał: – A jak brzmi jego nazwisko?

– Tim Fleet. Jak ta ulica.

Fred zanotował. – Kto go reprezentuje?

– Nikt. To umowa tylko między nami dwoma.

Fred odłożył pióro. – Jesteś pewien, Bryce? Naprawdę powinien go ktoś reprezentować. Jeśli pojawią się jakiegokolwiek wątpliwości...

– Nie będzie żadnych wątpliwości – zapewnił go Bryce, zdając sobie sprawę, że znów chodzi wyłącznie o skłonność Freda, by otaczać się magicznym kręgiem profesjonalistów wszelkiej maści. – Dogadaliśmy to z Timem. Dobiliśmy targu, a teraz chodzi tylko o to, by nadać umowie moc prawną.

– A jak ma to wyglądać terminowo?

– Najszybciej, jak to możliwe. Może na przyszły tydzień?

– Nie, nie – Fred pokręcił głową. – Chodzi mi o termin współpracy. Ostateczny. Deadline, tak to nazywacie?

– Och, to akurat otwarta sprawa. Żadnemu z nas nie zależy na dodatkowej presji. – Bryce wyszczerzył się i dodał: – Ta książka nawet nie ma tytułu. Dopiero nad nią pracujemy.

Bo przecież naprawdę nad nią pracowali, tak samo zresztą, jak nad tytułem. W pociągu kursującym do Danbury, na drodze do swojego przystanku, Bethel, ostatniego przed końcem linii, Bryce znalazł dla siebie podwójne wolne siedzenie – wyjeżdżał wystarczająco wcześnie, by uniknąć największego popołudniowego tłoku – i usiadł, by raz jeszcze przeczytać powieść, porobić notatki i zastanowić się nad tytułem.

Książka była dobra, z pewnością wystarczająco dobra, by stać się jego własną. W ten weekend chciał zeskanować ją do komputera i zacząć przepisywać. Zamierzał zachować główny wątek fabularny, ale wiedział, że nie obędzie się bez pewnych modyfikacji. Trzeba było odrobinę zmienić wymowę oraz styl, zniwelować różnice językowe, by tę powieść czytało się jak kolejną książkę Bryce'a Proctorra, a także zacieśnić fabułę w celu podniesienia napięcia, gdyż według Bryce'a jedną z wad stylu Wayne'a był brak głębi, jakby próbował pisać raport, a nie opowieść pełną dramatycznych wydarzeń.

Ponadto należało od nowa nakreślić najważniejsze postaci. Na przykład senator, sprawca problemów głównego bohatera, musiał się stać kimś zupełnie innym. W ujęciu Wayne'a przypominał dziekana uniwersytetu, twardego akademika, który nie lubił brudzić sobie rąk, podczas gdy Bryce widział go raczej jako kogoś w typie reżysera filmowego, jeszcze twardszego i pewniejszego siebie, w dużej mierze pozera. Pisanie tej postaci zapowiadało się na dobrą zabawę.

Przy pierwszym czytaniu maszynopisu skupił się jednak na języku. Zauważył na przykład, że za każdym razem, gdy bohaterom było coś nie w smak, na ich twarzach pojawiał się „grymas”. Bryce nie przepadał za tym słowem i nigdy by go nie użył, więc w pierwszej kolejności postanowił zamienić wszystkie „grymasy” na „krzywienie twarzy”.

Kolejny problem – tytuł. Nawet gdyby podobał mu się Dublet domina (a nie podobał ani trochę), nie mógłby go zostawić, bo zarówno agent, jak i były wydawca Wayne'a widzieli książkę pod takim właśnie tytułem. Trzecia książka Bryce'a nosiła tytuł Samotny bliźniak, który, ze względu na specyficzną relację łączącą biznesmena i senatora, pasowałby jak ulał. Szkoda, że już z niego skorzystał.

Sporo ludzi wysiadło na dwóch przystankach w Wilton, a później wiejska okolica z minuty na minutę stawała się coraz bardziej swojska i przyjazna. Isabelle powinna już czekać na miejscu, w jego domu, gdzie zamierzali wspólnie spędzić weekend.

Czuł się coraz bardziej zrelaksowany. Przestał się już nawet zastanawiać, czy Wayne Prentice da sobie radę, teraz jedynie pytanie brzmiało, czy da sobie radę jego powieść, a w końcu odpowiedział: tak.

Dwie twarze w lustrze. Zanotował.

6

Wayne próbował pracować nad nową książką. Wpadł na pomysł historii o mężczyźnie wyruszającym na poszukiwania brata, po którym ślad zaginął gdzieś w Ameryce Środkowej. Brat ów był rzekomo maklerem giełdowym w Nowym Jorku, ale w miarę poszukiwań pojawia się coraz więcej wątpliwości. Czy tak naprawdę pracował dla CIA? Prał pieniądze dla kartelu narkotykowego? Był związany z pravicowymi generałami? Wayne póki co nie znał odpowiedzi na te pytania, czuł jedynie, że postać głównego bohatera powinna w którymś momencie doprowadzić czytelnika do zaginionego brata. Tytuł roboczy brzmiał Bratnie widmo, ale Wayne z trudem potrafił się skupić na pracy.

Przede wszystkim po co to w ogóle robił? I kto był autorem? Poświęci mnóstwo czasu na grzebanie w źródłach i pisanie, by sprzedać gotową

powieść niszowemu wydawcy za pięć tysięcy dolarów? Albo zgola nikomu? Czy musiałyby stworzyć kolejny pseudonim? Wysiłek wydawał się zbyt wielki w stosunku do możliwych zysków, więc po co tracić czas?

Czy teraz był hobbystą? Jedną z tych osób, które piszą wyłącznie w weekendy i szlifują przez dziesięć lat tekst, który i tak przechodzi bez echa? Nawet jeśli...

Cóż, nawet jeśli dostanie od Bryce'a obiecane pieniądze, a Dublet domina ukaże się pod nazwiskiem Proctorr, co dobrego może z tego wyniknąć na dłuższą metę? Bryce w końcu się odblokuje, nie będzie wiecznie potrzebować ghostwritera, a pieniądze prędzej czy później się skończą. I co wtedy?

Zresztą tu nie chodziło o pieniądze, chodziło o pisanie. Wayne'owi zależało, by tak jak zawsze siedzieć przed komputerem i tworzyć opowieści, ale nie chciał, żeby było to zajęcie pozbawione sensu, uganianie się za własnym ogonem, jakiś rodzaj kpiny. Nie chciał oglądać w lustrze gęby półgłówka.

Oczywiście kolejny problem stanowiła Lucie Proctorr. Zaczął się zajmować nową książką w poniedziałek, lecz widmo najbliższego czwartku nie dawało mu spokoju, rozpraszało go, zmuszało do tworzenia fabuł, w których główną rolę odgrywała Lucie Proctorr, a nie Jim Gregory, bohater Bratniego widma.

W środę spędził więcej czasu, wałęsając się bez celu po mieszkaniu, niż siedząc przed komputerem, a czwartek był jeszcze gorszy, tym bardziej że Susan nie wracała z pracy do domu. Szła prosto do mieszkania Jiil na Riverside Drive, skąd wybierały się razem na kolację.

Zaproszenie na Niewierność przyszło we wtorkowej poczcie. Wyczytał w nim, że po spektaklu wszyscy goście są zaproszeni na poczęstunek do bufetu. Premierowy wieczór miał się rozpocząć godzinę wcześniej niż zwykle, o siódmej, więc o szóstej Wayne wyjadł resztki z lodówki.

– W każdym człowieku jest trochę dobra i trochę zła – powiedział do siebie. – Tylko jaką krzywdę ona wyrządziła mnie? W tym cały problem. – Czuł się coraz bardziej spięty, więc na rozluźnienie nalał sobie kieliszek białego wina. Więcej bał się pić.

Na zewnątrz panował chłód listopadowego wieczoru, chociaż ciepły płaszcz nie był jeszcze potrzebny. Wayne założył sportową marynarkę, niebieską koszulę i czerwony krawat, po czym pieszo ruszył na Grove Street, gdzie dotarł za dziesięć siódma. Na miejscu zastał zwyczajowy tłumek ludzi zbitych w grupy na chodniku przed wejściem.

Nikogo tu nie znał i wyglądało na to, że był jedynym samotnikiem. Pamiętając zdjęcie z „People”, bez kłopotu rozpoznał Lucie. Rozmawiała i śmiała się z dwoma innymi kobietami, a wszystkie trzy sprawiały wrażenie pięknych czterdziestolatek z etykietkami „PROSIMY NIE DOTYKAĆ TOWARU”. Obie koleżanki Lucie paliły, ona sama nie.

Na zewnątrz mieli powód wystawać tylko ci, którzy palili bądź chcieli porozmawiać ze znajomymi. Wayne nie zaliczał się ani do jednej, ani drugiej grupy, więc ruszył do wejścia i pokazał zaproszenie dziewczynie siedzącej przy rozkładanym stole na prawo od drzwi. Odszukała go na liście i wręczyła mu bilet oraz magazyn teatralny.

Przeszedł prosto do sali teatralnej, która okazała się dość ciasna, z wysokim, czarnym sufitem, rzędami siedzeń ustawionych na stromych stopniach po prawej i sceną po lewej. Samej sceny nie zasłaniała kurtyna, a scenografia wyglądała na bogatą, z salonem, kuchnią i schodami, mnóstwem mebli oraz mnóstwem drzwi. Reflektory sceniczne były w tej chwili wygaszone, więc całość sprawiała odrobinę tajemnicze i groźne wrażenie.

Widownia nie była pełna nawet w jednej czwartej, a Wayne zauważył, że mimo wszystko nie tylko on przyszedł tu sam. Jego miejsce znajdowało się na końcu rzędu po drugiej stronie, w jakichś dwóch trzecich odległości od

sceny. Przeszedł między sceną a widownią, świadomy, że na niego zerkają i że odwracają wzrok, nie rozpoznając w nim nikogo znajomego. Czy miałyby znaczenie, gdyby niektórzy zapamiętali, że był tu tego wieczora? Nie, wykluczone.

Magazyn, off-broadwayowa wersja „Playbilla”, zawierał mnóstwo plotek ze świata bardzo różniącego się od tego, w którym żył Wayne. Artyści, których on znał, byli wyłącznie literatami, choć niektórzy przeprowadzili się do Kalifornii, by pisać scenariusze filmowe, i czasami wracali straszyć kolegów po fachu przerażającymi historiami. Ludzie związani z teatrem żyli jednak w jakimś równoległym wszechświecie.

W „Playbillu” znalazły się jak zwykle krótkie biografie osób z branży, więc Wayne odszukał autora Niewierności, Jacka Wagnera. Wyglądało na to, że to jego pierwsza sztuka. Zawodowo zajmował się dziennikarstwem, pochodził z Missouri, skończył studia w Antioch, mieszkał w Rhinebeck z żoną Cindy i dwoma synami. Trzykrotnie nominowano go do nagród dziennikarskich, o których Wayne nigdy wcześniej nie słyszał.

Coraz więcej ludzi powoli gromadziło się w sali i po chwili po jego lewej pojawiła się rozradowana starsza para. Oboje mieli na sobie płaszcze i szale, a ona ścisnęła jeszcze wielką, czarną i nieporęczną torebkę ze skóry, w związku z czym zajęcie miejsc zabrało im dobrą chwilę. W międzyczasie Wayne znalazł listę osób i organizacji, które wspierały ten teatr, a następnie przeczytał biografię reżyserki. Janet Higgins, bo tak się nazywała, pochodziła z Florydy i wyreżyserowała pół tuzina off-broadwayowych sztuk o nic nie mówiących tytułach, a ponadto mogła się pochwalić dużym doświadczeniem w pracy w „teatrze regionalnym”.

– Dobry wieczór – odezwała się starsza pani po lewej. Jej mąż siedział obok Wayne'a, więc musiała się pochylić, by obdarzyć go uśmiechem.

– Dobry wieczór – odpowiedział Wayne.

– Czy to nie wspaniałe, że Jack może tu dziś być?

– Od dziennikarstwa do teatru – stwierdził Wayne z podziwem, jakby chodziło o jakiś akrobatyczny popis. – Śmiały krok.

– Nikt na to bardziej nie zasługuje niż on – zauważyła kobieta, co według Wayne'a nie wynikało ze znanych mu przesłanek, ale i tak się zgodził.

– Fred Gustav – przedstawił się mężczyzna. – Moja żona, Molly.

– Wayne Prentice.

– Prawda, że ruch był dziś okropny? – powiedziała Molly. – Aż trudno w to uwierzyć!

– Ja przyszedłem pieszo – odparł Wayne. – Mieszkam niedaleko.

Oboje spojrzeli na niego jak na interesujące wynaturzenie.

– Mieszka pan w Greenwich Village? – zapytała Molly.

– Aha.

– Cóż, to z pewnością rozrywkowe miejsce.

– Zgadza się.

– My mieszkamy w Yonkers – powiedział Fred. – Nasz syn Perry uczył się razem z Jackiem.

– W Antioch.

– Dokładnie tak!

Jacyś ludzie z przodu zawołali do Freda i Molly, a oni coś odkrzyknęli, zaś nieco dalej Lucie Proctorr weszła do sali sama i zajęła miejsce na prawym końcu pierwszego rzędu. W bezpośrednim świetle sufitowego reflektora jej blond włosy lśniły niczym oproszone opiłkami złota. Szara, przyciemniona scenografia za jej postacią przypominała grób.

Wayne'owi zrobiło się niedobrze.

Wayne nie miał pojęcia, o czym opowiadała sztuka – zauważył tylko, że bohaterowie często trzaskali drzwiami, stawali w rozkroku, by na siebie pokrzykiwać, było sporo śmiechu i nawet nieco aplauzu publiczności.

Zwracał uwagę przede wszystkim na blond główkę widoczną z przodu, wyłapującą część oświetlenia scenicznego.

Co dziwne, przez większość czasu jego myśli krążyły wokół Bratniego widma. Szczegóły na temat Jima Gregory'ego, ludzi, z którymi miał się spotkać w Gwatemali, wyruszenie na poszukiwania – wszystkie te rzeczy kłębiły mu się w głowie, choć przez cały tydzień ich tam brakowało.

Wayne podejrzewał, że na następnych spektaklach aplauz nie będzie tak huczny jak dzisiejszego wieczora – w końcu wszyscy tutaj byli w jakiś sposób powiązani z osobami odpowiedzialnymi za sztukę. Aktorzy otrzymali długie brawa, a po nich kilka razy rozległo się „Autor, autor!” i na scenę wyszedł rozpromieniony mężczyzna sprawiający wrażenie mola książkowego, ubrany w brązową sportową marynarkę i niebieski golf. Nosił też okulary o ciemnych oprawkach, które odbijały światło na publiczność i miał zadbaną bródkę a la van Dyck. Zgotowano mu owację na stojąco. Trzymał ręce złączone przed sobą, jakby skrępowano mu je kajdankami, raz za razem kiwał głową i uśmiechał się, uśmiechał...

Wtedy, w chwili którą Wayne uznał za najwłaściwszą, mężczyzna na scenie uniósł ręce, by uciszyć publiczność, co też się stało, po czym powiedział:

– Nie udałooby nam się tego wszystkiego dokonać, gdyby nie nasza cudowna reżyser, Janet Higgins!

Wówczas na scenę wkroczyła reżyserka i okazało się, że to jedna z kobiet, które rozmawiały przed teatrem z Lucie. Janet Higgins również otrzymała owację na stojąco, podczas której rozentuzjasmowana Lucie podskakiwała w pierwszym rzędzie, bijąc brawo wysoko nad głową, by dać Janet do zrozumienia, że to ona jest mistrzem.

Janet Higgins wygłosiła krótką mowę pochwalną, a następnie przedstawiła założyciela i głównego managera teatru, mężczyznę w wymiętym swetrze, który wygłosił kolejną mowę pochwalną i na koniec zaprosił wszystkich gości do bufetu na „drinki i smakołyki”.

Dziwnie było uczestniczyć w przyjęciu koktajlowym zorganizowanym w otoczeniu teatralnej scenografii. Człowiek jednocześnie znajdował się w salonie i nie znajdował. Ludzie gawędzili wesoło, Fred i Molly siedzieli na sofie skierowanej w stronę widowni, a kilka osób na schodach prowadzących donikąd. Błat kuchenny przemienił się w bar obsługiwany przez barmanów, kelnerów w smokingach i kelnerki, które krążyły między gośćmi z tacami przekąsek. Wayne przygarnął kieliszek białego wina i spacerując od salonu do kuchni i z powrotem, zastanawiał się, jak podejść do Lucie Proctorr, która sprawiała wrażenie wiecznie pogrążonej w rozmowie.

W końcu dostrzegł, że Jack Wagner jest wolny, więc szybko podreptał w jego stronę i wyciągnął rękę ze słowami: – Moje gratulacje.

– Och, dziękuję – odparł Wagner. – Dziękuję. – Miał bardzo jasne oczy, a jego dłoń drżała. W drugiej trzymał kieliszek wina, na którego powierzchni pojawiały się malutkie fale.

– Wayne Prentice. To ja jestem tym facetem, którego w ostatniej chwili wcisnął panu Bryce Proctorr.

– Och, to pan! – Emocje na twarzy Wagnera zmieniały się jak w kalejdoskopie różnych odcieni radości. – Tak się cieszę, że mógł pan przyjść.

– Ja również. Świetna sztuka.

– Dziękuję.

Rozglądając się, Wayne zapytał: – Jest tu gdzieś była żona Bryce'a, zgadza się?

– Och, Lucie! Jasne, to koleżanka Janet. Nie zna pan Lucie?

– Nie widzieliśmy się z Bryce'em całe lata. Chyba zaczął odnawiać stare znajomości po tym, jak zawaliło się jego małżeństwo... No



cóż, bardzo chętnie poznałbym Lucie Proctorr, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Nic prostszego – stwierdził Wagner. – Tylko, wie pan co, lepiej nie wspominać, że jest pan znajomym Bryce'a.

– Dobry pomysł. Zrobimy tak – znamy się, bo dzwoniłem kiedyś do pana, żeby poznać tajniki dziennikarstwa na potrzeby książki, którą właśnie pisałem.

– Świetnie. Chodźmy.

Lucie stała w kuchni, w grupce ludzi rozmawiających przy lodówce obok drzwi, za którymi znajdował się fragment ganku, a dalej zakulisowa ciemność. Wagner poczekał na właściwą chwilę, a wtedy powiedział: – Lucie, chciałbym ci kogoś przedstawić.

Miała ptasią czujność, zauważył Wayne, widać to było w jasnych oczach i w sposobie, w jaki odwróciła głowę. Opuściła swoje towarzystwo tak, jak opuszcza się wannę. – Tak?

– Lucie Proctorr, Wayne Prentice.

– Miło mi.

– Wayne to pisarz, ale jest w porządku.

– Och, niektórzy pisarze są w porządku – stwierdziła Lucie i uśmiechnęła się lekko do Wayne'a. – A czy pan jest sławnym pisarzem, panie Prentice?

– Och, skądże – odpowiedział. – Jestem pisarzem-domokrażcą, wożę swoje książki na pace samochodu.

– W takim razie musi pan być bardzo przekonującym sprzedawcą.

– Daję z siebie wszystko.

– Proszę mi coś sprzedać – rzuciła.

Wayne nie nadażał. – Słucham?

– Proszę mi sprzedać książkę...

– Wybaczcie – odezwał się w międzyczasie Wagner, bo ktoś go wołał, ale ani Lucie, ani Wayne nie zwrócili na niego uwagi.

– Niech mi pan sprzeda swoją ostatnią książkę – powtórzyła.

To by było zbyt skomplikowane.

– Nie – odparł – pójdę na łatwiznę. Sprzedam pani moją pierwszą książkę.

Obserwowała go z wesołym zainteresowaniem. – Dlaczego to będzie łatwiejsze?

– Podchodziłem wtedy do pisania z wielkim entuzjazmem.

– Już pan nie podchodzi?

– Czasami. Moja pierwsza książka, Z perspektywy Polluksa, opowiada o dwóch wojskowych, którzy mają zabezpieczać maszynę zdolną zniszczyć całą ludzkość. Jeden z nich dochodzi do wniosku, że to manifestacja Boga i trzeba ją za wszelką cenę chronić, natomiast drugi uważa, że to narzędzie Armagedonu i nie należy zakłócać jego działania. Oczywiście obaj sądzą, że stoją po tej właściwej stronie.

– Widać w tym artystyczne zacięcie – zauważyła Lucie.

– W zasadzie stawiałem na komercję – odpowiedział Wayne. – Wie pani, wysadzanie wszystkiego w powietrze.

Przez chwilę sprawiała wrażenie zamyślanej. – I jak brzmiał tytuł tej książki?

– Z perspektywy Polluksa.

– Przecież ja ją czytałam!

– Naprawdę? – zapytał zaskoczony.

– Mój mąż ją miał. Były mąż. Miał i pewnie wciąż ma. Zna go pan?

– Pani męża?

– Byłego męża, a w każdym razie już niebawem. Bryce'a Proctorra.

– Och, przecież on jest sławny – stwierdził. – Nie wydaje mi się, żeby on woził swoje książki na pace samochodu.

– Nie, chociaż byłoby dla niego lepiej, gdyby tak robił. Czy byłby pan tak miły i dolał mi wina?

– Z przyjemnością – zapewnił ją, po czym odszedł na bok, by napełnić oba kieliszki. Kiedy wrócił, Lucie z kimś rozmawiała, ale natychmiast przeniosła uwagę na niego i chwyciła kieliszek.

– Dziękuję. Z perspektywy Polluksa. A więc dlaczego pan nie jest sławny, panie Prentice? Pisze pan równie dobrze, jak mój były mąż. Czyżby brakowało panu siły przebiccia?

– Niewykluczone – odpowiedział.

– Daleko pan nie zajdzie, jeśli się pan tak będzie rumienił ze wstydu – zauważyła. – Ile książek dotychczas pan wydał?

– Dwanaście.

– I wciąż wśród literackiego motłochu. Powinien się pan wstydzić.

– To niekoniecznie tylko moja wina.

– Wszyscy przegrani tak twierdzą – skwitowała Lucie.

Wayne nie mógł dać po sobie poznać, że zaczyna działać mu na nerwy. – Miała pani do czynienia z wieloma przegranymi? – zapytał.

– Na szczęście niezbyt długo. Nad czym pan obecnie pracuje?

– Nad mężczyzną, którego brat zaginął. Wyrusza, by go odnaleźć, chociaż na końcu okaże się, że tak naprawdę szukał siebie.

– Znów odrobinę artystycznie, choć komercyjnie?

– Sporo machlojek – odparł. – I generałowie krajów Ameryki Południowej.

– Och, czy my już tego wszystkiego nie znamy?

– Nie znamy mojego bohatera i jego brata.

– Tylko że nie jestem pewna, czy koniecznie musimy ich poznawać – stwierdziła. – Niech mi pan to sprzeda.

– Nie tutaj. Za dużo się dzieje.

Znów to drapieżne, ptasie spojrzenie; sokoła, który wypatrzył ofiarę? – Czyżby zapraszał mnie pan na randkę?

Nie zapraszał. Działała tak agresywnie, tak szybko, że jedyne, co mógł robić, to w pocie czoła wymyślać na poczekaniu właściwe odpowiedzi. Przebywanie w jej towarzystwie przypominało mecz tenisowy, podczas którego człowiek nie może zaplanować następnego zagrania.

– Oczywiście – odparł, ponieważ bez względu na przebieg wypadków musiał się teraz do niej zbliżyć.

Przypomniał sobie, jak Bryce powiedział, że kiedyś zakochał się w tej kobiecie, ale czy groziło to jemu, Wayne'owi? Nie. Wcześniej zaprzeczył ze względu na Susan, teraz jednak robił to ze względu na Lucie – sprawiała wrażenie zbyt niespokojnego ducha, by móc się w niej zakochać. Owszem, mężczyźni z pewnością jej pożąдали, bo chcieli sprawdzić, czy da się przyprzeć to żywe srebro fiutem do muru, ale to nie miało nic wspólnego z miłością.

– Kolacja w przyszły poniedziałek? – zapytał.

– W poniedziałek jestem zajęta. Dlaczego nie zadzwonisz do mnie we wtorek?

– Bo nie znam twojego numeru.

– Och, już za chwilę go poznasz – odpowiedziała ze śmiechem. – I jestem przekonana, że ja za chwilę poznam twój.

Susan nie spała, kiedy wrócił do domu.

– Poznałem ją – rzucił głośno i podreptał do kuchni nalać sobie kolejny kieliszek wina. Czekwała na niego w salonie. Usiadł obok. – Susan, wydaje mi się, że od tej chwili nie powinienem o tym z tobą rozmawiać.

– Powiedz mi tylko, czy ci się spodobała – poprosiła.

– To interesująca, ale odpychająca kobieta – odparł.

– Dobrze.

– I wiesz, chyba powinniśmy pójść teraz z tego wszystkiego do łóżka...

– A więc Lucie aż tak cię nakręciła? – zapytała rozbawiona Susan.  
– Dzięki niej przypomniałem sobie, jak ty potrafisz mnie nakręcić – odparł Wayne, co było niemalże zgodne z prawdą. Później, kiedy leżał w łóżku, a Susan już spała, zastanawiał się, jak taka kobieta potrafiła przyciągnąć silną, wpływową osobowość, jaką z pewnością był Bryce. Stanowiła dla niego wyzwanie, a on nigdy nie przestawał wierzyć, że potrafi temu wyzwaniu sprostać. Tylko że ona nie zamierzała ustąpić, w jej przypadku zawieszenie broni nie wchodziło w grę, nie było sposobu, by zakopać topór wojenny. Oprócz jednego.

Następnego dnia Wayne znalazł w poczcie cztery egzemplarze umowy zawartej pomiędzy Bryce'em Proctorrem a Timem Fleetem, mieszkającym pod tym adresem. Jej treść, choć sporządzona z wielką dbałością o szczegóły, brzmiała bardzo jednoznacznie i opisywała wszystko tak, jak to omówili w trakcie spotkania.

– Zauważyłeś – powiedział do siebie Wayne – że dostajesz tylko jedną czwartą wszystkich dodatkowych zysków, tych ze sprzedaży praw. I zysków z ewentualnej ekranizacji, widziałeś? Ale w porządku. To tylko sposób, by wydostać się z piekła, tak jak Jim Gregory wydostał się z Gwatemali. Nawet jeśli Dublet domina – czy jakkolwiek zatytułuje go Bryce – zarobi miliony dolarów, to co z tego? Niech ma trzy czwarte, niech weźmie wszystko. Przecież nie zarobiłbym ani centa, gdyby na okładce nie ukazało się jego nazwisko. A poza tym tak czy inaczej nie chodzi tu o pieniądze, nieprawdaż?

Razem z umowami przysłała niewielka karteczka:

*Drogi Timie,  
podpisz, proszę, wszystkie egzemplarze, jeden zostaw dla siebie, a resztę odeślij. Wyślij je, kiedy nadejdzie właściwa chwila, a wówczas ja wyjadę na kilka tygodni do Kalifornii.*

*Jestem pewien, że ta współpraca okaże się dla nas owocna.*

*Z pozdrowieniami  
Bryce*

– „Na kilka tygodni do Kalifornii” – przeczytał na głos Wayne. – Oczywiście po to, żeby być po drugiej stronie kontynentu, kiedy to się wydarzy.

Miał w pracowni przy biurku wysoką metalową szafkę na dokumenty z czterema szufladami. Wyjął z drugiej nieużywaną brązową teczkę i schował do niej wszystkie egzemplarze umowy wraz z notką Bryce'a. Następnie wyciągnął z portfela fragment strony, który wyrwał z „Playbilla”, by Lucie Proctorr mogła zapisać na nim swój numer telefonu i adres na Broadwayu. Przepisał to wszystko do wizytownika i strona z „Playbilla” również powędrowała do teczki.

Zamyślił się na chwilę, próbując zdecydować, jaki nadać jej tytuł, aż w końcu zostawił okładkę czystą. Wsunął teczkę między „KSIEGOWOŚĆ” a „MAGAZYNY”. Wiedział, gdzie jej szukać – pod „LUCIE”.

7

Przez następne półtora tygodnia Bryce z zadowoleniem pracował nad Dwoma twarzami w lustrze. Nie żeby zapomniał o problemach – teraz zaledwie wydawały mu się odleglejsze.

Strukturalnie powieść była całkiem niezła, chociaż mniej więcej w połowie pojawiały się pewne zawirowania czasowe, które dało się uprościć – więc to zrobił. Praca nad wymową i stylem, by zamienić książkę Wayne'a Prentice'a na książkę Bryce'a Proctorra, szła gładko; w każdym przypadku niemal natychmiast wiedział, jak ująć myśli Wayne'a własnymi słowami.

Trzeci rozdział – robiąca piorunujące wrażenie scena, w której bohater ocierał się w górach o śmierć – Bryce przeniósł na sam początek, a resztę odpowiednio dopasował. Zrobił to z dwóch powodów: po pierwsze miał wrażenie, że z tak mocnym otwarciem czytelnik szybciej się wciągnie, a po drugie zakładał, że jeśli ktokolwiek z garstki ludzi, którzy widzieli oryginał, dorwie gotową książkę w swoje ręce, to przynajmniej z początku fabuła nie będzie mu się wydawać znajoma. Jeżeli zaś dostrzeże pewne podobieństwa później – cóż, nic złego się nie stanie, w końcu każda książka kojarzy nam się z tymi, które już czytaliśmy.

W weekend mógł się spotkać z Isabelle. Trzydziestoczteroletnia rozwódka, delikatna i kształtna, o czarnych, lśniących włosach, była córką hiszpańskiego dyplomaty, który całkiem niedawno wrócił do ojczyzny z jakiejś długoterminowej delegacji przy ONZ-cie. Były mąż Isabelle, rodowity Hiszpan, po rozwodzie w Hiszpanii otrzymał prawo do opieki nad trójką dzieci, z których żadne nie skończyło dwunastu lat. Ten fakt, tak jak Lucie dla Bryce'a, stanowił dla Isabelle powód przeciągającej się agonii i walki, a kiedy byli razem, w swoich ramionach odnajdywali tymczasowe pocieszenie i zapomnienie. W Madrycie ojciec Isabelle walczył o doprowadzenie do ponownej rozprawy, ale z jakichś powodów Kościół katolicki stał po stronie byłego męża – Bryce doszedł do wniosku, że lepiej nie poruszać tej kwestii.

Przyjeżdżali do Connecticut osobno w każdy weekend, Isabelle w piątek rano, a wracała w poniedziałek po południu. Pracowała jako copywriter dla agencji reklamowej, zajmując się przede wszystkim pisaniem sloganów do katalogów wytwórców ubrań z tworzyw sztucznych. Szef poszedł z nią na układ, by mogła pracować w domu – właściwie w domu Bryce'a – w piatki i poniedziałki, pod warunkiem że w razie konieczności będzie odbierała faksy i wysyłać z powrotem przygotowane materiały. Poza tym oczekiwano od niej tylko tyle, by po dłuższym weekendzie była wypoczęta i uzbrojona w nowe slogany.

Bryce podróżował pociągiem. Zwykł jeździć samochodem i uwielbiał to, ale trzy zimy temu wraz z Lucie rozbili się w karambolu na autostradzie międzystanowej 84, a wizja strat dużo większych od obtłuczonego bmw – tego, które dostał za reklamę – długo spędzała mu sen z powiek. Za bardzo cenił życie, by się go tak łatwo pozbywać. A poza tym nie dojeżdżał do pracy w normalnym sensie, nie musiał pod presją czasu na złamanie karku pędzić do Nowego Jorku, więc czemu nie skorzystać z pociągu – dogodnego, komfortowego i bezpiecznego środka transportu?

Wyjechał w poniedziałek po godzinach szczytu i znów znalazł dla siebie podwójne miejsce, dzięki czemu mógł powrócić do czytania Dwóch twarzy w lustrze. Od czas do czasu zdarzało się, że ktoś prosił go w pociągu o autograf, ale większość pasażerów tej linii wydawała się zbyt subtelna, by zwracać mu głowę. Dostrzegał co prawda, że go rozpoznają, ale zostawiali go w spokoju.

Zrobił z maszynopisem praktycznie wszystko, co się dało. To od początku była dobra powieść, a on czuł, że dzięki niemu stała się jeszcze lepsza. Pozostawała tylko jedna kwestia – by Wayne odesłał podpisaną umowę.

Odesłał. Gdy Bryce dotarł do domu tuż przed porą lunchu, czekała na niego sobotnia poczta, wśród której znalazł kopertę podpisaną „Prentice” w miejscu adresu zwrotnego. Brązowa, niezbyt gruba koperta standardowej wielkości opatrzona nalepką „PRIORYTET”.

Zobaczył ją na stoliku przy drzwiach wejściowych, gdzie Jorge, odzwierny, zostawiał pocztę, kiedy Bryce'a nie było domu, a strach momentalnie zmroził mu krew w żyłach. Zrobił to! – pomyślał. Zabił ją!

Nie otworzył koperty ani nie przejrzał pozostawionej poczty. Zamiast tego poszedł dalej, słaby, na drżących nogach, do salonu, gdzie usiadł plecami do panoramy Central Parku. Cały się trząsał, gardło miał ściśnięte.

Nie, nie zabił – doszedł po chwili do wniosku. Uspokój się. Na pewno zrozumiał, co miałem na myśli, kiedy pisałem o Kalifornii. Ona wciąż żyje.

Kiedy już utwierdził się w przekonaniu, że jedyny powód tej chwili grozy stanowiła myśl, że Prentice zabił Lucie, nie dając mu szans na stworzenie przekonującego alibi, wstał, przeszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki otwarty pojemnik jogurtu naturalnego. To mu pomoże uspokoić żołądek. Lucie nie lubiła, kiedy wyjadał jogurt prosto z pojemnika, a potem wkładał go z powrotem do lodówki, ale teraz nie miał nikogo, kto mógłby zrzędzić.

Z powrotem w przedsionku sprawdził adresatów pozostałych przesyłek, nie zaglądając do środka ani nie zwracając sobie nimi głowy, aż w końcu przemógł się i otworzył brązową kopertę od Wayne'a Prentice'a, a w środku znalazł trzy egzemplarze umowy oraz dodatkową kartkę papieru do pisania z krótkim tekstem wydrukowanym na komputerze:

Miłego pobytu w Kalifornii.

Trzeba było więc pozalać parę spraw, skontaktować się z agentem turystycznym i kilkoma innymi osobami, spakować rzeczy, porozmawiać z Isabelle. Czy mogłaby przyjechać do Kalifornii? Zamiast tego postanowił jednak zadzwonić do biura prawnika Boba, gdzie poinformowano go, że Bob ma teraz klienta.

– Czy mogłaby mu pani przekazać, żeby zadzwonił, gdy tylko będzie wolny? To dość pilna sprawa.

Sekretarka odpowiedziała, że przekaże, a on poszedł do sypialni powyciągać rzeczy, które chciał zabrać do Los Angeles. Po drugiej stronie kontynentu było zbyt wcześnie, żeby tam dzwonić, a teraz nie miał ochoty rozmawiać z agentem turystycznym.

Co jednak, jeśli to wszystko okaże się zbędne? Bo jeśli sprawa rozwodowa faktycznie zbliża się ku końcowi, wystarczyłoby, że poczekają z Wayne'em kilka tygodni, najwyżej miesiąc i przekażą wydawcy Dwie twarze w lustrze bez ryzyka utraty połowy zaliczki na rzecz Lucie. Gdy tylko dojdzie do podpisania orzeczenia rozwodu, będą mogli z powodzeniem zrealizować plan, eliminując jedyny niebezpieczny krok.

Byłoby lepiej, gdybyśmy jednak nie musieli wykonywać tego kroku, powiedział sobie rozsądnie. Lepiej dla nas. Lepiej dla mnie.

Minęła prawie godzina, zanim prawnik Bob oddzwonił. Miał charakterystyczny głos, głęboki, lecz surowy i z delikatną chrypką. Nadawałby się na bas w kwartecie rewelersów, gdyby nie fakt, że brakowało mu muzykalności.

– Helen mówi, że to pilne – zaczął.

– Cóż, nie wiem, jak bardzo pilne – odparł Bryce. – Chodzi o to, że wybieram się na jakiś czas do Los Angeles, w grę wchodzi ekranizacja książek...

– Przystopuję ich, jeśli ty możesz.

– Och, wiem, że możemy to zrobić – zapewnił go. – Ale po prostu przed wyjazdem zacząłem się zastanawiać, jaka jest szansa, że szybko ujrzymy światło jutrzenki.

– Światło jutrzenki? – Prawnik Bob najwyraźniej nie rozumiał tego pojęcia.

– Finał sprawy – wytłumaczył Bryce. – Czy istnieje choćby cień szansy, że w ciągu kilku tygodni podpiszemy wszystkie papiery i będziemy to mieć za sobą?

– Kilka tygodni? Wykluczone. Wydawało mi się, że to rozumiesz, Bryce. Na pewno nie w tym roku. Przy odrobinie szczęścia na wiosnę.

– Jezu, Bob, to jest takie...

– Bryce, nadal rozstrzygamy przed sądem pewne wątpliwości. Na przykład miejsce zamieszkania. Prawa autorskie są ci przyznawane tam, gdzie mieszkasz. Jeżeli mieszkasz w Connecticut, a Lucie w Nowym Jorku,



to czy nowojorski sąd może rozporządzać dobrami z Connecticut? W niektórych przypadkach tak, ale w twoim nie jest to jednoznaczne.

– Wydawało mi się, że to wyjaśniliśmy – powiedział Bryce. – Korzystałem z domu w Connecticut jako stałego miejsca zamieszkania, bo nie płaciłem tam podatku dochodowego, a Lucie zatrzymała mieszkanie w Nowym Jorku, bo było na jej nazwisko i nie mogli żądać bająńskiego czynszu.

– Złożyli apelację – wyjaśnił prawnik Bob. – Cały ten proces jest bardzo żmudny i jałowy, Bryce, nawet nie chciałbyś znać najkrwawszych szczegółów, ale uwierz mi, że koniec końców to my zwyciężymy.

– Koniec końców.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że grają na zwłokę, bo czekają, aż wydasz nową książkę.

– Skurwysyny.

– Nie do końca – stwierdził prawnik Bob. – Możemy użyć tego argumentu w sądzie i wydaje mi się, że będzie wtedy brzmieć przekonująco. Ale do tego czasu musimy po prostu ciągnąć proces, to wszystko.

– A więc nie w tym roku.

– W przyszłym. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć? – Bryce nie mógł uwierzyć, że prawnik Bob mówi to poważnie, choć z drugiej strony dotychczas nie udało mu się stwierdzić u niego obecności poczucia humoru.

– Te sprawy trudno przewidzieć, Bryce – tłumaczył prawnik Bob. – Głównie dlatego, że ludzie, którzy się rozwodzą, nie zawsze działają racjonalnie. Ale zgaduję, że wykluczając nieprzewidziane czynniki, zakończymy to jakoś na wiosnę. Podziękuj losowi, że nie mieliście dzieci, wtedy dopiero by się wszystko przeciągało.

Jak z dziećmi Isabelle. Zawsze jest ktoś w gorszej sytuacji niż ty – powiedział sobie Bryce, a przed oczami błysnął mu obraz Lucie, który natychmiast stłumił.

– Dzięki, Bob – powiedział. – Po prostu chciałem wiedzieć, jak stoja sprawy.

– Mniej więcej tak, jak stały, Bryce.

– Przyjąłem to.

Szukając numeru telefonu do agenta turystycznego, przyszła mu do głowy myśl: a może by tak zadzwonić do Lucie? Miał numer do jej mieszkania. Zadzwonić, powiedzieć: słuchaj, może byśmy to wreszcie zakończyli, niech każde idzie w swoją stronę? Ty powiesz swojemu prawnikowi, żeby przestał przeciągać sprawę, ja powiem swojemu i po prostu to zakończymy, koniec z żalami i urazami, zaczniemy dla odmiany zajmować się przyszłością...

Nie. Już słyszał jej głos, już słyszał śmiech przepełniony pogardą. Miały się przed nią otworzyć? Wystawić na cios? Przecięłaby go na pół.

Poza tym rozmowy telefoniczne dało się rejestrować. Nikt nie powinien rejestrować takiej rozmowy na krótko przed...

Agent turystyczny. Wybrał numer.

8

Jutro wieczorem wychodzę – powiedział Wayne.

Susan już chciała spytać, dokąd, zauważył to na jej twarzy w blasku świec, przy których jak zwykle jedli kolację późnym wtorkowym popołudniem. Widział, jak w jej głowie formuje się pytanie i jak po chwili sama znajduje odpowiedź. Spojrzała w dół na talerz, sprawiając wrażenie zażenowanej, i zapytała cicho:

– Wrócisz późno?

– Raczej nie.

Zupełnie jakby miał romans, spotykał się z inną kobietą i jakby próbowali ocalić małżeństwo, udając, że tak naprawdę nic się nie dzieje, podczas

gdy Susan czekała, aż sekretny związek wreszcie się rozpadnie, zaś Wayne czekał, aż...

Aż co? Aż Bryce zadzwoni przekazać, że to był tylko dowcip? Chyba nie wzięłaś tego poważnie, co, kolego, przecież się wydurnialiśmy, dwóch mistrzów intrygi knuło kolejny spisek!

Umowa była jednak prawdziwa, sporządzona przez prawdziwą kancelarię prawniczą. Dublet domina nie wrócił od Bryce'a. A Wayne odesłał podpisaną umowę razem z lakoniczną notką na temat Kalifornii. Gdyby Bryce chciał zmienić zdanie, właśnie nadeszła na to odpowiednia chwila.

A gdyby on chciał zmienić zdanie? Tylko jak? Oddał swoją nieopublikowaną powieść, podpisał i odesłał umowę, spotkał się z Lucie Proctorr i umówił na kolację. Zaczął działać, dokądkolwiek by te działania nie zmierzały, bo jaką miał alternatywę? Znalazł się w tej sytuacji, ponieważ nie miał alternatywy.

Dokończyli posiłek w milczeniu i obejrzeni jakiś program w telewizji. Kiedy szli spać, ciało Susan wydawało mu się dziwne, obce, nie pociągało go. Czuł, że ona myśli podobnie o nim.

Zanim zgasili światło, zapytała: – Czy to już będzie koniec?

– O nie – odparł zaskoczony, że liczyła na tak łatwe i szybkie zakończenie sprawy. – Nie, to tylko... To jeszcze nie koniec.

Chciał powiedzieć, że to tylko rekonesans, nic więcej. Spotkam się z Lucie w jej mieszkaniu, wyjdziemy coś zjeść w okolicy, żebym mógł sprawdzić, jakie mam możliwości. Nawet nie wiem, jak, gdzie, kiedy, czym. Wydaje mi się, że celowo unikałem tych pytań.

Niewykluczone, że niebawem będzie musiał wybrać się pociągiem na południe kupić broń. Nigdy żadnej nie miał i nigdy z żadnej nie strzelał, ale to się mogło zmienić.

Co jeszcze, jakie są inne możliwości? Musi się zastanowić, zobaczyć, czy jutrzejszy wieczór nie podsunie mu jakichś wskazówek. Pewni bohaterowie jego książek pewnymi sposobami zabili pewną liczbę osób, ale w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć, jak to robili i dlaczego wydawało się to wówczas takie proste.

Chciał powiedzieć: nie, Susan, to tylko rekonesans, nie przejmuj się jutrem. Ale gdyby to powiedział, doprowadziłby do rozmowy, której przecież zgodzili się unikać. Żadnych rozmów, chyba że później. W nieokreślonej przyszłości.

Przy zgaszonym świetle niespodziewanie przypomniał sobie o stosie skserowanych CV. Wciąż leżały w biurze na metalowej szafce wraz z częściową listą adresów, które przestał spisywać, gdy zaczepił go Bryce Proctorr. A gdyby je tak wysłać, tylko po to, by się przekonać, co będzie?

Ale nie jutro, to by przyniosło pecha. W czwartek po randce (randce!) z Lucie. Nawet nie wspomni o tym Susan, po prostu wyśle, żeby sprawdzić, kto odpowie. Może gdzieś tam czeka na niego wspaniała posada, o której nawet nie wie, taka, która pozwoli Susan kontynuować karierę.

Wyśle je, pomyślał. Najpierw rekonesans, a później CV.

Nie potrafił zasnąć, był niespokojny. W którymś momencie, przewracając się z boku na plecy, musnął prawą ręką dłoń Susan, a ona natychmiast zacisnęła swoje palce wokół jego. Trzymał je mocno, gdy tak leżeli obok siebie, nie rozmawiając, połączeni uściskiem.

Wayne zarezerwował stolik na ósmą i umówił się z Lucie przez telefon, że odbierze ją z mieszkania o siódmej trzydzieści.

– Jeśli pogoda dopisze, pójdziemy pieszo, to tylko kilka przecznic od ciebie.

– Tak? A dokąd idziemy? – zapytała.

– Do „Salt” – wymienił nazwę restauracji przy Columbia Avenue.

– W porządku – odparła, ale była zaskoczona, że wybrał taki dobry lokal. – Nigdy tam nie jadłam, a zawsze chciałam.

– A więc do jutra – pożegnał się.  
A w środę o siódmej trzydzieści zapłacił za taksówkę pod jej mieszkaniem i na minutę zatrzymał się na chodniku.  
Był zimny, ale suchy wieczór późnego listopada. Wayne stał pod nowoczesnym wysokościowcem na Broadwayu, który zajmował połowę zachodniego kwartału, jednym z tych, które kilka lat temu wyrastały w okolicy jak grzyby po deszczu. Fasada była wykonana z cętkowanego, jasnobrązowego kamienia wyszlifowanego na wysoki połysk, a szerokie wejście stanowiło wzór najnowszej technologii – szklane drzwi z chromowaną ramą, które pasowały bardziej do lotniska niż budynku, w którym mieszkają ludzie. W środku, po prawej, za wysokim biurkiem z tego samego materiału co fasada, siedział portier i czytał.  
Portier. Dziś to nie problem, pomyślał Wayne, ale w przyszłości? Czegokolwiek, kiedykolwiek i w jakkolwiek sposób nie zamierzałby zrobić, to na pewno nie tutaj. A czy mimo to ów portier potrafiłby go później rozpoznać – mężczyznę, który od czasu do czasu odwiedzał Lucie Proctorr? Odwrócił się i ruszył w górę przecznicę, obserwując portiera przez szklaną ścianę. Mężczyzna wydawał się całkowicie pogrążony w lekturze. Czytał fotonowelę, hiszpański rodzaj komiksu, w którym zamiast rysunków używano zdjęć aktorów i aktorek.  
Wayne dotarł do rogu ulicy i odwrócił się, próbując podjąć jakąś decyzję. Zadzwoić do Lucie? Zaproponować, żeby spotkali się przed restauracją? Za późno. Zresztą, jaką miał wymówkę?  
Było także zbyt późno, żeby zrezygnować. Pozostała mu tylko jedna opcja – brnąć dalej, dostosowując się do warunków i sytuacji.  
Tym razem, kiedy dotarł do wejścia, postawił kołnierz płaszcza i nasunął kapelusz nieco niżej na czoło; tylko odrobinę, nie chciał wyglądać jak ścigany skazaniec. Następnie wszedł do holu i momentalnie przybliżył złożone w miseczkę dłonie do twarzy, jakby chciał w nie chuchać.  
– Robi się zimno – powiedział.  
Portier przytknął palec do miejsca, w którym skończył czytać, i spojrzał niecierpliwie na Wayne'a. – Z kim pan chce się widzieć?  
– Z panią Proctorr.  
Przytrzymując prawą dłoń otwartą stroną, sięgnął lewą po telefon wewnętrzny, postawił go na biurku i wybrał numer, pytając:  
– A pan jest?  
– Proszę powiedzieć, że Wayland – odparł Wayne i odwrócił się w stronę ulicy, by obserwować ruch drogowy, dzięki czemu portier nie widział nawet jego pełnego profilu.  
Mężczyzna rzucił coś do telefonu, a zaraz potem odstawił go na miejsce i ze wzrokiem utkwionym z powrotem w fotonoweli, powiedział: – Szesnaście C, druga winda, tam u tyłu.  
– Dzięki.  
Wayne szedł do windy dumny z siebie. Doszedł do wniosku, że Lucie nie będzie zdziwiona, kiedy portier przekreśli jego imię, a jeśli kiedykolwiek będą go przesłuchiwać, nie poda właściwego.  
Jechał windą sam. Gdy drzwi rozsunęły się na szesnastym piętrze, ujrzał dość ciasną, ale dobrze urządzone czworokątne przestrzeń, którą współdzieliły cztery mieszkania. Lucie stała w wejściu po lewej.  
– Dokładnie o czasie – powiedziała na widok Wayne'a. – To się chwali.  
– Staram się jak mogę.  
– Wejdz.  
Cofnęła się o krok, a on wszedł bezpośrednio do dużego salonu o nisko zawieszonym suficie. Właściciele budynku zadbali o wystrój pomieszczenia, urządzonego ze smakiem, choć w sposób przywodzący na myśl anonimowość, jak w apartamencie drogiego hotelu. Dominowały beże i rdza – kolory kanap, stolików, dywanu zakrywającego większą część podłogi z jasnego drewna, a nawet kilku obrazów, które

przedstawiały scenerie rodem z południowoeuropejskich wiosek, strome ulice i stare kamienne ściany.

– Usiądź na chwilę – poprosiła Lucie i skinęła lekko, jakby lekceważąco w kierunku niskich kanap. – Jestem prawie gotowa. Idziemy pieszo?

– Chyba tak – odpowiedział. – Ładny dziś wieczór.

– Masz ochotę na drinka?

– Tylko jeśli ty pijesz.

– Jednego na drogę. Skoro mamy iść pieszo, wypiję wino. Czerwone, bo mamy już zimę. A ty?

– To samo.

– Zaraz wracam.

Ruszyła do innego pomieszczenia wewnętrznym korytarzem, a Wayne rozejrzał się i stwierdził, że nie ma ochoty zapadać się w jednej z niskich kanap. Zamiast tego przeszedł przez długi pokój do szerokiego okna i wyjrzał przez nie ponad dachami niższych budynków na czarne wody rzeki i położone dalej New Jersey.

Szesnaście piętér. Wysoko. Tylko że szyby były tu wzmocnione, a okien nie dało się otworzyć. Czy gdzieś w mieszkaniu znajdowało się otwierane okno? Może w sypialni.

Zły pomysł. Wrzeszcząca kobieta wypadająca wieczorem z mieszkania, on czekający przy windzie i portier w lobby.

Lucie wróciła z czerwonym winem w zaskakująco fantazyjnie wytrawionym szkle.

– Ładne – powiedział, kiedy chwytał kieliszek.

– Nie próbuj mnie oceniać na podstawie otoczenia – powiedziała. – Wynajęłam to mieszkanie umeblowane, dosłownie wszystko znajdowało się tutaj przed moim przybyciem.

– Wszystko?

– Prawie wszystko – przyznała i spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek. – Czemu pytasz?

Na stoliku przy sofie stała statuetka z terakoty, przedstawiająca masywnego konia i dosiadającego go jeźdźca, wysoka na niecałą stopę, ale zbyt duża na to miejsce. Wayne zauważył ją, gdy wchodził, i odgadywał, że to kopia jednego z tysięcy terakotowych kawalerzystów, odkopanych kilka lat temu w Chinach. Czytał o nich, prowadząc badania na jakiś temat. Skinął na statuetkę kieliszkiem z winem.

– To jest twoje, zgadza się?

Lucie jeszcze bardziej zmrużyła oczy. Przeniosła wzrok na statuetkę, jakby się chciała upewnić, kto jest jej właścicielem, a potem skinęła szybko głową i powiedziała: – Postaraj się nie być zbyt błyskotliwy.

– To mi akurat nie grozi – stwierdził Wayne i spróbował przywołać na twarz przyjacielski uśmiech, by nie zagęszczać atmosfery. Chciał tu przecież jeszcze kiedyś wrócić, nieprawdaż? Odwiedzić ją ponownie?

– To dobrze – odparła. Ponownie zmiierzając w kierunku korytarza, rzuciła za siebie: – To mi nie zajmie wiele czasu. Mężczyzna by tego nie zauważył, ale moje włosy nie są gotowe na publiczną inspekcję. Wracam za minutę.

Wróciła za piętnaście. Spędził część czasu, spacerując po salonie z kieliszkiem w dłoni. Doszedł do wniosku, że takie apartamenty wynajmowali głównie pracownicy wielkich korporacji, biznesmeni wysłani na kilka tygodni czy miesięcy do Nowego Jorku. Fakt, że mieszkała tu Lucie Proctorr, mógł wskazywać, że jej życie, tak jak życie Bryce'a, również zatrzymało się na czas rozvodu.

Ważył w dłoni różne przedmioty, szukając ciężkiego, niebezpiecznego narzędzia, ale wszystko wydawało się zbyt lekkie. A poza tym czy potrafiłyby to zrobić? Uderzyć kogoś w tył głowy... tamtą popielnicą? Te gęste złote włosy – czy one przypadkiem nie zamortyzują uderzenia?

Kiedy Lucie wreszcie się pojawiła, w jego oczach wyglądała dokładnie tak samo, jak przed wyjściem, ale sama wydawała się zadowolona ze zmian – jakie by one nie były.

– Jestem gotowa. Mocno dziś wieje?

– Niezbyt.

– Wezmę szal – postanowiła, a on pomyślał o duszeniu szalem. O Isadorze Duncan. Nie wyobrażał sobie, żeby to mogło zadziałać.

Pomógł jej z płaszczem i wyszli z mieszkania przywołać windę. Szukając tematu do rozmowy, powiedział:

– Wydawało mi się, że umeblowane apartamenty wynajmują głównie pracownicy korporacji.

– I rozwiedzione kobiety, które mieszkają same – odparła Lucie, kiedy przyjechała winda. Gdy weszli do środka, nacisnęła dolny guzik i dodała:

– Samotne kobiety, które chcą mieszkać tam, gdzie mają do dyspozycji portiera.

– Na to wygląda.

– Uwierz mi, portierzy są równie dobrzy, jak mężowie. Choć zazwyczaj można na nich bardziej polegać.

– I możesz się dzięki nim czuć bezpieczna – zauważył.

– I zawsze czuję się bezpieczna.

Kiedy szli przez lobby, Wayne trzymał się bardzo blisko Lucie, by go zasłaniała przed wzrokiem portiera, który uniósł głowę i natychmiast rozpoznał lokatorkę.

– Zamówić taksówkę? – zapytał.

– Nie trzeba. Idziemy pieszo.

Przeniósłszy uwagę z powrotem na fotonowelę, wcisnął guzik otwierający drzwi w chwili, gdy Lucie i Wayne znaleźli się tuż przy nich. Wyszli na zewnątrz, a Lucie zapytała: – Dokąd teraz?

– Wydaje mi się, że na Columbus, a potem w górę ulicy.

Przeszli przez Broadway na rogu kwartału i skręcili w jedną z przecznic.

– Och, zapowiada się naprawdę piękny wieczór – powiedziała Lucie. – Czuję zapach zimy, ty też?

– Tak.

– Boże, a potem te święta... – westchnęła z niesmakiem. – Rodzina.

– Nie lubisz swojej rodziny?

– Lubię, gdy są tam, gdzie są. I gdy ja jestem tu, gdzie jestem.

– A gdzie oni mieszkają?

– W miejscowości o nazwie Carmody nieopodal Saint Louis – mówiąc to, wyglądała na przesadnie znużoną. – Lecisz do Saint Louis, a jakiś krewny musi jechać cholerny kawał drogi, by cię odebrać z lotniska i zawieźć do domu. Cztery dni później odwozi cię tą samą trasą, a ty wsiadasz w kolejny samolot, myśląc: Boże, błagam, nigdy więcej. Ale od tego nie ma ucieczki.

– A co jest nie tak z twoją rodziną?

– Och, nic, naprawdę.

Skręcili na północ, na Columbus Avenue, gdzie kaskady samochodowych świateł płynęły aleją w ich stronę po każdej zmianie sygnalizacji.

– Gdybym została w Carmody – kontynuowała Lucie – i wyszła za jakiegoś chłopaka, z którym chodziłam do szkoły, wszystko byłoby w porządku, i pewnie sama byłabym dzisiaj miłszą osobą. Ale wyjechałam, a teraz dzieli nas piętnaście lat i już nie myślimy w taki sam sposób. Nie noszę programów, które oni oglądają. Ich dowcipy są stare, ale upierają się, by je opowiadać. I oczywiście nigdy nie rozumieją tego, co ja mówię. Przez cały ten czas żyłam w Nowym Jorku. Siedem lat byłam żoną tego padalca, a kiedy jest się jego żoną, żyje się w pierwszej lidze, kochaniutki, spotyka z wszelkiej maści elegantami i elegancikami. Nie chodzi o to, że wyrosłam na dużą dziewczynkę, chodzi o to, że wyrosłam na



dużą dziewczynkę z miasta... Ale dosyć gadania o sobie, lepiej powiedz, co ty o mnie sądzisz.

– Sądzę, że jesteś zabawna – powiedział odrobinę zaskoczony, że mówi to szczerze. Mam nadzieję, że jej nie polubię, pomyślał jednocześnie. Nie muszę nawet popełnić błędu Bryce'a i się w niej zakochać, wystarczy, że ją polubię, by wszystko skomplikować.

– Zabawna – powtórzyła. – Właśnie o tym marzyłam przez te długie lata, żeby facet zbyt skąpy, by zamówić taksówkę, uznał, że jestem zabawna.

O tak, pomyślał Wayne, tylko tego mi trzeba. Chwilę później dotarli do restauracji.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Usiedli przy stoliku z tyłu, w podwyższonej części lokalu, skąd mogli obserwować zapełniony w połowie bar ze śliczną, uwijającą się jak w ukropie barmanką o czarnych włosach. Nieco później, w czasie zaplanowanego koncertu jazzowego, goście z pewnością zajmą wszystkie miejsca i pojawi się druga barmanka.

Kiedy już złożyli zamówienia, Lucie odwróciła się do Wayne'a i zapytała:

– To jak długo jesteś rozwiedziony?

– Słucham? – jęknął zaskoczony.

– Och, nie oszukujmy się. W naszym wieku wszyscy mają za sobą małżeństwo, a ty nie jesteś pedałem, skoro więc zapraszasz mnie na kolację, to już nie jesteś żonaty, czyli po rozwodzie. Sam rozumiesz, że tu nie trzeba tak błyskotliwej dedukcji, jaką się wykazałeś w moim mieszkaniu.

– Nie jestem rozwiedziony – powiedział. – Podobnie jak ty, też nie jesteś rozwiedziona.

– Rozumiem. Rozwód w toku, separacja zastosowana, prawnicy przy korycie. Wiesz co, znajomy tego padalca poradził mi kiedyś, że w trudnym okresie chwilowa rozłąka to świetna sprawa, ale ja uważam, że jeszcze lepsza jest sprawa rozwodowa przed rozłąką. A więc kto kogo zostawił? Jaka ona była?

I co teraz powiedzieć, jak sobie poradzić z sytuacją? Wayne musiał się uciec do kilku kłamstw, ale najlepiej niezbyt wielu. Mógł opisać prawdziwą Susan i wyolbrzymić trochę jej napastliwość, nie w stosunku do niego, nie, raczej ten ostry ton głosu, który czasem słyszał, gdy rozmawiała przez telefon z ludźmi związanymi z jej pracą.

– Ma na imię Susan – powiedział. – Susan Costello.

– Zatrzymała panieńskie nazwisko?

– Ze względu na pracę.

– Jaka?

– Pracuje dla organizacji o nazwie UniCare – wyjaśnił. – Rozporządzają pieniędzmi fundacji charytatywnych.

– Czym się tam zajmuje?

– Jest wicedyrektorem.

– Całej organizacji?

– Zgadza się, całej organizacji.

– Brzmi poważnie – stwierdziła Lucie. – I takie jest?

– Tak, poważna sprawa. Kilka razy zeznawała przed komisjami Kongresu, ale głównie dba o to, żeby wszystko działało bez zarzutu.

Kelnerka przyniosła niewielki półmisek, a na nim zakąskę z „pozdrowieniami od szefa kuchni”: puree z awokado na łososiu pieczonym w sezamie z odrobiną japońskiego sosu barbecue. Kiedy je podziwiali i jedli, Lucie powiedziała:

– Więc Susan musi dobrze zarabiać.

– Całkiem nieźle – przyznał. – Praca w dobroczynności nie jest może aż tak opłacalna, ale całkiem nieźle.

– To wszystko tłumaczy.

Kelnerka zabrała talerzyki po zakąsce i przyniosła pierwsze danie. Lucie od razu zabrała się do jedzenia, a Wayne zapytał: – Co tłumaczy?

Uniosła widelec, chcąc mu przekazać: sekunda, mam pełne usta, po czym odłożyła go i upiła nieco wina. – Bardzo dobre – skomplementowała je.

Czekał, ale nic więcej nie mówiła. Kiedy sięgnęła po widelec, zapytał jeszcze raz: – Co tłumaczy?

– Och – westchnęła, jakby nie miało to prawie żadnego znaczenia. – Odszukałam cię na Amazonie.

– Czyżby? – Przynajmniej na tyle była nim zainteresowana, stwierdził.

– Od wielu lat niczego nie opublikowałeś.

– Od ośmiu lat. – Nie widział powodu, by wdawać się w szczegóły na temat udręki Tima Fleeta.

– I niczego nie wznawiają – dodała. – Sprawdziłam też używane egzemplarze, było zaledwie kilka, w niezbyt wysokich cenach.

– Nigdy nie szukałem siebie na Amazonie – powiedział. – A chyba powinienem był.

– Nie rób tego. Przygnębi cię to, co tam znajdziesz. No i zaczęłam się w związku z tym zastanawiać, z czego właściwie żyjesz. To znaczy, nie masz pracy, wystarczy ci, że przedstawiasz się jako pisarz. Teraz jednak pytanie brzmi, z czego będziesz się utrzymywać po rozwodzie. To ona od ciebie odeszła, mam rację?

– Tak – odparł. – Ale nie żyję na koszt Susan, jeśli o to ci chodzi.

– Tak?

– Pracowałem też jako redaktor. I pisałem inne rzeczy. Potrafię się utrzymać.

– Cóż, nie ma potrzeby, żeby się tak obruszać – stwierdziła, ale w jej oczach pojawił się błysk.

Między kolejnymi daniami Lucie zapytała: – Dostaniesz alimenty?

– Kto, ja? Od Susan? Nie, oczywiście, że nie.

– Mężczyźni też mogą o nie walczyć, wiedziałaś o tym? A na pewno, niech mi Bóg świadkiem, Susan nie dostanie nic od ciebie.

– Za to ty na pewno dostaniesz alimenty.

– Żebyś wiedział, że tak właśnie będzie – zgodziła się. – Kiedy prawnicy zakończą swój mały ubaw, a nie obchodzi mnie, jak długo to potrwa – im dłużej, tym lepiej dla mnie – będę bogata i będę z tego powodu bardzo zadowolona. I niech ci się nie wydaje, że na to nie zapracowałam. Siedem lat znoszenia jego ego. I nawet nie rozmawiamy o seksie.

– Rozmawiać nie zamierzałem – odparł Wayne. Niespodziewanie wybuchła śmiechem. – Dowcipniś! – pisnęła.

– Nie miałam pojęcia, że potrafisz być dowcipny! Dowcipny i genialny.

Nieżył kąsek dla jakiejś wypłacalnej dziewczyny.

\*

Wayne zapłacił gotówką, by nie pozostawiać po sobie żadnego śladu w okolicy. Gdy szli w stronę mieszkania Lucie przez Columbia Avenue, z ruchem ulicznym nadpływającym teraz zza pleców i rzucającym na chodnik nieustannie zmieniający się szarawy poblask, niebo było jednolite, nie całkowicie czarne, ale jak ciemny materiał, na który pada słabe światło.

– Całkiem nieźle się bawiłam – powiedziała Lucie.

Och, tego jestem pewien, pomyślał Wayne. – Ja również. Podobał mi się ten lokal.

– A tęsknisz za pisaniem? – zapytała.

– Cały czas coś piszę – rzucił natychmiast, ale tym razem sam usłyszał, że zaczyna to traktować zbyt osobiście.

– Pytałam o pisanie fabuł. Daj spokój, przecież wiesz, o co mi chodzi. Ten padalec po prostu musiał pisać, powiedziałam mu, że to jest jak nałóg, wystarczyło odciągnąć go od komputera na kilka dni, a zamieniał się w całkowitego gbura.

– Cóż, to chyba całkiem normalne – stwierdził, zastanawiając się jednocześnie, jak bardzo Bryce musiał uwielbiać te komentarze, których na pewno mu nie oszczędzała. Podczas gdy on próbował wrócić do pracy.

– Nic nie jest normalne w przypadku pisarza – powiedziała. – Jeśli z tym zerwałś, a wygląda na to, że tak, jeśli zostawiłeś pisanie albo pisanie zostawiło ciebie, to bez wątplenia jesteś lepszą osobą.

– Bez wątplenia.

Przez większość czasu potem milczeli, zmierzając jedną z przecznic w kierunku Broadwayu. Kiedy przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili na południe, Lucie znów się odezwała: – Jesteś bardzo spokojnym człowiekiem, zgadłam?

O co znowu jej chodziło? – A jestem?

– Och, zauważyłam, że czasem potrafisz się zdenerwować, ale niezbyt często. Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy jesteś spokojnym człowiekiem.

– Tak?

– Cholera, zabrzmiało trochę jak „nudny”, co? – Lucie udała, że uderza się pięścią w głowę. – Nie miałam na myśli, że jesteś nudny, bo nie jesteś. Chodzi mi o to, że nie wydajesz się wiecznie znerwicowany.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. – Jak ten padalec?

– Dokładnie tak. Dlaczego ta Susan od ciebie odeszła?

– Może dlatego, że jestem nudny.

– Auć – rzuciła i dotknęła jego ramienia, jakby prosiła o wybaczenie.

– Naprawdę nie uważam, że jesteś nudny. Naprawdę.

– W porządku.

– Więc o co poszło? Przyłapała cię na skoku w bok?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział.

– Oczywiście, że nie?

Kiedy zerknął w jej stronę, zauważył, że taksuje go wzrokiem. Znów spojrzął przed siebie, a gdy zbliżali się do jej mieszkania, powiedziała: – Wydajesz mi się bardzo niewiernym facetem. Takim, który mówi: och, to się nie liczy, bo naprawdę kocham wyłącznie Susan, ale, człowieku, fajnie byłoby spróbować z tą i jeszcze z tamtą. Nadal ją kochasz?

– Nie wiem – odparł, modląc się, by wreszcie zmieniła temat. – Chyba w ten czy inny sposób zawsze kochamy osoby, które kochaliśmy wcześniej.

– Chyba żartujesz. – Dotarli do jej budynku i zatrzymali się na chodniku, a Lucie dodała: – Myślisz, naprawdę myślisz, że zostało we mnie jakieś uczucie dla tego padalca? Kochaniutki, on je zabił dawno temu.

– A czy on lubił się zabawić na boku?

– Nie – odparła Lucie, dość zdegustowana. – W każdym razie nie sędzę.

Największą miłością Bryce'a Proctorra jest Bryce Proctorr, po co miałby się z kimś zabawiać na boku?

– W takim razie powinien być teraz szczęśliwy – zauważył Wayne.

– Mam ogromną nadzieję, że nie jest. Pewnie chciałbyś wejść na górę?

Właśnie ten problem zaprzętał mu głowę mniej więcej od połowy kolacji. Lucie działała zbyt energicznie i agresywnie, w związku z czym szybko stało się dla niego jasne, że na pierwszej randce będzie od niego wymagać o wiele więcej, niż pierwotnie zakładał i na co się przygotował.

Mogę ją zabić, myślał, ale na pewno się z nią nie prześpię, nie przyszedłem tu po to, by zdradzać Susan. Tylko co teraz zrobić? Nie chciał zrażać do siebie Lucie, bo przecież musiał tu jeszcze wrócić, by się z nią zobaczyć, zabrać ją w jakieś bezpieczne miejsce, kiedy będzie gotowy, kiedy ostatecznie postanowi, jak to zrobić, i kiedy zdobędzie broń.

Postępuj zgodnie z jej regułami. Chociaż przez chwilę.

– Pewnie chciałbym – powtórzył za nią. – I pewnie ty byś chciała, żebym wszedł?

– Och, cóż za entuzjazm.

– Nie chcę ci się narzucać – odparował.

Postukała go paznokciami po piersi. – Nie martw się, mój drogi, nigdy nie będziesz mi się narzucać. Ale możesz wejść na kilka minut, jeśli naprawdę chcesz. Tylko żebyśmy się dobrze zrozumieli – nie pójdę z tobą do łóżka. Zamaskował przypływ ulgi beznamyślnym: „w porządku”.

– Napijemy się jeszcze po kieliszku wina – ciągnęła – i chwilę pogawędzimy, a potem cię wyrzucę.

– Zgoda – powiedział i chciał uściśnięciem dłoni przypieczętować umowę, ale Lucie już zdążyła się odwrócić w stronę wejścia, a portier zdążył ją zauważyć i wdusił przycisk otwierający drzwi.

Przechodząc obok jego biurka, Wayne po raz kolejny ukrył się za złotą główką Lucie.

Wracam za minutę.

– Jasne.

Pod boczną ścianą salonu stała przeszklona szafka ze szklanymi półkami, wypełniona bogatą kolekcją trofeów i pamiątkowych plater z lat pięćdziesiątych i wcześniejszych. Pomysł jakiegoś dekoratora wnętrz, co mogłoby przypaść do gustu biznesmenowi prowadzącemu koczowniczy tryb życia. Wayne oglądał odznaczenia i pamiątki stojące w beżowym pomieszczeniu i pozbawione ich prawdziwego znaczenia, podczas gdy Lucie znów znikła w wewnętrznym korytarzu, a po chwili doleciał z niego odgłos spuszczenia wody.

Stolik z posażkiem chińskiego konia i jeźdźca stał blisko przeszklonej szafki. Wayne studiował go dokładnie, ale bez dotykania. Ten przedmiot miał dla niej znaczenie. Ciekawe jakie?

Wróciła z dwoma kieliszkami czerwonego wina, nie tak dobrego jak to, które pili w restauracji, ale w lepszym szkłe. – Nie przeszkadza ci, że nalałam do tych samych kieliszków?

– Ani trochę.

Podawała mu kieliszek i wyciągnęła w górę swój, by wznieść toast: – Za rozwody.

– Za rozwody – powtórzył z szerokim uśmiechem, po czym stuknęli się szkłem. – Ale co w nich takiego dobrego?

– Dzięki nim poznajesz samych nowych ludzi – odparła Lucie ze śmiechem i upiła odrobinę wina.

– Jak ci, którzy chorują na alzheimera – dodał i sam zrobił łyk.

Lucie skrzywiła się. – Och, na miłość boską, nie bądź taki ponury.

Powiedz lepiej, co myślisz o tej sztuce, na której się spotkaliśmy.

Najwyraźniej mieli teraz stać niczym na dwuosobowym przyjęciu koktajlowym.

– Zabawna – rzucił.

Znów niewłaściwa odpowiedź. Lucie zrobiła minę, jakby zjadła kawałek cytryny. – Naprawdę ci się podobała?

– Domyślam się, że tobie nie.

– Co za gniot! Biedna Janet, trafiają się jej wyłącznie te lekkie komedyjki dla japiszonów, które mają niby opowiadać o seksie, ale tak naprawdę stanowią wyłącznie odzwierciedlenie czyjegoś pomysłu na to, jak powinien wyglądać cięty dialog. A ona wolałaby robić coś ambitniejszego, chce reżyserować dla Public Theater, tylko że nie ma odpowiedniego dorobku, a wszystko, co reżyseruje, to te gnioty. Powiedziałam jej kiedyś: „Janet, niedługo będziesz musiała przywiązywać aktorów do sceny, żeby nie odlecieli, tak bardzo są wypatroszeni z jakiegokolwiek znaczenia”.

– Na pewno właśnie tak jej powiedziałaś – stwierdził Wayne.

– Oczywiście. Zawsze mówię prawdę, tak jest łatwiej. A ty też lubisz prawdę, zgadza się?

– Uwielbiam.

– Wiedziałam. Czy Susan była dobra w łóżku?

– Świetna – odpowiedział i odstawił kieliszek na stolik obok chińskiego jeźdźca, a następnie z całej siły uderzył Lucie w brzuch. Oboje byli zdumieni. Pomyślał – nie teraz! To nie tak, nie o to mi chodziło, tak jest zbyt niechlujnie, tak jest źle!

Lucie rozwarła szeroko oczy, jej ręce poruszały się jak w zwolnionym tempie, by zasłonić brzuch, usta otwierały, pochyliła się nisko. Uderzył jeszcze raz, mocno, tym razem w twarz, a ona poleciała na szklaną szafkę, przewracając trofea i pamiątki. Ruszył za nią.

Już się zaczęło, za późno, żeby zawrócić, co teraz zrobię?

Doskoczyła do niego! Nie spodziewał się takiej reakcji i wykonał niezgrabny unik, machając rękami, starając się odepchnąć ją w lewo.

Do tej pory myślał, że Lucie będzie wyłącznie upadać, cofać się i cofać, sdy on będzie bić i bić, ale jej instynkty były tak agresywne i teraz oboje wydawali się działać wyłącznie pod wpływem odruchów, choć przecież jego głowa pękała od różnych myśli, zbyt zagmatwanych myśli, podczas gdy poza nią wszystko działo się zbyt szybko.

Szła na niego z pazurami, z palcami zakrzywionymi w szpony, więc przyklękła i zrobił krok w tył, wiedząc, że nie może pozwolić, by pozostawiła na nim ślad, by go oznaczyła, wiedząc, że nie może zostawić kawałeczków swojego ciała pod jej paznokciami. Kopnął dziko, uderzając ją w prawe udo i częściowo obracając, i znów odskoczył.

Ponownie na niego ruszyła, z krwią na twarzy i na zniekształconych ustach, jeszcze nie krzyczała, ale wiedział, że niebawem zacznie, a na to też nie mógł pozwolić. Cofnął się, tym razem wymierzył i kopnął zewnętrzną częścią prawego buta prosto w jej kostkę. Poleciała ku niemu zaskoczona, a gdy upadała, jeszcze w locie, znów kopnął, tym razem w twarz.

Głośne uderzenie. Lepiej, żeby ludzie z mieszkania na dole byli w kinie. Wylądowała twarzą w dół, a on padł z impetem kolanami na jej plecy, sięgnął w dół, chwycił prawą ręką za jej szczękę, wokół lewej owinał złote włosy i spróbował wykręcić głowę w prawo.

Nie potrafił, cokolwiek próbował zrobić, nie robił tego, nie łamał jej karku, nie urywał głowy, cokolwiek próbował zrobić, nie działało, więc dał sobie spokój, sięgnął ręką na lewo, w stronę stolika z posążkiem konia i kieliszkiem wina i pociągnął, a zarówno koń, jak i kieliszek gdzieś poleciały.

Kwadratowy stolik o wąskich nogach, ale za to z grubym blatem z solidnego drewna. Podniósł go oburącz wysoko, zamachnął się i uderzył kantem w jej głowę. A potem jeszcze raz, w szyję. I jeszcze raz w głowę.

Nie ruszała się. Ręce miała częściowo zgięte, na głowie, palce wykrzywione. Chciał odsunąć tę prawą, ale wtedy nią poruszyła. Postawił stolik na podłogę, pochylił się nisko, do krwawej miazgi jej twarzy, i udało mu się wyłowić cichutki, nierówny oddech.

Aż do tej chwili w całej sytuacji nie było nic seksualnego. Wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie, bezładnie, w wyniku napięcia, które odczuwał, strachu i wątpliwości. Nie postrzegał jej jako kobiety, postrzegał ją jako coś, co się ruszało i wydawało dźwięki, a jego zadanie polegało na zakończeniu tego ruchu i tych dźwięków.

Teraz jednak zapach, ciepło leżącego pod nim ciała, ledwie słyszalny wdech i wydech przez złamany nos sprawiły, że zaczął o niej myśleć jak o istocie seksualnej. Och, przestań, nakazał sobie i wyprostował się, wciąż klęcząc na jej plecach. Na miłość boską, niech cię coś takiego nie podnieca.

Zszedł z niej roztrzęsiony, chwiejąc się. Wewnętrzny korytarzem dotarł do sterylnej, surowej kuchni. Znalazł kolekcję plastikowych toreb w większej plastikowej torbie leżącej w szafce pod zlewem. Wybrał dwie duże z supermarketu i wrócił do salonu.

Puściły jej zwieracze. Koniec z obawami, że mógłby się podniecić. Uklęknął, założył jej na głowę pierwszą, a potem drugą torbę i okręcił z tyłu, by polepszyć szczelność. Następnie zamknął oczy i wciąż klęcząc, trzymał mocno końce zwiniętych toreb.

Trwało to długo. Nie chciał myśleć o tym, co właśnie robił, wolał się skupić na tym, co jeszcze musiał zrobić. Odciski palców. Kieliszek wina, niepotłuczony na podłodze. Stolik. Klamka drzwi. Uchwyt kuchennej szafki pod zlewem.

Powinna mieć gdzieś terminarz, prawdopodobnie na szafce przy łóżku. Będzie tam jego nazwisko przy dzisiejszej dacie. Zabrać terminarz. Rozejrzeć się w poszukiwaniu innych rzeczy, w których mogłoby się pojawić nazwisko albo jakiegokolwiek informacje na jego temat.

Włamanie. To powinno być włamanie, nie kochanek, nie zbrodnia z miłości. Znaleźć biżuterię, coś oczywistego, coś wartościowego, zabrać, a potem się tego pozbyć. Pierścionki, naszyjniki wpadające do ścieku. Nie w tym sąsiedztwie, lepiej na Times Square, Dziewiątej Alei, gdzieś, gdzie jest ciemniej, wrzucić wszystko do kanalizacji, wrócić metrem do domu z przystanku pod dworcem autobusowym Port Authority.

Planowanie. Planowanie, powieki zaciśnięte. Goniłwa myśli powoli zamierała, a kiedy wreszcie otworzył oczy, czuł się tak wyzuty z sił, że ledwo się ruszał. Wszystkie kończyny miał sztywne. Palce zaciśnięte na plastikowych workach też. Poruszył się, w jedną stronę i w drugą, uwolnił palce i spojrzał na nią w dół, dotknął, sprawdził.

Nie żyła.

Kiedy wszedł pod kołdrę, Susan przekręciła się w ciemnościach i zapytała:

– Wayne? Wszystko w porządku?

– To już koniec – powiedział.

– Nie zrobisz tego?

– Już zrobiłem.

Odwrócił się w jej stronę, a ona otoczyła go ramionami. Wtulił twarz w ciepłą stronę jej gardła, tam, gdzie wyczuwał puls. Słyszał regularny oddech, mocny i regularny, a nie słaby i urywany.

– Było bardzo źle? – zapytała po chwili.

– Gorzej, niż potrafiysz to sobie wyobrazić – odpowiedział.

9

W piątek po południu Bryce wrócił do Bel Air kilka minut po trzeciej. Jadł lunch z pewnym gwiazdorem znanym z ról twardych policjantów, który chciał nakręcić serię filmów o postaciach z książki Bryce'a, zatytułowanej Podwójna zapłata. Bryce uważał, że wycisnął z tych bohaterów wszystko, co się dało, i że już nic ciekawego nie można na ich temat powiedzieć, ale ów aktor miał wizję.

Cały czas posługiwał się słowem „marka”, co najwyraźniej w tych okolicach oznaczało nie tylko Burger Kinga, lecz także popularną postać spajającą serię filmów, z którą identyfikowano danego aktora i którego widzowie chcieli oglądać w kolejnych odsłonach. Ów aktor twierdził, że według powszechnej opinii ze względu na cenę biletu do kina widzowie potrzebowali poczucia więzi z bohaterem, ale Bryce podejrzewał, iż to tak naprawdę filmowcy go potrzebowali – w kolejnych remake'ach, sequelach i seriach – biorąc pod uwagę, ile kosztowała w tych czasach produkcja samego filmu.

Nie był pewien, czy owemu aktorowi udziela wsparcia jakieś studio filmowe, ale nie widział powodu, by wylewać mu na głowę wiadro zimnej wody. Życzył mu jak najlepiej, naprawdę podobały mu się jego anegdotki i zjadł bardzo dobry lunch, a kiedy wrócił na teren hotelu, nie ruszył bezpośrednio do bungalowu, lecz do recepcji, by zapytać, czy przyjechała już pani de Fuentes. Isabelle powinna była wylecieć rano z lotniska Kennedy'ego i wylądować na miejscu o jedenastej trzydzieści.

– Tak, wydaje mi się, że jest w bungalowie – odpowiedział recepcjonista, a potem skinął ręką na lewo od Bryce'a ze słowami: – Ci dwaj panowie czekają na pana.

Panowie? Odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn wstających z kanapy i ruszających w jego stronę. Byli dla Bryce'a jak partnerzy tego aktora, z którym przed chwilą jadł lunch. Sekundę później uświadomił sobie jednak, że to się dzieje naprawdę, a po kolejnej sekundzie wiedział już, co to oznacza.

Zachowaj pokerową twarz, przykazał sobie w duchu, chociaż nie potrafił powstrzymać zdumienia. Wayne to zrobił! Naprawdę to zrobił! Z jakiegoś powodu, mimo że przecież przyjechał tu właśnie po to, by zejść mu z drogi, Bryce nigdy do końca nie wierzył, że Wayne da sobie radę, że historyjka, którą wspólnie układali, pewnego dnia się urzeczywistni.

Wayne to zrobił, pomyślał jeszcze raz i poczuł na karku lodowate ukłucie.

– Pan Proctorr?

– Tak?

– Detektyw Grasso – przedstawił się jeden z mężczyzn, pokazując złotą odznakę w miękkiej skórzanej oprawie – i detektyw Maurice, wydział policji Los Angeles. Chcielibyśmy zająć panu kilka minut.

– Tak, oczywiście.

Bryce uśmiechnął się niepewnie w oczekiwaniu, a detektyw Grasso dodał: – Powinniśmy porozmawiać na osobności.

– Nie rozumiem...

Na co rzekł detektyw Maurice: – Chcielibyśmy przejść do pańskiego pokoju, jeśli to możliwe.

– Och... – Bryce uniósł brwi w reakcji na niespodziewane komplikacje.

– Kłopot w tym, że moja narzeczona właśnie przyleciała z Nowego Jorku. Jeszcze się z nią nie widziałem i nie wiem, czy właśnie nie bierze prysznic albo coś w tym rodzaju. – Wskazując na kanapy, zapytał: – Czy nie moglibyśmy porozmawiać tutaj?

– Wolelibyśmy nie poruszać tych kwestii publicznie – upierał się detektyw Grasso. Obaj funkcjonariusze byli uprzejmi, ale zimni i nieustępliwi.

– Zadzwoń tylko do pokoju – powiedział Bryce.

– Słuszna myśl – stwierdził detektyw Grasso.

Czekali przy recepcji, obserwując w milczeniu Bryce'a, gdy szedł do telefonów. Isabelle odebrała po drugim sygnale.

– Kochanie, to ja – zaczął – jestem w recepcji.

– Coś się stało?

– Są tutaj dwaj detektywi, z policji, nie wiem, o co chodzi, ale chcą porozmawiać w bungalowie.

– Detektywi?

– Czy mogłabyś... Sam nie wiem, czy mogłabyś na kilka minut wyjść do kawiarni? Wybacz, że cię do tego zmuszam, kochanie...

– Oczywiście, Bryce, nie ma problemu. Zaraz wyjdę.

– Dzięki.

– Będę czekać w kawiarni, umierając z ciekawości.

Wrócił do detektywów. – Narzeczona właśnie wychodzi.

– Przepraszamy, że zakłócamy państwu spokój – powiedział detektyw Grasso, choć nie brzmiał ani nie wyglądał na skruszonego.

Bryce poprowadził funkcjonariuszy do bungalowu ścieżką przebiegającą przez gęstą zieloną roślinność. Otworzył drzwi ze słowami: – Coś panom podać? Wodę mineralną, sok?

– Dziękujemy, nie trzeba – odparł detektyw Grasso. – Możemy usiąść?

– Oczywiście.

W części salonowej bungalowu stały dwie krótkie kanapy ułożone w kształt litery „L” z dużym kwadratowym stołem o szklanym blacie pośrodku. Bryce

usiadł na kanapie po prawej, detektyw Grasso po lewej, natomiast detektyw Maurice wysunął krzesło spod stołu obiadowego.

Detektyw Grasso trzymał teraz mały notatnik i długopis. – Mówił pan, że to pańska narzeczona?

– Zgadza się, właśnie przyleciała z Nowego Jorku.

– Jak się nazywa?

– Isabelle de Fuentes.

– Pochodzi z Los Angeles?

– Nie, z Nowego Jorku. To znaczy właściwie z Hiszpanii, jej ojciec był delegatem w ONZ-cie, ale Isabelle ma amerykańskie obywatelstwo. Przepraszam, ale czy mogliby mi panowie wytłumaczyć, o co właściwie chodzi?

– Obawiam się, że mamy złe wiadomości – tym razem odezwał się detektyw Maurice.

– Złe wiadomości?

– Na temat pańskiej żony – podjął detektyw Grasso.

– Mojej... Och, Lucie! Właśnie jesteście w trakcie roz... Ale o co chodzi? Coś u niej nie w porządku?

– Nie żyje – powiedział detektyw Grasso.

Bryce wyczuwał, jak jego reakcję bada czworo zimnych oczu. Niewinny człowiek miałby wyrzuty sumienia. Ja jestem niewinny, nie zrobiłem tego!

– Nie żyje...? Ale dlaczego ona by... Jak?

– Pobito ją na śmierć w jej mieszkaniu – wyjaśnił detektyw Maurice.

To było zaskakujące, zaskakujące i okropne. Bryce nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jak Wayne to zrobi, ale gdyby miał zgadywać, powiedziałyby raczej, że pistolet, trucizna, coś w tym rodzaju.

– Pobita? Lucie?

– W środę wieczorem, proszę pana – ciągnął detektyw Grasso.

– Czyli dzień po tym, gdy się pan tutaj zameldował.

– We wtorek, zgadza się, ale... Zaraz, chwila, próbuję to wszystko ogarnąć. Pobito ją?

Niespodziewanie Bryce pomyślał, że to nie Wayne, to nie mógł być Wayne, to jakiś wielki, nieprawdopodobny zbieg okoliczności, w książce nigdy by mu coś takiego nie uszło na sucho, Wayne nie miał dość czasu, by się przygotować, ktoś się włamał, jakiś ćpun, gwałciciel...

– Ktoś... –wykrztusił przez suche gardło i głośno przełknął ślinę.

– Ktoś się włamał?

– Nie znaleźliśmy śladów włamania – powiedział detektyw Grasso.

– Musiała znać napastnika – dodał detektyw Maurice.

– Ale... dlaczego? Czy to był... to znaczy, czy ją zgwałcił?

– Nie, proszę pana – odparł detektyw Grasso, a Bryce z zaskoczeniem i przerażeniem stwierdził, że się śmieje. Nie zareagowali, po prostu go obserwowali.

– Lucie nie żyje – rzucił szybko, by wytłumaczyć swoją reakcję, wciąż nie potrafiąc nic poradzić na ten uśmiech – pobito ją na śmierć, a ja się martwię gwałtem.

– Proszę pana – powiedział detektyw Maurice – chyba powinien się pan napić wody.

– Najpierw muszę tego wysłuchać... W środę... Ale dlaczego nikt mnie wcześniej nie zawiadomił?

Detektyw Maurice wstał i przeszedł do kuchni, a detektyw Grasso wytłumaczył: – Znalaziono ją dziś rano. Wczoraj wieczorem miała się spotkać ze znajomymi, wyjść z nimi do kina, jak mi się wydaje, ale nie dotarła. Próbowali do niej zadzwonić, a dziś rano, gdy wciąż nie potrafili się z nią skontaktować, zawiadomili miejscowy komisariat.

Detektyw Maurice wrócił z wysoką szklanką wody i podał ją Bryce'owi. – Powinien pan to wypić. Małymi łykami.



– Dziękuję. – Bryce skinął głową, ale kiedy już chwycił szklankę, niemal ją upuścił i musiał przytrzymać obiema dłońmi. Upił odrobinę wody, a krawędź szklanki zadzwoniła boleśnie o jego zęby. Z głośnym brzękiem odstawił szkło na stolik kawowy i wyciągnął przed siebie ręce. – Cały się trzęsę – powiedział, wpatrzony w swoje dłonie.

– Spokojnie, panie Proctorr – usłyszał głos detektywa Grasso. Spojrzał na niego. Czuł, że znów się śmieje, uśmiecha maniakalnie, ale najwyraźniej nie miał nad tym żadnej kontroli. – Właśnie się rozwodzimy, już się nie kochamy, już o siebie nie dbamy, więc dlaczego miałbym... Dlaczego się trzęsę?

– To szok – wytłumaczył detektyw Grasso.

– Gdyby poczuł się pan słabo, panie Proctorr – dodał detektyw Maurice – niech pan się oprze albo położy na kanapie. Nie chciałby pan uderzyć głową o ten stolik...

– Nie, wszystko w porządku – powiedział Bryce. – Wszystko ze mną w porządku.

– Przykro mi, że musimy to robić – odezwał się detektyw Grasso – ale mamy do pana kilka pytań.

– Tak, oczywiście.

– Może wolałby pan, żeby siedziała tu z panem pańska narzeczona? – zaproponował detektyw Maurice.

– Możliwe, tak. Tak, dlaczego nie. Jest teraz w kawiarni.

– Zaraz zadzwonię – zaoferował się detektyw Maurice, a detektyw Grasso podał mu notatnik, w którym najwyraźniej zapisał nazwisko Isabelle.

– Jestem po prostu zdezorientowany – wyjaśnił Bryce detektywowi Grasso, podczas gdy detektyw Maurice stał przy telefonie w części kuchennej. – Dlaczego ktokolwiek miałby zrobić coś takiego?

– Właśnie nad tym pracuje nowojorska policja. Poprosili nas o pomoc.

– Pomogę, jak tylko będę mógł.

Detektyw Maurice wrócił i usiadł z powrotem na krześle. – Zaraz przyjdzie. Ma bardzo przyjemny głos, panie Proctorr – zauważył. – Nie słychać obcego akcentu.

– Bo tak naprawdę jest Amerykanką – odpowiedział Bryce. – Pracuje dla agencji reklamowej w Nowym Jorku, tworzy hasła do katalogów odzieżowych, jej były mąż jest Hiszpanem, rozwiedli się w Hiszpanii i on zatrzymał dzieci, troje dzieci, to jest bardzo trudne dla Isabelle, ale jej ojciec robi, co może, przeszedł na emeryturę, teraz mieszka w Hiszpanii, w Madrycie...

Bełkoczę, pomyślał, nic ich to wszystko nie obchodzi, ale nad tym bełkotem też nie potrafił zapanować, nie bardziej niż nad wyrazem twarzy. Podniósł szklankę wody, znów obiema rękami, tym razem jednak udało mu się wziąć łyk, nie uderzając krawędzią o zęby.

– Proszę wybaczyć – powiedział, odstawiając szklankę. – Zwykle stać mnie na więcej.

– To szok – wytłumaczył detektyw Grasso. Czy już przypadkiem tego nie mówił?

Usłyszeli ruch pod drzwiami bungalowu i wszyscy spojrzeli w kierunku Isabelle, gdy wchodziła do środka. Przyjechawszy tu z lotniska, zdążyła się przebrać w letnią bluzkę i spódnicę – wyglądała przepięknie.

Detektywi wstali, ale kiedy Bryce spróbował zrobić to samo, nieomal przewrócił się bokiem na szklany stolik. Obaj funkcjonariusze szybko wyciągnęli w jego stronę ręce, zdążył jednak odzyskać równowagę i stanął prosto, spoglądając z drżącym uśmiechem na Isabelle, gdy do niego pospieszyła z wyraźnym zaniepokojeniem. – Bryce, co się stało?

– Isabelle de Fuentes – powiedział, czując, że co prawda tak formalne przedstawienie narzeczonej brzmi absurdalnie, lecz jest konieczne. – A to

detektywi Grasso i Maurice z policji Los Angeles. Są tutaj, ponieważ ktoś zabił Lucie.

– Lucie?! – Isabelle przeniosła wzrok z Bryce'a na detektywów i z powrotem. – Chyba nie myśla, że ty to zrobiłeś...

– Nie, nie, już tu byłem, kiedy to się stało, w środę – odpowiedział Bryce i zwrócił się do detektywów: – W środę?

Obaj przytaknęli, obserwując go uważnie.

– Ale co się stało? – zapytała Isabelle.

– Pobito ją na śmierć...

– Mój Boże!

– ...w jej mieszkaniu.

– Panie Proctorr – odezwał się detektyw Maurice. – Powinien pan chyba usiąść.

– Tak, dziękuję, tak.

Wszyscy usiedli, Isabelle na prawo od Bryce'a, trzymając go obiema rękami za ramię.

– To jej mieszkanie... – powiedział Bryce. – Nigdy go nie widziałem. Nawet nie potrafię, nie mogę go sobie wyobrazić.

– Może to i lepiej – stwierdził detektyw Grasso.

– Nie mieszkała tam w czasie małżeństwa? – zapytał detektyw Maurice.

– Nie, mieliśmy mieszkanie w Central Park West i dom w Connecticut. Wyprowadziła się, to był jej pomysł, żeby znaleźć sobie własny kąt, tymczasowo, umeblowany apartament, a w czasie sprawy rozwodowej wyjaśnilibyśmy, kto co dostanie, komu na czym zależy – wytłumaczył Bryce i dodał, krzywiąc twarz: – Któż może wiedzieć, ile osób ma tam klucze, skoro to był wynajem...

– Detektywi z Nowego Jorku ustalili, że kierownictwo zmienia kod w zamkach dla każdego nowego lokatora – powiedział detektyw Grasso.

– Będzie pogrzeb – mówił tymczasem Bryce, patrząc bezsilnie na Isabelle. – Chyba powinienem pojechać na ten pogrzeb, prawda? Tak mi się wydaje, że powinienem...

– Panie Proctorr – przerwał mu detektyw Grasso.

– Tak?

– Czy mógłby pan nam podać powód tego wyjazdu? Wakacje?

– Wygląda na to, że raczej pracujące wakacje – odpowiedział Bryce, myśląc, że chcą się dowiedzieć, czy zrobił właśnie to, co zrobił – usunął się w cień, by kto inny mógł załatwić sprawę za niego. – Jestem pisarzem i...

– Proszę pana – znów przerwał mu detektyw Grasso – wiemy, kim pan jest.

– Och, tak, oczywiście. Chodzi o to, że dotychczas zekranizowano trzy moje powieści, a zapotrzebowanie jest większe, więc przyjechałem tu na rozmowy. Dziś jadłem lunch z George'em Jenkinsem, który wpadł na pomysł serialu o gliniarzach... Hm, proszę wybaczyć.

Detektyw Grasso sprawiał wrażenie rozbawionego. – W porządku, panie Proctorr, właśnie tym jesteśmy, gliniarzami.

– Tak, rozumiem. W każdym razie George chciałby zrobić serial na podstawie jednej z moich książek, zatytułowanej Podwójna zapłata. Moje zadanie polega też na tym, żeby przyjechać tu od czasu do czasu, przypomnieć wszystkim, że istnieje, spotkać się z kilkoma osobami i zwykle coś z tego wychodzi.

– A czy planował pan ten wyjazd od dawna?

– Cóż, mówiłem o tym od jakiegoś czasu – odparł Bryce – ale załatwiłem wszystko w ostatniej chwili. Utknąłem na pewnym fragmencie w książce, nad którą właśnie pracuję... Isabelle, pamiętasz, pracowałem nad nią w zeszły weekend?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Wydawałeś się z niej zadowolony.

– Bo byłem, aż do poniedziałku. Właśnie wtedy zrozumiałem, że zapędziłem się w kozi róg i że będę musiał to dobrze przemyśleć, w związku z czym zadzwoniłem do Jeffa – to mój agent na Zachodnim Wybrzeżu – a on stwierdził, że mógłby mi umówić kilka spotkań na ten tydzień, więc przyjechałem we wtorek.

– A kiedy chce pan wrócić? – zapytał detektyw Grasso.

– Planowałem zostać tu jeszcze jakiś tydzień, na przyszły mam umówione spotkania, ale wygląda na to, że naprawdę będę musiał wrócić na pogrzeb.

– Och, Bryce... – odezwała się Isabelle.

– Bardzo trudno mi uwierzyć, że Lucie nie żyje – powiedział Bryce. – To prawda, że ostatnio w ogóle nam się nie układało, rozwód też nie był łatwy, ale żeby tak nagle znikła, po prostu nie potrafię tego pojąć. Lucie była pełna życia, to najenergiczniejsza osoba, jaką znam, nawet teraz słyszę jej głos.

Bo słyszał.

– Zamierza pan wrócić do Nowego Jorku do poniedziałku? – zapytał detektyw Grasso.

– Prawdopodobnie wcześniej, wszystko zależy od terminu pogrzebu.

– Detektyw Johnson z Nowego Jorku będzie chciał z panem porozmawiać.

– Oczywiście, rozumiem. Wie, jak się ze mną skontaktować? Zatrzymam się w moim mieszkaniu.

– Gdyby mógł nam pan podać adres i numer telefonu – zasugerował detektyw Grasso. – Na wszelki wypadek.

– Jasne. – Bryce podyktował mu niezbędne informacje, po czym wszyscy wstali.

– Przykro nam, że przynosimy złe wieści – powiedział detektyw Grasso.

– Dziękuję. Chyba zrobili to panowie najlepiej, jak się dało.

Przy drzwiach bungalowu detektyw Grasso podał Bryce'owi wizytówkę: – Gdyby coś panu przyszło do głowy.

– Oczywiście.

– Niech pan przynajmniej skorzysta z pogody przez ten dzień czy dwa – poradził mu detektyw Maurice.

– Spróbuję. Dziękuję panom.

Wyszli, nareszcie wyszli, a Isabelle wtuliła się w Bryce'a.

– Och, Bryce, tak ci współczuję... Co za okropność.

– Tak. Tak.

Otoczywszy ją ramionami, czując drżenie jej ciała, pomyślał z zamkniętymi oczami: Wayne. Teraz mnie ma. Ma mnie w swojej władzy.

10

Dziwna rzecz, ale Wayne nie miał żadnych problemów z zasypianiem. Kiedy nie spał, dręczyły go przebliski wydarzeń z mieszkania Lucie, krótkie, ostre obrazy wybuchające w głowie jak jaskrawe światło żarówki, a wówczas wzdrygał się psychicznie albo wydawał stłumiony krzyk: Och!

Ale w nocy, gdy spał, najwyraźniej nie dręczyły go żadne koszmary, a przynajmniej nic, co pamiętałoby na drugi dzień, Susan natomiast zapewniała go, że spał twardo, niemal zbyt twardo. Nawet jeśli budziła się w środku nocy, żaden ruch czy dźwięk nie wrywał go z głębokiego snu, a rano czuł się fizycznie wypoczęty. Zupełnie jakby się odurzał, jakby jego mózg wytwarzał substancję, która nocą pozwalała mu zachować spokój, trzymać upiory na dystans.

W ogóle o tym nie rozmawiali, o tej sprawie, odkąd wrócił do domu w środę w nocy. Wstawali rano tak jak zwykle, zachowywali się, jakby wszystko było po staremu, Susan wychodziła do pracy zgodnie z naturalnym rytmem. Wayne zazwyczaj kupował tylko „Timesa”, ale w tym tygodniu dołączył do niego „News” – na wypadek gdyby „Times” przeoczył tę sprawę – i obie gazety czytał dużo wnikliwiej niż zwykle.

Wieczorami wychodzili z Susan na kolację i do pobliskiego kina. W wyniku milczącej ugody nie oglądali wiadomości telewizyjnych, ani porannych, ani wieczornych; może po prostu woleli nie trafić na nic bardziej obrazowego od zdjęcia w gazecie.

Najbardziej jednak zadziwiało Wayne'a tempo jego pracy. W czwartek i piątek, zaraz po morderstwie, wykonał niesamowitą pracę nad Bratnim widmem, a kiedy akurat nie siedział przy biurku, bezustannie myślał o wydarzeniach i uwikłanych w nie postaciach. Jakby rzeczywistość z książki była tą prawdziwą, a ta, z którą się stykał na co dzień, wymysłem wyobraźni.

Pytanie brzmiało jednak, kiedy to wszystko się zacznie?

Zacząło się w sobotnim wydaniu gazety.

Obydwu gazet. Oczywiście „New York Times” nie mógł pominąć tego wydarzenia, w końcu to dzięki ich liście bestsellerów mąż Lucie stał się sławny.

„News” poświęcił historii więcej miejsca, a obok widniały dwa zdjęcia: budynku na Broadwayu w dzielnicy Upper West Side, tego, w którym zginęła Lucie, oraz zdjęcie Bryce'a i żony stojących ramię w ramię przed domem w Connecticut, uśmiechniętych, zapewne z tej samej sesji fotograficznej, z której pochodziło zdjęcie w „People”.

Obie gazety podawały te same informacje na temat morderstwa: Lucie pobita, brak śladów włamania, sąsiedzi niczego nie widzieli ani nie słyszeli, policja pracuje nad sprawą. Większość ludzi wynajmujących apartamenty w tym wysokościowcu przebywała w Nowym Jorku tymczasowo, w związku z czym nikt nie znał Lucie, która przeprowadziła się po rozpoczęciu procedur rozwodowych.

Obie gazety przypominały czytelnikom, kim jest Bryce Proctorr, „News” wymieniał nazwiska aktorów, którzy zagrali w ekranizacjach jego powieści, „Times” cytował własne listy bestsellerów, „News” twierdził, że Lucie była piękną kobietą, a „Times” nie.

Obie gazety wspominały o rozwodzie i obie zaznaczały, że w chwili morderstwa Bryce przebywał w Los Angeles, pracując nad potencjalnymi ekranizacjami kolejnych dzieł. „News” odnalazł w książce Podwójna zapłata scenę, która z grubsza przypominała śmierć Lucie: „W powieści mąż zamordowanej kobiety jest początkowo podejrzany, ale w końcu udowadnia swoją niewinność”. Całkiem pomysłowo z ich strony.

Tego dnia, w sobotę, Susan nigdzie nie wychodziła, więc Wayne przyniósł prasę do domu i oboje rozsiedli się w salonie, ona na sofie, on na krześle, a potem przeczytali oba artykuły, wymieniając się gazetami.

— Nikt niczego nie słyszał — zauważyła Susan.

— Widziałem — odparł Wayne. — To dobrze.

Dobrze, że mogli wreszcie dopuścić tę historię do swojego życia, bo teraz to już nie było tylko ich życie; Lucie Proctorr została zamordowana w życiu wszystkich.

Susan wreszcie odłożyła gazetę na bok. — Moglibyśmy gdzieś dzisiaj wyskoczyć, żeby nie siedzieć w domu.

— Jest zimno.

— Nie powinniśmy tkwić tutaj cały dzień — nalegała. — Ściśnięci w czterech ścianach.

Nie mieli samochodu, bo i po co im samochód w Nowym Jorku? To tylko kolejny wydatek, plus ustawiczne problemy związane z przemieszczaniem go z miejsca na miejsce. Podczas tych rzadkich okazji, gdy chcieli wyjechać z miasta, brali auto z wypożyczalni. W związku z czym Wayne zapytał: — Chcesz wynająć samochód? Wyjechać na weekend?

— Dlaczego nie? — „News” leżał na sofie obok Susan, otwarty na tym artykule. Patrząc na niego, powiedziała: — Chciałabym zobaczyć jego dom.

— Czyj, Bryce'a? Po co?

– Nie wiem, po prostu bym chciała. Mamy słoneczny dzień, nawet jeśli jest zimno, więc byłoby miło przejechać się do Connecticut, może nawet do Massachusetts, spędzić noc w motelu, zjeść śniadanie i wrócić jutro.

– Właściwie to pracowałem...

– Za dużo – dokończyła za niego.

Uśmiechnął się. Przy niej zawsze był spokojny. – Chciałem powiedzieć, że intensywnie. Gnam z tą książką...

– Możesz sobie zrobić dzień przerwy.

Nagle jego nastrój uległ całkowitej zmianie. Poczul się marnie i opadł na krzesło.

– W ogóle od pisania mógłbym sobie zrobić przerwę raz na zawsze. To przecież do niczego nie prowadzi.

– Nie, Wayne – zaprotestowała Susan. – Znajdziesz wydawcę.

– Jasne.

– Naprawdę, Wayne – upierała się. – I możesz sprawić, żeby Bryce ci pomógł.

– Sprawić?

– Oczywiście. Jest ci teraz dłużny.

– Dostanę od niego pieniądze – przypomniał jej Wayne. – Jeśli nie puści mnie kantem.

– Co masz na myśli? Jeśli?

– Jeśli weźmie moją książkę i zagra mi na nosie. Co zrobię, pójdę z tym do sądu? „Na prośbę tego człowieka zabiłem jego żonę, a on nie chce mi zapłacić”. Jasne. A na dodatek on może ją tak pozmienić, że niczego mu nie udowodnię.

Susan przesunęła się na sofie i pochyliła w jego stronę. – Wayne – zaczęła – Bryce nie będzie ci się stawiać, nie odważy się. On jest ci dłużny, rozumiesz, i dobrze o tym wie. I robi wszystko, co tylko zechcesz. Nie zdajesz sobie sprawy, dlaczego?

– Nie – odpowiedział. – Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– Bo ty doskonale wiesz, jakim naprawdę jesteś człowiekiem. Ja też to wiem. Ale w jego oczach jesteś osobą, która... zrobiła to w środę wieczorem. Zaczepił cię w bibliotece, bo sądził, że jesteś zdesperowany, a teraz może być tego pewien i dlatego robi wszystko, żeby cię uszczęśliwić.

Wayne spojrział na Susan. Nie podobało mu się to, co sugerowała.

– Bo inaczej jego też zatłukę? I może wszystkie jego dzieci?

– Nie, Wayne. Gdybyś naprawdę był zdesperowanym człowiekiem, Bryce nie mógłby przewidzieć twoich ruchów, nie potrafiłby cię kontrolować. Ja wiem, kim ty naprawdę...

– Czekał, poczekaj chwilę – przerwał jej. – Poczekaj minutę. Nie chcę już rozmawiać o... sama wiesz.

– Oczywiście, że nie chcesz, nie chcesz i nie musisz rozmawiać.

– Powiem ci tylko jedno. Nie zaplanowałem tego w taki sposób, nie mógłbym czegoś takiego zaplanować, do tego w ogóle miało nie dojść w środę, jeszcze długo do niczego miało nie dojść, a już na pewno nie w taki bestialski sposób, nie, byłem tak samo... tak samo zaskoczony i przestraszony jak ona, kiedy to się zaczęło. Nawet nie wiedziałem, że to się w ogóle zacznie...

– Wayne, przestań.

– ...a kiedy się zaczęło, nie było sposobu, żeby...

– Wayne, błagam, przestań, Wayne, ty płaczesz, przestań!

– ...żeby to zatrzymać, musiałem to ciągnąć do końca... Chryste, Susan!

Uklękła i przytulała go tak długo, aż drżenie i płacz nie ustały, aż wzięła głęboki oddech i powiedział: – Już w porządku.

– W porządku?

– To już koniec – stwierdził i poczuł, że to naprawdę koniec, że pięść zaciśnięta kurczowo w jego piersi wreszcie puściła. – Już wszystko będzie w porządku.

Mimo to wciąż klęczała przy jego krześle, teraz jednak odchyliła się, trzymając go za ręce, by spojrzeć mu w twarz. – Jesteś pewien?

– Jestem pewien – odparł i uśmiechnął się. – Chodźmy na przejażdżkę. Nie potrafili znaleźć tego domu. Wskazówki z gazet i ze zdjęcia w „News” okazały się niewystarczające. Wiedzieli co prawda, że muszą szukać w pobliżu Bethel, ale wszystkie wiejskie drogi w okolicy wyglądały identycznie, wiły się między połaciami lasów, roziskrzonych urokliwie w promieniach słońca nawet pomimo braku liści o tej porze roku. Stare, niskie kamienne mury biegły wzdłuż krętej drogi, a Wayne skręcał na skrzyżowaniach w różnych kierunkach, prowadząc niewielkiego czerwonego saturna. Na drogach panował mały ruch i samo jeżdżenie sprawiało im przyjemność.

Nie potrafili jednak znaleźć domu Bryce'a. Potężne posiadłości i majątki w większości przypadków były mocno cofnięte od drogi, schowane między drzewami, widoczne ledwie lub zgoła wcale, a ich mieszkańcy nie umieszczali nazwisk na skrzynkach pocztowych. Po jakimś czasie oglądali piękne domy dla samej przyjemności ich oglądania.

Wayne poruszył temat tabu tylko raz, gdy jechali prostym odcinkiem. Na rozległych polach po lewej stronie pasły się łaciate krowy, zaś po prawej ciągnął gęsty, krzaczasty las.

– Cieszę się tylko – zaczął – że nie śnię o tym po nocach.

– To całkiem zaskakujące, naprawdę – stwierdziła Susan.

– I pocieszające. A gdybym miał koszmary?

– Myślisz, że nie będziesz miał?

– Nie będę. Jeśli do tej pory się nie zaczęły, to już nie zaczną.

– To dobrze.

Nieco później Susan powiedziała: – Właściwie wcale nie muszę oglądać tego domu. Po prostu musiałam się wyrwać z mieszkania.

– Cieszę się, że mnie do tego namówiłaś.

– To co chcesz teraz robić?

– Pojedziemy do Massachusetts, tak jak się umawialiśmy – odparł.

– Możemy zacząć kolekcjonować antyki...

– Dlaczego nie? – powiedział. – W końcu niedługo będziemy bogaci.

11

Pogrzeb miał się odbyć w niedzielę, więc Bryce z Isabelle wrócili do Nowego Jorku późnym sobotnim samolotem i wylądowali na lotnisku Kennedyego o północy. Podróżowali razem, ponieważ nie mieli już powodu, by się ukrywać, żadnych prywatnych detektywów przyczajonych za rogiem. Nagle wszystko się zmieniło. Koniec z niewygodnym ciężarem.

Kiedy przyjechali, na automatycznej sekretarce czekała wiadomość z numerem telefonu detektywa Johnsona. Głos wskazywał na czarnoskórego mężczyznę, opanowanego i subtelnego, a nie surowego, co zaskoczyło Bryce'a. Rano, przed wyjściem na pogrzeb, zadzwonił pod ten numer, porozmawiał krótko z Johnsonem i zgodził się spotkać w swoim mieszkaniu tego samego dnia po południu.

Isabelle została na sobotnią noc, ale nie szła na pogrzeb. Podczas nieobecności Bryce'a zamierzała wrócić do swojego mieszkania położonego dużo bardziej na wschód, na Trzydziestej Pierwszej Ulicy i spakować kilka niezbędnych rzeczy, by mogła się czuć u niego komfortowo.

Bryce nie zastanawiał się, jak okropnym doświadczeniem będzie dla niego pogrzeb Lucie. Wszyscy ją tam znali i wszyscy wiedzieli, że przechodziła bolesny rozwód z Bryce'em, w związku z czym nikt tak naprawdę nie mógł go traktować jak oplakującego męża. Z drugiej strony nikt też nie mógł uścisnąć mu dłoni z szerokim uśmiechem i słowami: „Wszystkiego

najlepszego!".. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie zachowywali się w stosunku do niego tak, jakby winili go za chwilowy ból zęba.

Nie żeby było ich zbyt wielu, w sumie około dwudziestu osób. Rodzice Lucie przylecieli z Saint Louis i robili wszystko, co w ich mocy, by unikać Bryce'a, który, czego należało się spodziewać, przez prawniczą batalię z córką stał się ich wrogiem, a oni po prostu nie potrafili lepiej sobie radzić z jego obecnością.

Własna rodzina Bryce'a nie była zresztą lepsza. Wszystkie jego dzieci przyszły na pogrzeb, ale żadne nie usiadło obok ojca: ani dwudziestotrzyletnia Betsy, doktorantka architektury w Brown, ani dwudziestojednoletni Tom, studiujący inżynierię w Massachusetts Institute of Technology, ani dziewiętnastoletni Barry, student literatury angielskiej w Rutgers. Ponieważ rozjechały się w różne strony świata – na Rhode Island, do Massachusetts i New Jersey – Bryce rzadko miał okazję widywać dzieci czy choćby z nimi rozmawiać. Przedłużenie ojcowskich stosunków stanowił księgowy, który dbał o ich rachunki. Podczas pierwszego rozwodu Bryce'a wszystkie dzieci stanęły po stronie matki, Ellen, i nigdy nie polubiły Lucie, która odwdzięczała im się oziębłą niechęcią. Żadna ze stron nie doprowadziła więc celowo do ochłodzenia stosunków, lecz po tak długim czasie stało się ono nieodłączną cechą rodzinnego klimatu.

Co zaskakujące, na pogrzeb przybyła także matka dzieci, Ellen, w towarzystwie Jimmiego Branleya, architekta, z którym żyła w Connecticut. Uścisnęła Bryce'owi uroczyście dłoń ze słowami:

– Mam nadzieję, Bryce, że po tym wszystkim znajdziesz wreszcie szczęście.

– Dziękuję – powiedział i po raz kolejny pomyślał, że naprawdę powinien być zostać z Ellen. I to nie tylko dlatego, że z Lucie żyło mu się o wiele gorzej – Ellen miała w sobie uczciwość, która mogłaby ich razem związać, gdyby tylko na to pozwolił.

Poza tym na pogrzeb przyjechało około dziesięciu przyjaciółek Lucie, wszystkie mniej więcej w jej wieku i wszystkie podobne, kobiety, którym łatwo było się ubrać na taką okazję, ponieważ nosiły czerń na co dzień. Lucie czuła się lepiej w towarzystwie kobiet i zawsze miała mnóstwo koleżanek – wiecznie wisiały na telefonie i robiły sobie drobne podarunki.

Uroczystości pogrzebowe odbywały się w ekskluzywnym zakładzie pogrzebowym na Park Avenue, sprawnie kierowane przez spokojnego mężczyznę w ciemnym garniturze. Dyskretna ceremonia miała głównie świecki charakter, z niewieloma odniesieniami do religii, nie zobowiązującymi nikogo do niczego. Przemawiały trzy osoby, jako pierwszy ojciec Lucie, który zapisał wszystko, co miał do powiedzenia, na dwóch żółtych kartkach drżących w jego dłoniach niczym liście na wietrze. Z trudem dotarł do końca mowy, co rusz pociągając nosem, krztusząc się i tłumiąc szloch.

Następnie jedna z przyjaciółek Lucie, kobieta o nazwisku Janet Higgins, opowiedziała o ich ostatnim spotkaniu, do którego doszło, jak się okazało, podczas premiery sztuki reżyserowanej przez Janet. Wszyscy wysłuchali, jakim oparciem była dla niej wtedy Lucie, jakim oparciem była zawsze i jak trudno uwierzyć, że nagle zabraknie tak cudownej bratniej duszy. Bryce uświadomił sobie w nagłym szoku, że musiało chodzić o Niewierność, na której Lucie spotkała się z Wayne'em. Czuł, jak drży, gdy się zastanawiał, czemu właściwie dał początek i co w ten sposób zniszczył. Dlaczego nie mogli mieć już tego wszystkiego za sobą?

Jego myśli zaczęły dryfować, aż pojawiło się pytanie: dlaczego po prostu nie wyjechać z Nowego Jorku? Zostawić Nowy Jork, zostawić Connecticut, zostawić wszystko.

Hiszpania. Przenieść się do Hiszpanii na dwa, trzy lata, zabrać ze sobą Isabelle i może pomóc jej odzyskać dzieci. Wraz z tą myślą spojrział na

swoje potomstwo, nie potrafił się powstrzymać; siedziały ściśnięte z matką, cała trójka, odgradzeni od ojca. Nie, to on odgradził się od nich, nieprawdaż?

Nigdy nie spotkał dzieci Isabelle. Kilka razy widział się za to z jej ojcem i uważał go za człowieka nieco nadętego, ale poza tym w porządku. Przez jakiś czas mógłby przebywać w jego towarzystwie.

Nie mieszkaliby jednak w Madrycie, gdzie staruszek miał dom. Nie, przenieśliby się bardziej na wschód, do Barcelony, znaleźli uroczą willę poza miastem z widokiem na Morze Śródziemne. Znajdował się tam tuzin plaż, na których można było się wygrzewać, inna każdego dnia. Wymyśliłby jakąś historię osadzoną w Hiszpanii, urządził biuro w słonecznym narożnym pokoju, prowadził badania w Barcelonie. Już widział to biuro, ciemne drewno lśniące w pełnym słońcu, kafle tarasu, na który wychodziło duże okno. Żałował, że musi być tutaj, a nie tam, przed komputerem, pisząc hiszpańską powieść, zerkając na Isabelle leżącą na skąpanym w słońcu tarasie i na jej trójkę dzieci.

Najpierw jednak trzeba zakończyć sprawę z Wayne'em. Wayne i jego Dwie twarze w lustrze... W poniedziałek za tydzień mógłby wysłać Joemu Katzowi, redaktorowi, gotowy maszynopis, może zadzwonić w czwartek albo w piątek z radosną nowiną, że książka jest prawie gotowa. Uśmiechnął się mimowolnie do tych myśli, ale szybko opanował reakcję.

Tymczasem najgorsze zostało na sam koniec: kolejna przyjaciółka Lucie postanowiła opowiedzieć zebranych wszystkie śmieszne anegdotki, jakie usłyszała z jej ust, z których większość prawdopodobnie w oryginalnym kontekście nie była zbyt zabawna, a w obecnych okolicznościach brzmiała po prostu upiornie. Kobieta w ogóle nie czuła publiczności i nie przestawała paplać, a Bryce nagle przyłapał się na myśli, że ją także Wayne powinien zabić.

Wreszcie jednak zamilkła, a pracownik zakładu pogrzebowego odjechał z trumną na wózku, by poddać ciało Lucie kremacji, i tak ceremonia dobiegła końca. Ludzie zbijali się w niewielkie szemrzące grupki, z których żadna nie przygarnęła Bryce'a. Nikt w tym miejscu, zrozumiał nagle, nie stoi po mojej stronie. Czując się bardzo samotnie, wyszedł na zewnątrz i zamachał na taksówkę.

Przesłuchanie z udziałem detektywa Johnsona okazało się krótkie i proste. Detektyw był wysokim, szczupłym mężczyzną, nie tak krępy jak funkcjonariusze z Los Angeles i wszystko wskazywało, że o nic nie podejrzewa Bryce'a. Rozpoczął jednak od badania tego samego gruntu, czyli powodu wyjazdu Bryce'a, choć w krótszych słowach, gdyż najwyraźniej zdążył się skontaktować z kolegami Grasso i Maurice'em.

Następnie zaczął wypytywać o mężczyzn, z którymi Lucie mogła się spotykać w czasie ich separacji, na co Bryce odpowiedział: – Proszę wybaczyć, ale chyba jestem ostatnią osobą, która pomoże panu w tym temacie.

– Co racja to racja – przyznał Johnson. – Sporządziliśmy jednak portret pamięciowy, który może pasować do zabójcy. Chciałbym go panu pokazać.

– Jasne – odparł Bryce i jednocześnie zaczął się zastanawiać: jak mógłbym zaprzeczyć, że nie poznaję Wayne'a? Ale przecież nie mogę mu powiedzieć, że ten facet wygląda jak Wayne, że go chociaż odrobinę przypomina... I dlaczego Wayne pozwolił, by go rozpoznano?

Wyciągnąwszy z kieszeni marynarki jasnobrązową kopertę, Johnson wytłumaczył: – Mamy dwóch potencjalnych świadków, ale prawdę mówiąc nie jesteśmy pewni, czy rozpoznają tę samą osobę.

– Nie nadażam – przyznał Bryce.

Johnson wydawał się niechętny, by pokazać portret. Trzymał kopertę obiema rękami. – Jeden świadek – zaczął – to portier w budynku, gdzie mieszkała pani Proctorr. Widział, jak na górę wchodzi pewien mężczyzna, schodzi z



panią Proctorr, jak później razem wracają do mieszkania i jak na końcu wyszedł sam.

– A zatem widział go cztery razy – zauważył Bryce. – To całkiem sporo.

– Mogłoby się tak wydawać – odparł Johnson – ale niestety nie wszyscy są tak spostrzegawczy, jak byśmy sobie tego życzyli.

– Cóż, to chyba prawda.

– Mężczyzna ten przedstawił się portierowi jako Wayland – ciągnął Johnson. – Coś to panu mówi?

Spryciarz z tego Wayne'a, pomyślał Bryce, w jednej chwili orientując się, co musiał zrobić. Pokręcił głową. – Nie znam nikogo o nazwisku Wayland. Nie podał imienia?

– Nie, chyba że to jest imię.

– To niewykluczone.

– Pani Proctorr na pewno go znała. Powiedziała portierowi, żeby wpuścił go na górę.

– Wayland... – powtórzył Bryce. Jeszcze raz pokręcił głową.

– Wydaje się, że wyszli razem na kolację – kontynuował Johnson – prawdopodobnie w okolicy, jeśli wziąć pod uwagę, jak długo ich nie było. Sprawdziliśmy więc najbliższe restauracje ze zdjęciem pani Proctorr i znaleźliśmy kelnerkę w lokalu o nazwie „Salt”, która mogła ją widzieć tamtej nocy. Nie jest jednak w stu procentach pewna i nie zwróciła większej uwagi na jej towarzysza.

– Ale to mógł być on – powiedział Bryce.

– Zapłacił gotówką, więc nie mamy nazwiska z karty kredytowej. Zeznania świadków rozmijają się w kilku szczegółach, w związku z czym portret został stworzony wyłącznie w oparciu o te cechy, które wydają się zgodne. – Johnson w końcu zdecydował się wyciągnąć ten portret z koperty. Portret, który ani trochę nie przypominał Wayne'a! Bryce trzymał zdumiony kartkę, wpatrując się w nieznanego i zastanawiając, czy – skoro nie Wayne'a – nie rozpoznaje w nim kogoś innego. Patrzył na surowszego mężczyznę o węższych ustach i bardziej płaskich uszach, wyższym czole i ciemniejszych, gęstszych włosach. Wysokie czoło pochodziło pewnie od kelnerki, która musiała patrzeć na niego z góry.

W końcu Bryce zobaczył tam oczy Wayne'a, to akurat udało im się uchwycić właściwie. Oczy Wayne'a osadzone w twarzy nieznanego. Wayne w masce.

– Nie – powiedział. – Rozpoznałbym tego mężczyznę, gdybym go kiedykolwiek widział.

– Cóż, warto było spróbować – odparł Johnson.

Bryce oddał mu kartkę. – Ale to ten mężczyzna, tego jesteście pewni?

– Nie do końca – westchnął Johnson. – Wygląda to na próbę gwałtu, która wymknęła się spod kontroli, choć może to być coś zupełnie innego.

Bryce potrząsnął w konsternacji głową. Czuł się pusty w środku, coraz bardziej pusty, jakby rosła w nim wielka jaskinia. Wielka, wysoka jaskinia z zimnymi, ostrymi stalaktytami. – Ale co? O co innego mogłoby chodzić?

– Cóż, mogłoby chodzić o kradzież – wyznał Johnson. – Co prawda budynki w tamtej okolicy są całkiem bezpieczne, ale mimo to nie można wykluczyć, że ktoś wszedł do środka, zobaczył, jak mieszkanie pani Proctorr opuszcza ten mężczyzna, poczekał, aż wejdzie do windy, a następnie zapukał do drzwi, udając, że jest nim i że musiał po coś wrócić.

Ocal Wayne'a, pomyślał Bryce. – Myśli pan, że to możliwe? – zapytał.

– O tak, na pewno możliwe. Zniknęła biżuteria, szuflady były pootwierane, tego typu rzeczy. Ale wyglądało to tak, jakby ktoś chciał tylko stworzyć pozory włamania. Poza tym pani Proctorr najwyraźniej miała osobisty notatnik, który również zniknął.

– Och...

Johnson uśmiechnął się do Bryce'a. – Nie zapisałaaby przecież nazwiska złodzieja w notatniku.

– Nie – odparł Bryce. – Raczej nie.

Johnson potrząsnął głową. – Z drugiej strony można na to spojrzeć jeszcze inaczej: złodziej zabrał notatnik, żeby skierować podejrzenia na mężczyznę, z którym się tego wieczoru spotkała.

– Sprytne – przyznał Bryce.

Johnson przytaknął. – Wielu z nich z początku sprawia takie wrażenie – powiedział. – Prędzej czy później okazuje się jednak, że większość to bardzo prości ludzie.

Godzinę później Bryce i Isabelle siedzieli w milczeniu w salonie. Czytali gazety, gdy zadzwonił telefon. Bryce odebrał i usłyszał:

– Cześć, tu Wayne.

Krew ścięła mu się w żyłach. Jak śmiesz tu dzwonić?! – krzyknął w duchu. Jak śmiesz ze mną rozmawiać, jak śmiesz pokazywać swoją twarz?!

– Ach, cześć, Wayne – powiedział. – Poczekaj sekundę.

– Jasne.

Odłożywszy telefon na bok, zwrócił się do Isabelle: – Praca. Przejdę do biura. Odłóż tę słuchawkę, kiedy odbiorę, okej?

– Nie ma sprawy.

Wszedł do biura, usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę. – Możesz odłożyć, Isabelle.

Usłyszał kliknięcie.

– Isabelle. Nie czekałeś długo – odezwał się od razu Wayne.

– Pewnie chcesz porozmawiać o książce – zmienił temat Bryce. Wayne naprawdę nie musiał mu wytykać, że szybko sprowadził tu Isabelle.

– Zgadza się.

– Doszedłem do wniosku, że powinienem przeczekać jakiś tydzień. Pogrzyb był dziś rano. – Wayne się nie odzywał i po chwili Bryce dodał: – W następny poniedziałek albo może jeszcze w piątek zadzwonię do Joego Katza, mojego redaktora. Powiem mu, że książka jest gotowa i wyślę maszynopis.

– To wspaniale, Bryce. Dzięki.

Bryce nie potrafił przemilczeć pytania, które cisnęło mu się na usta: – A jak ty się miewasz? – Oczywiście właściwe pytanie brzmiało: jak się miewasz po zatłuczeniu istoty ludzkiej na śmierć?

– Och, świetnie – odparł Wayne, lecz zaraz potem zaśmiał się cicho. – Choć przez moment trochę słabo.

– Trudno się dziwić.

– Nie wszystko i nie zawsze dzieje się tak, jak się tego spodziewasz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Chyba rozumiem.

– Okej, ja zostaję na miejscu – powiedział Wayne. – Będę czekał na telefon.

– Jasne.

Bryce odłożył słuchawkę i spojrzał ponuro na komputer, cichy, milczący. Wayne tam jest, pomyślał. Od teraz tam będzie, właśnie tam. Na zawsze.

12

Wayne miał nadzieję, że wreszcie zostawia tę sprawę w spokoju. Przecież była równie martwa, jak sama Lucie, dlaczego więc nie pozwolą jej przeminać? Informacje, które udało im się pozyskać, i tak były skąpe. W jakiś sposób wytropili go w „Salt”, a policyjny rysownik sporządził portret pamięciowy, który był absurdalnie niezgodny z rzeczywistością. Śmiejąc się do gazety, Susan zapytała:

– I to ma być mężczyzna, którego poślubiłam?

Ale potem nic, cisza. Żadnych nowych tropów, żadnych wskazówek, świadków, zmian czy dodatkowych poszlak. A mimo to lokalna telewizja i gazety

musiały powtarzać te same cholerne i nic nie znaczące informacje dzień za dniem. Nawet w sieci serwisy informacyjne puszczały wzmianki o śmierci Lucie Proctorr.

Zwyczajowa papka, Wayne doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że nie powinien się tak bardzo przejmować, ale nie dawało mu to spokoju. Zwyczajową papkę od zawsze współtworzyły gwiazdy i seks, lecz w mniemaniu Wayne'a sprawa Lucie stanowiła ich rozwodnioną wersję. To prawda, że Bryce był bestsellerowym autorem, produktem, marką, ale, na miłość boską, przecież żaden z niego O.J. Simpson! I chociaż policja powtarzała, że nie znaleziono żadnych śladów ataku na tle seksualnym, media miały to gdzieś, i tak wiedziały swoje. Jeżeli seksowna ślicznotka została skatowana na śmierć, to przecież musiało chodzić o seks.

„Skatował seksowną ślicznotkę”, aliterowały jak jeden mąż wszystkie media, chociaż Wayne mógłby im wyjaśnić, że akurat w tej kwestii wszystko poprzekręcali. To było zupełnie inaczej, przecież wcale nie chodziło o katowanie seksownej śliczności. Już prędzej o skręcenie karku żółwiowi.

Odkąd historia śmierci Lucie Proctorr ujrzała światło dzienne, Wayne i Susan znów zaczęli oglądać wiadomości, ale Wayne żałował tej decyzji. Zauważył jednak, że Susan wciągnęła się w sprawę morderstwa, jakby nie wiedziała, co się tak naprawdę stało. Była teraz jednym z wielu obserwatorów katowania seksownej blondynki.

Coś jeszcze w niej narastało, dostrzegał to wyraźnie, nie potrafił jednak powiedzieć, co. Częściej się kochali, a w trakcie Susan trzymała się go kurczowo, jakby był kawałkiem deski z rozbitego statku, pływającym po powierzchni wzburzonego morza. Ale najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność, cokolwiek w tych chwilach przebiegało jej przez głowę, a on zdawał sobie sprawę, że lepiej o to nie pytać.

Aż w końcu w środę w nocy, gdy, jak sądził Wayne, już zasypiali, Susan odezwała się bardzo cichym, niemal dziewczęcym głosem: – Mogę o coś zapytać?

Oczywiście nie musiała wspominać, w jakim temacie. Ani trochę nie będzie mi się to podobać, pomyślał, ale nie widział wyjścia z tej sytuacji. – Jasne. O co chodzi?

– Czy to cię podnieciło?

– Ależ skąd! – Wayne był zbulwersowany, że w ogóle przyszło jej coś takiego do głowy. – Dlaczego miałyby mnie to podniecić?! – niemal zawył. Wtedy jednak zrozumiał, że w tej sytuacji zdecydowane zaprzeczenie nie wystarczy, nie uciszy jej wątpliwości i nie zmieni zdania ani wyobrażenia, czegokolwiek by sobie nie wyobrażała, więc z odrazą, którą wciąż doskonale pamiętał, powiedział: – Ona zesrała się w spodnie.

– Och! – jęknęła i gęsta od szoku cisza z jej strony łóżka, a po chwili: – Nie to chciałam usłyszeć.

– A ja nie chciałem, żebyś w ogóle pytała.

Kolejna długa chwila ciszy, a potem znów dziewczęcym głosem: – Więcej tego nie zrobię.

– W porządku, Susan – odpowiedział. – To naturalne, chcesz, a jednocześnie nie chcesz wiedzieć.

– Nie chcę. Nie teraz. Może kiedyś.

– Tak, tak będzie lepiej. Myślałem, to znaczy miałem nadzieję, że kiedy... kiedy się to wszystko uspokoi, kiedy będziemy mieć to dawno za sobą, usiądziemy gdzieś razem i wtedy mógłbym ci wszystko opowiedzieć.

– Ale jeszcze nie teraz – upewniła się Susan.

– Jeszcze nie teraz.

Wayne wiedział, że część problemu, ich problemu, wynikała z biernego oczekiwania. Autor zawsze czuł niepewność, gdy oddawał redaktorowi nową powieść. Nawet po wielu latach pisania, bez względu na osiągnięte sukcesy, istniał pełen napięcia okres bezczynności między przekazaniem maszynopisu a pierwszą reakcją redaktora.

W dodatku tym razem sprawy znacznie się skomplikowały. To już nawet nie był jego maszynopis, już nie, to nie był jego redaktor, a on nie miał żadnej kontroli nad terminem złożenia powieści. Musiał czekać i czekać, i właśnie dlatego tak mocno oddziaływało na niego nieustające zainteresowanie mediów „zbrodnią z ostatniej chwili”.

Co wpływało także na rytm jego pracy. W tym tygodniu ledwie tknął Bratnie widmo. W zeszłym, zanim wyjechali na weekend do Nowej Anglii, pisał jak natchniony, ale w tym wszystko przychodziło mu z trudem. Postaci się opierały, nie chciały mu podpowiadać, jakie decyzje powinny podejmować i jak reagować, a przede wszystkim dlaczego zachowywały się tak a nie inaczej. Oczywiście Wayne nie zamierzał tłumaczyć czytelnikowi każdej motywacji, ale on musiał je znać. Musiał je znać na tyle dobrze, by przewidzieć, jak jego bohaterowie zareagują na każdy bodziec, a w tym tygodniu po prostu nie widział tego dość wyraźnie.

Aż w czwartek, kiedy siedział ponury przed komputerem, zastanawiając się, jak jeden z ważniejszych bohaterów – nie główny, ale wciąż bardzo istotny – zareaguje na złe wiadomości, zadzwonił telefon.

– Chciałem ci tylko dać znać – zaczął Bryce – że już oddałem książkę.

– To wspaniale, Bryce – odparł Wayne.

– Zadzwoniłem dziś rano do Joego Katza i przekazałem mu, że skończyłem, a on podesłał do mnie kuriera i obiecał przeczytać przez weekend.

Nigdy wcześniej nikt nie wysyłał kuriera po książkę Wayne'a. Ta drobna myśl ukłuła go żądłem swej ironii i sprawiła, że się uśmiechnął. – Mam nadzieję, że mu się spodoba – powiedział.

– Dlaczego miałyby się nie podobać? Przecież obaj daliśmy z siebie wszystko.

Wayne wyszczerzył się w uśmiechu od ucha do ucha. – Tak, to prawda. W poniedziałek będę czekać przy telefonie.

– Obaj będziemy – stwierdził Bryce.

13

Joe Katz zadzwonił tuż po jedenastej w poniedziałek rano. – Bryce, powiem krótko – rewelacja.

Aż do tej chwili Bryce nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spięty. Przeróżne scenariusze przemykały mu przez głowę, a on starał się je stłamsić, scenariusze, w których Joe dzwonił i mówił: „Bryce, co to za gniot? Przecież ty byś czegoś takiego nie napisał” albo, jeszcze gorzej, „Bryce, przykro mi to mówić, ale staczasz się, chłopie”. Masz tam kukułcze jajo, Joe – myślał. – Pytanie, kto jest kukułką, a kto rodzicem zastępczym.

Nie dopuszczał do głosu wątpliwości, ale teraz, gdy Joe wypowiedział to cudowne słowo – „rewelacja” – mógł wreszcie przegnać złośliwe duszki pochowane w szufladach jego umysłu i uśmiechnął się szeroko do telefonu. – Dobrze to słyszeć, Joe.

– Chwilami to jest najlepsza rzecz, jaka wyszła spod twojego pióra.

Uśmiech nieco mu zrzędł. – Dzięki, Joe.

– Oczywiście jak zwykle do kilku drobiazgów muszę się przyczepić.

– Och, jasne, Joe, przygotowałem się na to – odparł Bryce. – Dobrze wiesz, że ufam twojemu czepialstwu.

– Dzięki. Masz tam maszynopis? Moglibyśmy zerknąć na kilka fragmentów, nie potrzebuję odpowiedzi w tej chwili, możemy wyskoczyć na lunch w tygodniu czy kiedy tylko będziesz gotowy.

– Jasne, poczekaj sekundę, właśnie wyciągam go z szuflady... Okej, słucham.

Przez około dziesięć minut omawiali fabułę, postaci i tempo akcji, przeróżne drobne wątpliwości, które Bryce mógł wyjaśnić od razu przez telefon. W pewnej chwili jednak Joe powiedział:

- Na stronie dwieście trzynastej Henry naskakuje na Eleanor i jak burza wypada z restauracji. Trochę dalej, na stronie trzysta czterdziestej siódmej, najwyraźniej znów są razem, okej, niech tak będzie. Sądzę, że możemy się domyślać, co zaszło w międzyczasie, ale po prostu czuję, że opuściłeś tutaj scenę, którą moglibyśmy wykorzystać.

W rzeczywistości Bryce dopisał scenę, w której Henry wychodzi z restauracji. W wersji Wayne'a bunt przeciwko Eleanor miał charakter wewnętrzny, bez przechodzenia do czynów i Bryce odniósł wrażenie, że brakuje tam dramatyzmu, akurat w tej części powieści, gdzie niewiele się działo. W jego mniemaniu czytelnik sam by się domyślił, że pokaz niezależności Henry'ego był tylko pokazem, niczym więcej, w związku z czym nie istniała konieczność tłumaczenia, dlaczego w późniejszym rozdziale Eleanor nadal trzyma go pod obcasem. Postanowiwszy przemilczeć oryginalną wersję Wayne'a, Bryce wyjaśnił Joe-mu powody swojej decyzji, ale Joe ich nie kupował.

- Henry przez cały czas do czegoś zmierzał - powiedział Joe. - Potrafiłem to wyczuć. Kiedy więc wreszcie postanowił się odezwać, naprawdę oczekiwałem, że będzie to miało jakieś konsekwencje. Chodzi mi o to, że Henry może powrócić do pierwotnego stanu rzeczy, właściwie musi, jeśli wziąć pod uwagę dalsze wydarzenia, ale ja chcę zobaczyć ten powrót. Wiesz co, gdyby na stronie dwieście trzynastej on nie wybuchł, gdyby ten protest ograniczył się wyłącznie do jego wnętrza, wtedy byłoby widać, że lont zdążył zamoknąć i choć pojawia się iskra, Henry nie wybuchnie i na zawsze pozostanie w tym samym miejscu. Innymi słowy, wersja Wayne'a.

- Czułem jednak, że tej części książki potrzeba więcej dramatyzmu - wyjaśnił Bryce.

- Och, nie twierdzą, że to nieprawda - odparł Joe. - Nie chciałbym, żebyśmy musieli wyrzucać tę scenkę buntu. Ale w takim wypadku musiałbyś później sprowadzić Henry'ego z powrotem na ziemię, pokazać, jak traci entuzjazm. Jeśli nie przed wykonaniem kolejnego ruchu, to po.

Joe miał rację, a Bryce dobrze o tym wiedział, ale nic nie mógł poradzić na swój opór, tym bardziej że omawiany problem dostrzegłby jeden czytelnik na tysiąc. Henry nie był najważniejszym bohaterem powieści, on i Eleanor nie współtworzyli głównej intrygi.

- Czułem - powiedział - że czytelnicy sami się zorientują, dlaczego Henry wrócił do Eleanor, że kiedy będzie odchodził, powiedzą sobie: on i tak do niej wróci.

- Rozumiem, ale w takim razie postać Henry'ego zakrawa na kpinę - stwierdził Joe. - Musimy zobaczyć proces jego powrotu, bo Henry jest później zbyt ważny dla fabuły, żeby sprowadzać całą jego rolę do jakiegoś żartu.

- Wiesz, Joe, musiałbym to przemyśleć...

- Jasne, jasne. W takim razie ruszajmy dalej.

Rozmawiali jeszcze jakieś pięć minut, a Bryce robił notatki i wprowadzał na żywo drobne modyfikacje, aż w końcu się rozłączył i spędził resztę dnia, robiąc wszystko, co w jego mocy, by nie myśleć o Henrym i Eleanor. Prawda wyglądała tak, że nie miał pojęcia, jak Henry'emu mógł się powieść jego mały bunt, i to choćby na krótką chwilę. Jeśli wziąć pod uwagę, jak Wayne stworzył tę postać, Bryce powinien pójść tą samą drogą - Henry planuje ucieczkę, ale ponosi porażkę. Kiedy jednak wprowadzał zmiany, kierował się wymogami fabuły, a nie reakcji postaci, a cholerny Joe Katz był wystarczająco spostrzegawczy, by to wylapać.

Jak Wayne obszedł problem? Bryce wyrzucił oryginalny maszynopis, ponieważ nie chciał zatrzymywać niczego, co mogłoby wskazywać na prawdziwe pochodzenie powieści, teraz jednak zaczynał żałować, że nie zostawił go sobie choć trochę dłużej. Ale już go stracił i wszystko, co mu zostało,

to jego własna wersja, a teraz natrafił na problem połączenia kropek, które po prostu nie chciały się dać połączyć. Cóż, i tak miał zadzwonić do Wayne'a, więc zrobił to o czwartej po południu.

– Właśnie rozmawiałem z Joem Katzem – powiedział.

– A ja już straciłem na dzisiaj nadzieję – odparł Wayne. – Doszedłem do wniosku, że pewnie będziecie rozmawiać jutro.

– Joe miał chyba przez większość dnia konferencje wydawnicze – wyjaśnił Bryce, czując się odrobinę winny za to, że nie zadzwonił do Wayne'a natychmiast po rozmowie. – W każdym razie Joe uważa, że książka jest rewelacyjna. Dokładnie tak to ujął. – Nie widział jednak powodu, by wspominać o uwadze, że „chwilami to jest najlepsza rzecz spod jego pióra”.

– To dobrze – odpowiedział Wayne. – Ulżyło mi. Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś.

– Pomogliśmy sobie nawzajem – sprecyzował Bryce, bo z jakichś powodów odnosił wrażenie, że Wayne celowo pomija pewną część ich współpracy.

– Wiem o tym, Bryce. I cieszę się, że to zrobiliśmy.

– Wiem – rzucił krótko Bryce, choć chciał zapytać: Wayne, ale jak mogłeś to zrobić? Zdawał sobie jednak sprawę, że tego pytania nigdy nie zada. – Tylko że teraz musimy trochę pomyśleć nad tą książką

– powiedział zamiast tamtego – bo pojawiło się kilka wątpliwości.

– Jasne – odparł odrobinę zaskoczony Wayne. – Strzelaj.

– Joe dostrzegł kilka problemów – wytłumaczył Bryce, nagle czując się niezręcznie, świadom, że będzie zmuszony przyznać się do niefortunnej zmiany – ale daliśmy sobie radę ze wszystkimi prócz jednego, z którym mam większy zgrzyt.

– Zrobiłem coś źle?

– Okazuje się, wręcz przeciwnie – odparł. – Ty zrobiłeś dobrze, ale ja niestety źle.

– Och, chodzi ci o jakąś zmianę, którą wprowadziłeś.

– Pamiętasz, jak Billy prawie postanawia zostawić Janice? – zapytał, używając imion z pierwotnej wersji.

– W restauracji? Tak, pewnie.

– Chodzi o to, że chciałem tam wprowadzić nieco dramatyzmu...

– Zaraz, nie, niemożliwe. Kazałeś mu wyjść?

– Tak.

– Przecież on by tego nie zrobił!

– Wydawało mi się, że chociaż ten jeden raz...

– Nie, Bryce, wykluczone, właśnie o to chodzi z Billym, właśnie dlatego był mi później potrzebny, u niego wszystko rozgrywa się w środku, on nigdy nie uzewnętrznia uczuć w prawdziwym świecie, on po prostu taki nie jest.

– Cóż, wprowadziłem zmianę – tłumaczył się Bryce – a Joe wyłapał nieścisłość...

– Oczywiście, że wyłapał. – Wayne sprawiał wrażenie mocno zawiedzionego.

– Ale teraz problem polega na tym – ciągnął Bryce – że Joe zgadza się i ze mną, i z tobą. To znaczy zgadza się, że w tej części potrzeba więcej dramatyzmu, jakiegoś wydarzenia, ale z drugiej strony czuje, że niezbędna będzie scena, gdy Billy powraca do pierwotnej postawy.

– Chodzi ci o to, że Billy działa wbrew sobie, aż w końcu to zauważa i cofa się na pierwotną pozycję.

– Tak mi się wydaje. W każdym razie potrzebna jest scena powrotu. Książce.

– A nie możesz po prostu przywrócić pierwotnej wersji?

– Nie mogę wyrzucić z książki dramatycznej sceny po tym, jak zobaczył ją redaktor.

– Szlag... Do cholery, Bryce, dlaczego wcześniej tego ze mną nie przegadałeś? Zmieniałeś coś jeszcze?

– Drobiazgi, przecież dobrze wiesz, ale tylko z tym fragmentem Joe miał problem.

– A więc u ciebie ten introwertyczny facet nagle się uzewnętrznia, a potem co? Jak to dalej pociągnąłeś?

– Kiedy się następnym razem widzą, znów są razem. Jak w twojej wersji.

– I żadnego wyjaśnienia.

– Żadnego.

– Jezu, Bryce, i co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem, liczyłem, że ty będziesz miał pomysł.

– Miałem. A ty go zmieniłeś.

– Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak Billy miałby to odwrócić – przyznał Bryce.

– Ani ja – stwierdził Wayne. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak Billy wychodzi z restauracji sam.

– Prześpijmy się z problemem – zaproponował Bryce – a jutro rano znów się odezwę.

– Dobra – odparł Wayne, chociaż jego głos był pełen wątpliwości.

Wieczorem, jedząc kolację z Isabelle u Gaylorda, Bryce powiedział: – Ostatnio pomyślałem, że kiedy już skończę pracę nad Dwoma twarzami w lustrze, chciałbym tak na trochę wyjechać z miasta, na trochę zostawić całe moje życie.

Isabelle spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem. – Zostawić całe życie?

– Wszystko oprócz ciebie – zapewnił ją. – Tak naprawdę zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy się przenieść na parę lat do Hiszpanii.

Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, ale brakowało w nim radości. – Hiszpania? Na miłość boską, dlaczego!

– To piękny kraj – odpowiedział. – Mógłbym tam osadzić moją następną powieść. Nie podoba mi się teraz w naszym mieście, ze wszystkim wiąza się wspomnienia, a Connecticut nie jest wcale lepsze. Po prostu chciałbym odpocząć. I może pomógłbym ci odzyskać dzieci, może twoja obecność na miejscu coś by zmieniła...

Isabelle nagle stała się oziębła. – Sądzę, że ten problem powinniśmy zostawić ojcu – stwierdziła. – Nie powinnam się w to mieszać, a ty nie powinienesz zajmować się rzeczami, których nie rozumiesz.

– Okej, okej – uspokajał ją. – Więc nie chcesz się przenieść do Hiszpanii.

– Ja postanowiłam zostawić Hiszpanię – przypomniała mu. – Lubię Nowy Jork.

– Świetnie.

– A poza tym, Bryce – ciągnęła – to chyba nie jest najlepszy czas, żebyś wyjeżdżał z kraju, nie rozumiesz?

Bryce nie miał pojęcia, do czego zmierzała. – Czego nie rozumiem?

– Jesteś podejrzany!

– Co? Chodzi ci o...

– O to, że mąż zawsze jest głównym podejrzany, a ty właśnie przechodziłeś przez bardzo trudny rozwód, no i czy to nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że byłeś w Los Angeles dokładnie w chwili, kiedy Lucie została zamordowana?

– Ale ja przecież naprawdę tam byłem.

– Jesteś bogatym człowiekiem – odparła Isabelle. – Mogłeś kogoś wynająć. Myślisz, że policja nie bada takiej opcji? Czy przypadkiem nie wydawałeś ostatnio jakichś większych sum albo nie spotykałeś się z podejrzanyymi typkami?

– Nie spotykałem – powiedział. – Ani nie wydawałem pieniędzy.

– Jeśli spróbujesz opuścić kraj, oni tylko się upewnią, że zapłaciłeś za zamordowanie Lucie, i będą cię dręczyć do upadłego.

– Rzecz bardziej w tym – zбочył z tematu Bryce, nie mając ochoty myśleć o tym, co właśnie usłyszał – że ty nie chcesz wracać do Hiszpanii.

– Nawet na minutę.

– Świetnie. Zostaniemy więc tutaj.

I nagle pomyślał zupełnie bez związku z rozmową, że to właśnie w takim momencie Henry wstał i zostawił Eleanor. A zatem Wayne miał rację, a ja się myliłem.

Rano Bryce zadzwonił do Wayne'a, ale Wayne nie miał dla niego żadnych sugestii, jak wygładzić wątpliwy fragment.

– Zwykle kiedy pojawia się taki problem, siadamy wspólnie z Joem i robimy burzę mózgów, i najczęściej udaje nam się na coś wpaść, ale tym razem to chyba nie zadziała. Dochodzę do wniosku, że te postaci są dużo bardziej twoje niż moje, że ty potrafisz się w nie wczuć, sprawić, by były bardziej konsekwentne.

– Ale nie teraz, kiedy Billy zachowuje się jak wariat, wybacz, Bryce.

– Myślałem nad tym dziś rano – powiedział Bryce – i doszedłem do wniosku, że ty mógłbyś się spotkać z Joem, to znaczy cała nasza trójka, wtedy z pewnością udałoby nam się wydostać z dołka.

– Ja? Jak ja miałbym się spotkać z twoim redaktorem?

– Wymyśliłem już dla niego odpowiednią historyjkę – wyjaśnił. – Ty i ja znaleźliśmy się przed laty, byłeś poczytnym pisarzem, prawdopodobnie skojarzy twoje nazwisko, ale nagle straciłeś zapał do pisania. A ja w związku z rozwodem przechodziłem przez piekło, nie mogłem się skupić na nowej książce, i wtedy na siebie wpadliśmy, a ja cię zatrudniłem jako konsultanta redakcyjnego.

– Czyli tak jak napisałeś w umowie.

– Zgadza się. Powiem Joemu, że nie chcę, by sprawa wyszła na jaw, bo sugestie, że nie potrafię sam napisać książki, mogłyby mnie publicznie upokorzyć.

– Tak miał Jerzy Kosiński – powiedział Wayne.

– Zgadza się – przytaknął Bryce. – Po wszystkich plotkach, że jego powieści pisał ktoś inny, Kosiński już nigdy nie odzyskał dawnej reputacji, a w każdym razie nie do końca.

– A zatem jestem twoim konsultantem redakcyjnym incognito – podsumował Wayne takim tonem, jakby czuł się odrobinę urażony. – Jak to ma mi niby zapewnić spotkanie z tym redaktorem?

– Rozumiesz te postacie – stwierdził Bryce. – Czasami nawet lepiej niż ja. Wytłumaczę Joemu, że kiedy pracowałem nad tą częścią książki, protestowałem przeciwko mojej decyzji, by Billy wyszedł z restauracji. Będziesz mógł mu powiedzieć to wszystko o tłumieniu emocji, ja na pewno nie zrobiłbym tego tak, jak należy.

– Ale ty przecież pozmieniałeś trochę rzeczy, odkąd ostatni raz widziałem maszynopis? – zapytał Wayne. – Imiona bohaterów, kolejność rozdziałów i tak dalej, prawda? Jak mógłbym teraz rozmawiać z kimkolwiek o tej powieści?

– Wyślę do ciebie kuriera z nową wersją jeszcze dziś.

– Kuriera. Miło z twojej strony. Kim są teraz Billy i Janice?

– Henrym i Eleanor.

– Henry i Eleanor... – powtórzył na głos Wayne, jakby smakował te imiona. – Jasne. Dlaczego nie?

– Sam zobaczysz, kiedy dostaniesz maszynopis, że starałem się zachować wszystkie twoje pomysły, zamiast tworzyć potwora Frankenstein. To jest jedyny większy problem.

– Dobrze. Czyli ja to przeczytam, a ty umówisz spotkanie, na które przyjdę jako ktoś w rodzaju przedredakcyjnego redaktora...

– Jako facet, który pomógł mi w trudnym okresie rozwodu.



- Niewątpliwie pomogłem. Czyli usiądziemy sobie razem, rozwiążemy... problem Henry'ego, a później odejdę w cień, zniknę jak upiór z opery. Bryce wahał się, ale najwyraźniej w końcu uznał, że powinien to powiedzieć: – Jeśli będziecie się z Joem dogadywać, a nie widzę powodu, by miało być inaczej, mógłbyś mu podsunąć pomysł na własną książkę. Wayne'owi wymknęło się krótkie, ale bardzo znaczące: – Och.
- Nie od razu – zastrzegł Bryce. – Spróbujesz skorzystać z okazji, kiedy zamkniemy sprawę obecnej książki.
- Oczywiście – odparł Wayne. – Dzięki, Bryce.

14

Dziwnie czytało się własną książkę po tym, gdy pracę nad nią przejął ktoś inny. Nie chodziło nawet o to, czy według Wayne'a wprowadzone zmiany wyszły jej na dobre – chodziło wyłącznie o wrażenie inności. Jakby śnił sen, w którym znajdował się we własnym domu, ale wszystkie detale zostały pozmieniane – meble stały w innych miejscach, a drzwi prowadziły do nieznanymi pomieszczeń. Dezorientujące, niepokojące, niemal przerażające – a jednak koniec końców fascynujące wrażenie. Rzeczywistość równoległa. Musiał przeczytać maszynopis dwukrotnie, by widzieć wszystko jasno; za pierwszym razem miał wrażenie, jakby patrzył przez cudze okulary. Przy drugim czytaniu doszedł jednak do wniosku, że to bardzo pouczające doświadczenie, pozwalające czarno na białym dostrzec wszystkie niechlujne nawyki, jakie wyrobił sobie przez lata. Ponadto niektóre zmiany Bryce'a uderzyły go swą genialnością. Na przykład przeniesienie trzeciego rozdziału na sam początek wydawało się idealnym posunięciem. Z drugiej strony niektóre poprawki sprawiały wrażenie bezcelowych. Co było nie w porządku ze słowem „grymas”?

Susan również przeczytała Dwie twarze w lustrze i upierała się przy zdaniu, że wersja pierwotna była lepsza, choć Wayne zdawał sobie sprawę, że wynikało ono raczej z lojalności niż krytycznej oceny. Zgodziła się z Wayne'em, że scena z Henrym i Eleanor to pomyłka, ale nie miała pomysłu, jak ją naprawić.

Susan zawsze jako pierwsza czytała jego nowe powieści i szanował jej zdanie właśnie ze względu na to, że nie była artystycznym typem, ale twardo stąpającą po ziemi realistką. Nie ceniła dobrego języka czy pomysłowej fabuły dla nich samych, czerpała przyjemność z lektury prozy Wayne'a ze względu na jej rzetelność w odwzorowywaniu rzeczywistości. Jeśli udawało się jej znaleźć jakiś błąd, zwykle oznaczało to, że w pogoni za efektywnością utracił kontakt ze światem. Bardziej artystycznie usposobiona osoba, inny pisarz czy malarz, potrafiłby wybaczyć takie uchybienia, a być może wcale by ich nie dostrzegł, Susan musiała jednak czuć pod nogami twardy grunt, zaś Wayne polegał na jej opinii, by dodać swojej pracy swoistego ciężaru.

Czasami żartowali, że przeciwieństwa się przyciągają, a całkowite przeciwieństwa przyciągają się całkowicie, ale w gruncie rzeczy wiedzieli, że to prawda. Byli sobie tak oddani i tak od siebie zależni, ponieważ byli sobie tak obcy, tak bliscy, bo tak odlegli. To właśnie głębia dzielących ich różnic sprawiała, że Susan stanowiła dla niego idealnego czytelnika – ona podziwiała jego zdolność tworzenia całych światów z powietrza, a on jej umiejętność dostrzegania, że prawdziwy świat wcale nie musi być nudny.

Spotkanie z redaktorem Bryce'a, Joem Katzem, miało się odbyć o wpół do jedenastej we wtorek. Jego wydawnictwo, Pegasus-Regent, należało do tych, które na początku lat osiemdziesiątych przenosiły swoje biura w okolice Madison Square Park, gdy czynsze w śródmiejskich biurach zaczęły niebotycznie wzrastać. Firma posiadała teraz większą część starego budynku na Dwudziestej Szóstej Ulicy, z restauracją na parterze jako jedynym podnajemcą. Z domu Wayne'a nie był to długi spacer, choć w ten

zimny dzień początku grudnia wiało dość mocno, a niebo zasnuwały chmury. Odpowiadała mu jednak taka pogoda – odnosił wrażenie, że na drodze do chwały musi pokonać ostatnią przeszkodę.

Do poprzedniej przeszkody, do poprzedniego miesiąca, rzadko już wracał myślami, choć podczas półgodzinnego spaceru przed oczami pojawiały mu się pewne przebliski, prawdopodobnie dlatego, że spotkanie z Joem Katzem stanowiło kolejny efekt tamtego zajścia. Ostatnio jednak, kiedy przypominał sobie noc w mieszkaniu Lucie, nie widział tam siebie, czuł się raczej, jakby oglądał scenę szczególnie makabrycznego filmu. Pamiętał to doświadczenie jako coś, co zobaczył, a nie coś, w czym brał udział. Jakby we wspomnieniach stał kilka kroków za napastnikiem, obserwując z bliska, lecz nie uczestnicząc. Mimo to jednak, jak to bywa w przypadku scen z mocnych filmów, wspomnienie pozostało.

Wejście do wydawnictwa Pegasus-Regent prezentowało się wyjątkowo nieciekawie. Utrata przestronnego lobby biurowca stanowiła jedną z wad przeprowadzki na południe. Przeszkłone drzwi z nazwą wydawnictwa znajdowały się na prawo od wejścia do restauracyjki. Za nimi ciągnął się wąski hol z podłogą z mozaiki, stromymi metalowymi schodami prowadzącymi do tyłu i w górę oraz dwiema windami.

Dział redakcyjny mieścił się na ostatnim, szóstym piętrze, choć w tej okolicy niewiele było miejsc, które dawały nadzieję na lepszy widok. Wayne wjechał na górę, a kiedy drzwi windy rozsunęły się przed nim, stwierdził, że to wydawnictwo mimo wszystko mogłoby się znajdować w ścisłym centrum miasta. Dział redakcyjny mógł się pochwalić bardzo nowoczesną i dużą recepcją z dwoma oddzielnymi kompletami kanap i stolików po prawej i lewej, pełnymi magazynów oraz szerokim biurkiem rodem ze Star Treka, uginającym się od elektroniki.

Wayne zjawił się dwie czy trzy minuty za wcześnie, ale Bryce już na niego czekał, czytał magazyn „Economist” na kanapie po prawej. Podskoczył, gdy tylko zobaczył Wayne'a, pomachał do niego i krzyknął do recepcjonistki: – Okej! Powiedz Joemu, że jesteśmy gotowi!

Dziewczyna odwróciła się do swych paneli kontrolnych, a Bryce podszedł do Wayne'a z uśmiechem i wyciągniętą dłonią.

– Dobrze cię widzieć, Wayne.

Wygląda na rozgorączkowanego, pomyślał w pierwszej chwili Wayne. A kiedy Bryce uścisnął mu dłoń, poczuł, jak przebiega przez nią elektryzujące napięcie, i dostrzegł to rozgorączkowanie także głęboko w jego oczach. I w dodatku stracił na wadze, zauważył.

To było ich pierwsze spotkanie od dnia, w którym wpadli na siebie w bibliotece, dnia, kiedy to Bryce podsunął mu pomysł intrygi z podmianą książek. Wayne dziwnie się czuł, gdy o tym myślał, gdy docierało do niego, jak wiele się przez ten czas wydarzyło. Kilka razy rozmawiał z Bryce'em przez telefon, poszedł dzięki niemu na premierę sztuki, podpisał umowę, zrobił... to, czego od niego wymagano, a teraz przeczytał nową wersję Dubletu domina – nie przejmował się zmianą tytułu, więc mniejsza o to – jednak przez cały ten czas ani razu nie znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. Przez miesiąc, nieco ponad miesiąc.

– Panie Proctorr – odezwała się recepcjonistka. – Pan Katz prosi o jeszcze dziesięć minut.

– Dobrze, niech będzie – odparł Bryce. I zwrócił się do Wayne'a: – Chodź, siadaj.

Usiedli na kanapach naprzeciwko siebie.

– Świetnie – zaczął Wayne. – Chciałem o czymś jeszcze porozmawiać, więc mamy teraz chwilę.

Dlaczego Bryce wyglądał na zmartwionego? – Jasne – odparł Wayne'owi krótko. – O co chodzi?

– Cóż, o pieniądze.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Czego innego się spodziewał? – Ach, pewnie. Spotkam się z księgowym, gdy tylko Joe przepchnie sprawę, czyli po tym, jak wprowadzę zmiany, które dziś omówimy.

– Czyli za tydzień albo dwa.

– W najgorszym wypadku – odparł Bryce. – Wiesz co, to już nawet nie jest czek, tylko przelew elektroniczny prosto na konto mojego księgowego. Facet przekazuje prowizję agentowi, spłaca rachunki, co miesiąc przelewa pieniądze na konto osobiste i przy okazji zajmuje się wszystkim innym. Może przelać twoją część na konto twojego księgowego czy jak tam wolisz. Sam rozumiesz, że to trochę zbyt duża kwota, by tak po prostu przelać ją na twoje konto osobiste – dodał z niepewnym uśmiechem.

– Och, zdaję sobie z tego sprawę – zapewnił go Wayne. – Ale myślałem o czymś innym. Nie czuję się zbyt związany z moim księgowym, w ciągu ostatnich ośmiu czy dziewięciu lat zmieniałem ich trzykrotnie. Chyba nie jestem dla nich dość łakomym kąskiem. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym przejść pod skrzydła twojego księgowego. Przedstawiłbyś mnie facetowi i moglibyśmy ograniczyć całą sprawę do jednej firmy. Im mniej ludzi wie, tym lepiej.

– Tak byłoby idealnie – przyznał Bryce. – Mój księgowy to Mark Steiner, zadzwonię do niego po południu, nakreślę mu sytuację i przekażę, że się odezwiesz. – Wyciągnął długopis, wydarł kawałek strony z magazynu i zapisał „Mark Steiner”, a obok numer. – Wstrzymaj się do jutra, żebyśmy zdążyli z nim pogadać.

– Dzięki. – Wayne schował świstek do kieszeni.

Bryce zerkał na niego z boku przenikliwie, odrobinę zaniepokojony. – No i? – odezwał się w końcu. – Jak ci się podobało?

– Och, książka? – Wayne niespodziewanie poczuł się niezręcznie. Jak zareagować na takie pytanie, gdy zadaje je ktoś, kto pożarł twoją książkę i wydalil jako własną? – Spodobało mi się wiele zmian. Nowe otwarcie jest absolutnie bezkonkurencyjne.

– Dzięki. Naprawdę sędzę, że ta scena z Henrym i Eleanor to jedyny fragment, w którym pokpiłem sprawę.

– Och, na pewno – zapewnił go Wayne. – Reszta jest w porządku...

– Panie Proctorr, czy panowie mogą już wejść?

– Jasne, że mogą. – Bryce zerwał się na równe nogi i zaczekał na Wayne'a.

Ruszyli korytarzem, który byłby szeroki, gdyby nie biurka sekretarek ustawione prostopadle do ściany po lewej przy wejściach do poszczególnych pomieszczeń i regały pełne książek po prawej; pośrodku brakowało miejsca dla dwóch osób idących ramię w ramię. Wayne podążał za Bryce'em aż do końca korytarza, gdzie zastali przyknięte drzwi, przez które widać było okno z widokiem na niebo.

Biuro należało do Joego Katza, starszego redaktora. Dwa duże okna wychodziły na północ i na wschód, z zabudowaniami i Madison Square Park na wschodzie oraz dachami zabudowań i odrobiną nieba na północy. Pomijając potężne biurko z ciemnego drewna i cztery duże, miękkie fotele – żadnych kanap – wystrój pomieszczenia przypominał raczej zagracony strych. Rower treningowy, flipper, waga z gabinetu lekarskiego, tarcza do rzutek, szpinet, telewizor z zestawem wideo – wszystko to poupychane pod ścianami.

Joe Katz wyszedł uśmiechnięty zza biurka, by się przywitać. Był niskim, szczupłym mężczyzną, choć tylko od głowy do początku brzucha i od pasa w dół, jakby połknął żarówkę. Ponad twarzą z orlim nosem, o rysach zapożyczonych głównie od Lwa Trockiego, wyrastał gąszcz szpakowatych, splątanych włosów. Nosił też kwadratowe okulary o ciemnych oprawkach, zsunięte częściowo na nos, w związku z czym częściej patrzył ponad nimi niż przez nie. Wyciągnął rękę do powitania.

– Joe Katz – odezwał się pierwszy Bryce. – Pozwól, że przedstawię ci trupa z mojej szafy.

– Wiedziałem, że jakiegoś tam ukrywasz – zaśmiał się Katz i potrząsnął dłonią Wayne'a. Miał mocny, bezpośredni uścisk. – Każdy jakiegoś ukrywa. – Zerknął na Wayne'a sponad okularów. – Ale pan niech mi już swojego nie przedstawia.

– Obiecuję, że tego nie zrobię – odparł Wayne.

Katz puścił jego dłoń, by poklepać Bryce'a po ramieniu. Musiał wyciągnąć wysoko rękę, a Wayne'owi ten gest skojarzył się z klepaniem ulubionego konia.

– Proszę, siadajcie – powiedział Katz. – Opowiadaj, co ustaliłeś ze swoim alterego. Albo najpierw... Zaraz, zaraz, usiądźcie.

Wszyscy trzej obrócili fotele tak, by stworzyć trójkąt, Katz nie wrócił już do biurka. Pochyliwszy się, ze złączonymi dłońmi, łokciami na kolanach i małymi stopami ledwie sięgającymi dywanu, zwrócił się do Wayne'a:

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek wcześniej czytał pańską książkę. Wygląda na to, że zaniedbywałem swoje obowiązki.

– Nie pan jeden – zapewnił go Wayne.

– Poszperałem jednak trochę na pana temat i znalazłem Z obu stron nawiasu.

Czwarta książka wydana pod jego własnym nazwiskiem, pomyślał, i początek równi pochyłej. Pierwszy poślizg. – I jak? – zapytał.

– Świetna rzecz – odparł krótko Katz.

Wayne był zachwycony tymi słowami. – Tak pan sądzi?

– Nie miałem najmniejszego pojęcia, że Louie to wtyczka! Zwykle dostrzegam takie rzeczy. To znaczy, mój Boże, przecież jestem redaktorem, powinienem był to dostrzec, ale naprawdę niczego się nie spodziewałem! A w dodatku wszystko pokazał pan uczciwie, bez oszukiwania. Jak się sprzedawała ta książka?

– Średnio – odparł Wayne. Cóż więcej miał powiedzieć?

Katz pokręcił z niesmakiem głową. – Pewnie przez gówniany marketing – stwierdził. – Proszę się za to nie winić.

– Nie winię.

Katz odchylił się na fotelu i jego stopy już nie dotykały podłogi. – Przejdźmy jednak do dzisiejszej katastrofy. Bryce twierdzi, że nigdy pan nie chciał, żeby Henry wyszedł z restauracji.

– Nie bez Ja... Eleanor.

– I pod pewnymi względami ma pan rację – ciągnął Katz. – Gdyby Henry nie opuścił restauracji sam, nie zauważyłbym problemu. Ale teraz widzę, że możemy pogrzebać w tej części, ulepszyć ją, nadać fabule rozpędu jakimś małym wstrząsem, jeżeli zdołamy pogodzić Henry'ego i Eleanor bez niepotrzebnych nerwów.

– Henry mógłby zadzwonić do niej następnego dnia, przeprosić, ubłagać – zaproponował niepewnie Bryce.

– Za późno – powiedział Wayne. – Następnego dnia ona będzie twarda i zimna jak skała, nawet nie odbierze.

Katz kiwnął głową. – Obawiam się, że ma pan rację – przyznał, drapiąc się po podbródku. – Kiedyś nosiłem brodę – wyjaśnił. – Zgoliłem ją w zeszłym roku, a mimo to wciąż ją czuję. Po cholere w takim razie golić?

– Spróbuj znów zapuścić – podpowiedział mu Bryce.

– Wtedy musiałbym ją też oglądać. Wystarczy, że ją czuję.

– Ale przynajmniej nie musi jej pan wtedy przycinać – zauważył Wayne, czując, że dryfują w stronę rozmowy rodem z Alicji w krainie czarów.

– Właśnie tak – powiedział Katz. – Trzeba szukać zalet w każdej sytuacji. Co w takim razie zamierzamy zrobić z naszym niespodziewanie impulsywnym Henrym?

- Myślałem o tym, kiedy tutaj siedłem - zaczął Wayne, ponieważ faktycznie była to jedna z rzeczy, o których myślał.

- Kiedy pan siedł? Skąd? - zapytał Katz.

- Z West Village.

- A dokładnie?

- Mieszkamy na Perry Street, między Bleecker a Czwartą.

- Mój Boże - jęknął zaskoczony Katz. - Mieszkam tuż za rogiem, na Czwartej. - Odwrócił się do Bryce'a: - Dwoje ludzi mieszka w tej samej okolicy przez sto lat, chodzą tamtędy każdego dnia i nigdy na siebie nie wpadają. To się właśnie nazywa Nowy Jork. - I z powrotem do Wayne'a: - Więc co pan pomyślał podczas tego spaceru?

- Pomyślałem, że Henry dociera tylko do samochodu - wytłumaczył Wayne. - W wersji Bryce'a Henry zostawia samochód dla Eleanor i łapie taksówkę, natomiast ona siedzi w restauracji, gdzie rozmyśla na temat ich związku, aż w końcu postanawia odjechać. Możemy zostawić te przemyślenia, to jest akurat dobry fragment, ale wydaje mi się, że Henry powinien dotrzeć tylko do samochodu i wsiąść na miejsce pasażera.

- Całkiem nieźle... - przyznał Katz.

- Od razu mamy w tym przeprosiny - mówił dalej Wayne. - Eleanor płaci i wychodzi wściekła z restauracji, a on jest uległy. W samochodzie na miejscu pasażera, gotowy oddać inicjatywę.

- A ona wsiada do tego samochodu - dumiał Katz. - Eleanor nie zamierza ordynarnie machać na taksówkę, więc wsiada do samochodu.

- O tak - zgodził się Wayne. - Wsiada do samochodu.

- I co mówi Henry?

- Nic - odpowiedział.

- Nie powinien jej przeprosić? - wtrącił się Bryce.

- Henry nie zrobi niczego bez jej zgody - powiedział Wayne.

- To by się zgadzało - uznał Katz. - I co dalej?

- Eleanor wkłada kluczyk do stacyjki - opowiadał Wayne - ale nie odpala silnika. Spogląda na Henry'ego, na jego profil, bo on patrzy przez szybę prosto przed siebie i czeka. Eleanor mówi: „I co, teraz ci lepiej?“, a on odpowiada: „Nie“. Ona mówi: „Dobrze“, po czym przekręca kluczyk i wracają do domu.

- Ale nie musimy tam za nimi jechać - odezwał się Bryce.

- To prawda - przytaknął Katz. - Odjeżdżają, a gdy ich następnym razem spotykamy, znów są razem i wszystko wiemy, wszystko rozumiemy. No, Wayne - bezceremonialnie przeszedł na ty - jesteś bardzo produktywnym pomocnikiem!

- Dzięki.

- Dobrze. - Katz odbił się od fotela, by jego stopy dotknęły podłogi.

- Pozostaje nam kilka drobiazgów do wygładzenia. Bryce? Wspominałeś o nich Wayne'owi?

- Nie widziałem potrzeby, by się nad nimi pochylać - przyznał Bryce.

- Pomyślałem, że lepiej skupić się na Henrym i Eleanor. - Uśmiechnął się szeroko do Wayne'a. - Wiem, że nie podobała ci się moja wersja, i muszę powiedzieć, że zaproponowałeś idealne rozwiązanie.

- Miło to słyszeć - powiedział Wayne. - Czyli wychodzi na to, że obaj mieliśmy rację - potrzebna była odrobina dramatyzmu, ale Henry musiał się ukorzyć.

Katz podszedł do biurka i po chwili wrócił z podkładką, do której przypiął kilka kartek maszynopisu. Padł z powrotem w fotel, stopy uniosły się nad podłogę. - Zaczynamy - powiedział.

Przez następne pół godziny Wayne nie miał wiele do roboty. Z jednej strony omawiali jego powieść, a z drugiej zupełnie mu obcą. W większości przypadków albo nie oczekiwali od niego pomocy, albo co najwyżej kilku wymuszonych rad. Czuł się dziwnie w tej sytuacji, więc w końcu wstał i

spędził resztę czasu, studiując artefakty zgromadzone w biurze przez Katza.

W którymś momencie Katz zawołał do niego: – Spróbuj rzutek, jeśli masz ochotę.

– Fatalnie gram w rzutki – odpowiedział Wayne.

– Spójrz lepiej na te dziury w ścianie. Na pewno nie będziesz pierwszym patałachem, który do nas zawitał. Sam zresztą nie jestem w tym zbyt dobry.

Tak więc Wayne wyciągnął rzutki z tarczy i zanim Bryce skończył omawiać z Katzem pozostałe zmiany, wzbogacił ścianę o kilka dodatkowych otworów. W końcu Bryce wstał, a Katz zaraz za nim, znów odbijając się od fotela.

– Dwadzieścia po dwunastej. Co powiecie na lunch? – zaproponował.

– Nie da rady, Joe – odpowiedział Bryce. – Mam się spotkać z Isabelle, przenosimy jej rzeczy do mojego mieszkania.

– Boże, Bryce, jak wspaniale widzieć, że wreszcie ci się układa. Dobra kobieta, dobry przyjaciel – przy tych słowach Katz skinął w stronę Wayne'a – no i w końcu dobra książka. A co ty powiesz na lunch, Wayne?

– Dłaczego nie.

Mimo że Bryce zachował twarz pokerzysty, Wayne wiedział, że nie przypadła mu do gustu wizja tego lunchu. On sam był zachwycony.

Podczas lunchu Wayne zdradził Joemu Katzowi swój sekret. Siedzieli w Union Square Cafe, jednym z modnych lokali, które wyrastały w okolicy jak grzyby po deszczu, odkąd wydawnictwa zaczęły przenosić tu swoje biura. Od czasu do czasu musieli przerywać rozmowę, kiedy Katz odpowiadał na pozdrowienia przechodzących obok osób, ale mimo to, w tym zatłoczonym miejscu, Wayne po raz drugi zdradził komuś swój sekret. Pierwszy był Bryce.

Z początku Katz miał problemy ze zrozumieniem. – Zaraz, chwila, to ty jesteś Timem Fleetem?

– Tak.

– Przecież czytałem kilka twoich książek, naprawdę niezłe. Ale na czym polega ta cała tajemnica? To tylko pseudonim artystyczny.

– Ale wydawca o nim nie wie – wyjaśnił Wayne. – Ani mój redaktor.

– Nie wiedzą, że to ty.

– Nie wiedzą, że to pseudonim.

Katz potrząsał głową. – Nie nadażam – przyznał. – Wyjaśnij mi to jak kompletnemu ignorantowi.

– Autor wydaje dobre książki, ale sprzedaż stopniowo spada. Komputery wielkich sieci obracają się przeciwko niemu, zamówienia są coraz mniejsze, sprzedaż jeszcze gorsza, aż w końcu nikt nie chce mu zaproponować sensownej zaliczki, nikt nie chce go kupić. A więc tworzy fałszywą tożsamość, o czym wie tylko jego agent, udaje, że mieszka we Włoszech czy gdziekolwiek indziej i oddaje kolejną książkę jako Tim Fleet. Komputer nie zna Tima Fleeta, więc nie może rzucić na niego uroku. Tylko że po jakimś czasie Tim Fleet także się w nim pojawia. I historia zatacza koło.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój wydawca nie ma pojęcia, kim jesteś?

– Nigdy się ze mną tam nie spotkali – odparł Wayne. – I z tego, co wiem, nigdy o mnie nie słyszeli.

– Niesamowita sprawa – stwierdził Katz.

– Joe – powiedział Wayne – to się dzieje w całym mieście. To jest jak czarna lista, pisarze kryją się za maskami, jedyna różnica polega na tym, że nie tropią ich łowcy komunistów, lecz komputery. To, co z początku wydawało się tragedią, teraz jest już tylko farsą.

– To się nie może dziać w całym mieście – protestował Katz. – Ilu ludzi byłoby stać na coś takiego?

– Joe, współpracujesz z autorami, których nigdy nie miałeś okazji spotkać? Mieszkają w jakimś niedostępnym miejscu, komunikujecie się

poprzez e-maile, wszystko przechodzi przez agenta, nawet nie dysponujesz adresem, pod którym mógłbyś ich znaleźć?

– Cóż, może z dwoma czy trzema – odparł Katz. – Ale przecież nie wszyscy mogą żyć w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku żyje więcej ludzi, niż ci się wydaje.

– Przez ciebie zaczynam mieć wątpliwości... Ale po co przez to przechodzić? Po co okłamywać wydawcę? Nie lepszy byłby zwyczajny pseudonim?

– Chodzi o pracowników działu sprzedaży – wytłumaczył Wayne. – O ludzi od wizerunku i reklamy, o wszystkie te osoby, które stoją za twoim sukcesem. Jeśli wiedzą, że Tim Fleet to nie kto inny, jak Wayne Prentice, wywęszą smród porażki, nawet jeśli ten pseudonim ma pozostać w tajemnicy. Jeśli jednak myślą, że Tim Fleet to po prostu Tim Fleet, jeśli naprawdę myślą, że to całkiem nowy autor, który jeszcze nie poniósł porażki, bo dotychczas nikt nie miał okazji go sprawdzić, wtedy zaczynają się ekscytować. A kiedy są podekscytowani, potrafią zdziałać cuda.

Katz kiwnął głową. – Co do tego masz rację – przyznał. – Powiem ci zupełnie szczerze, że jeśli na mojej liście figuruje jakaś dziewczyna po renowacji, to wolałbym tego nie wiedzieć. Zaczynam żałować, że mi to wszystko powiedziałaś.

– Prawdopodobnie to się nie dzieje aż tak często, jak mnie się wydaje – uspokoił go Wayne. – Po prostu ją mam tego świadomość, bo sam to robiłem, sam rozumiesz.

– A co dalej z Timem Fleetem?

– Już nie żyje – odparł Wayne.

Katz rozdziawił usta. – Poważnie...? Ale przecież on... to znaczy ty, przecież ty jesteś świetnym pisarzem, bez znaczenia, jak się nazywasz.

– Tylko że sprzedaż taka świetna nie jest.

– Masz nową książkę?

Wayne'owi prawie się wyrwało, że owszem, ma i że Joe już ją czytał. Zamiast tego powiedział jednak: – Część. Ale mój wydawca jej nie chce.

– Nie mogę niczego obiecać, Wayne – zaczął Katz – ale po południu, kiedy wrócę do biura, przeanalizuję kilka liczb, porozmawiam z ludźmi ze sprzedaży i sprawdzę, czy coś się da zrobić.

– Byłoby wspaniale.

– Ale żadnych obietnic. Musisz zrozumieć, że ja też nie wygram z komputerem.

– Pytanie tylko, czemu postanowiliśmy tak zrezygnować z niezależności? – rzucił Wayne.

– Przykro mi to mówić, ale chyba za późno na takie pytanie.

W drodze do domu Wayne miał wrażenie, że płynie ponad chodnikiem. Cóż za wspaniały gość z tego Joego Katza! I jak komplementował jego twórczość... Jeśli naprawdę istniał sposób, by ominąć liczby z komputera, Joe zostałby jego nowym redaktorem, Wayne był tego pewien. Nie mógł się doczekać, kiedy Susan wróci do domu, by opowiedzieć jej o tym fantastycznym dniu. Dioda automatycznej sekretarki mrugała. Wcisnął guzik odsłuchu. – Tu detektyw Arthur Johnson z wydziału zabójstw. Chciałbym się skontaktować z Wayne'em Prentice'em... – Zostawił numer telefonu i obiecał, że zadzwoni ponownie.

15

Isabelle zmieniła zdanie. Kiedy Bryce dotarł do jej mieszkania, mieszczącego się na trzecim piętrze budynku z windą – mieszkania z jedną tylko sypialnią, bez ładnego widoku, umeblowanego minimalnie i udekorowanego plakatami turystycznymi – siedziała na kanapie, popijając kawę. Niczego jeszcze nie spakowała.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– A nie powinnaś przypadkiem wrócić do pracy? – zapytał.

– Pewnie tak. Ale najpierw musimy porozmawiać.  
Bryce rozejrzał się po pokoju. – Niczego też nie spakowałaś.  
– Bo to się nie uda – odparła Isabelle.  
– Co się nie uda?  
– Ty i ja. Zrozumiałam to, kiedy zaczęłam poważnie myśleć o przeprowadzce. Nie układa się nam tak, jak powinno.  
Usiadł obok niej na kanapie. Patrzyła bardziej na filiżankę kawy niż na niego, a on zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć.  
Miała rację, od jakiegoś czasu oddalali się od siebie, choć nie rozumiał, dlaczego. Isabelle traktowała go z rezerwą, w sposób, który wcześniej był jej obcy.  
– Chodzi o to, że mówiłem o tej przeprowadzce do Hiszpanii? – zapytał.  
Uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową, nadal nie patrząc w jego stronę. – To nic, naprawdę. Tutaj chodzi o mnie i o ciebie, o wszystko. – Wreszcie przeniosła na niego wzrok, a on dostrzegł, że jest nie tylko smutna, ale również zdystansowana. – Przestało nam się układać, kiedy zginęła Lucie. Zdaję sobie sprawę, że efekt powinien być odwrotny, ale nie był. Nasz... cokolwiek, co nas łączyło, najwyraźniej potrzebowało Lucie, by funkcjonować.  
W jednej chwili pojął, że choć wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, Isabelle ma rację, że skutecznie ignorował pojawiające się przesłanki i nie potrafił dostrzec prawdy. – Isabelle, nie możemy pozwolić, by Lucie stanęła między nami właśnie teraz.  
– Ale ona już między nami stoi. Śniesz o niej, gdy śpimy w jednym łóżku.  
– Śnię? Niemożliwe.  
– Jęczysz i mamroczesz, chociaż niezrozumiałe słowa – powiedziała Isabelle. – I rzucasz się, jakbyś kogoś bił.  
– Ja? – Aż do tej chwili nie miał o tym pojęcia. To prawda, czuł się ostatnio bardziej zmęczony, mniej przytomny, gdy się rano budził, ale nie pamiętał żadnych koszmarów. Wiedział, że jakieś ma, ale nigdy nie pamiętał ich treści. – Skąd możesz wiedzieć, że śnię o Lucie? Przecież nic nie mówię.  
– A kogo innego byś bił?  
– Bił? – Bryce rozsiadł się na samym krańcu kanapy, z dala od Isabelle. – Isabelle, przecież wiesz, gdzie byłem, kiedy zamordowano Lucie.  
– Ten detektyw Johnson sądzi, że wyjechaliśmy celowo.  
– Johnson? Rozmawiał z tobą? Kiedy?  
– We wtorek. Przedwczoraj.  
– Myślałem, że już to zamknął, że wszystko jest skończone.  
– Bryce, wydaje mi się, że to dopiero początek.  
– Ale dlaczego? Przecież wiesz, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Lucie!  
– A skąd mam to wiedzieć? – odparła Isabelle. – Nikt tego nie wie, bo nikt nie wie, co się tak naprawdę stało. W końcu się jednak dowiedzą, policja odkryje prawdę i może wtedy wszystko wróci do normy. Ale teraz... Bryce, przerażasz mnie, przerażasz tymi snami, rzucaniem się, biciem kogoś pod kołdrą, mamrotaniem, wyrazem twarzy. A kiedy się budzisz, jesteś przygnębiony, nie ma w tobie radości. Odkąd wróciliśmy z Kalifornii.  
– Właśnie dlatego chciałbym na jakiś czas wyjechać – wytłumaczył. – W jakiś ciepły klimat. Niekoniecznie do Hiszpanii.  
– Nie mogę z tobą wyjechać – powiedziała Isabelle. – Nie mogę z tobą żyć. Wybacz, Bryce, dręczyło mnie to cały tydzień. Kiedy myślę o przeprowadzce do twojego mieszkania, czuję, jakbym miała się przenieść do grobu.



– Boże, Isabelle, nie mów takich rzeczy.

– Ale tak się właśnie czuję. – Wreszcie odstawiła kawę i obiema rękami chwyciła jego dłoń. – Na jakiś czas musimy się rozstać – stwierdziła. – Musisz sobie najpierw z tym poradzić, nie mam pojęcia, czy sam w ogóle wiesz, z czym, ale musisz sobie z tym poradzić, a ja nie mogę tu być. Później, kiedy poczujesz się lepiej i kiedy detektyw Johnson wyjaśni tę sprawę, moglibyśmy do siebie wrócić. Chciałabym. Było nam razem dobrze. Te weekendy... – Odplynęła, patrząc gdzieś w bok, ale wciąż trzymając jego dłoń.

Bryce nigdy nie powiedział Isabelle, że ją kocha, ponieważ nie był tego pewien i bał się konsekwencji, które pociągnęłyby za sobą to słowo. Teraz prawie mu się wyrwało, ale zdażył ugryźć się w język, bo wiedział, że nie mówiłby tego szczerze, że chodziłoby jedynie o strategię zatrzymania jej przy sobie. Isabelle by go przejrzała i oddaliła się jeszcze bardziej.

– Isabelle, sama myśl, że nie mógłbym cię widywać... – zaczął zamiast tego.

– Tylko przez jakiś czas. – Znow na niego spojrzała i ścisnęła mocno jego dłoń. – Mam nadzieję, że tylko przez jakiś czas.

Bryce rozejrzał się po ciasnym pokoju pozbawionym charakteru. Tutaj wolała zostać. – Mielibyśmy iść na lunch – powiedział.

– Przepraszam, Bryce, ale nie jestem głodna.

Uśmiechnął się niemrawo i pokiwał głową. – Ja chyba też nie. Założę się, że po raz pierwszy w życiu nie mam ochoty na lunch. – Popatrzył na nią. – Będę za tobą tęsknić.

– Ja już za tobą tęsknię – odparła. – Za dawnym tobą.

Nagle zniecierpliwiony, czując, że wzbiera w nim gniew i nie chcąc tego, nie chcąc, by Isabelle ujrzała ten gniew, wyrwał swoją dłoń spomiędzy jej i szybko wstał. – Ja też tęsknię za dawnym sobą – powiedział. – Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym powrotu Lucie, ale czegoś na pewno mi brakuje. Czy mogę od czasu do czasu zadzwonić?

– Mam nadzieję, że będziesz to robić.

Kiwnął głową. – Może za jakiś czas umówimy się na randkę. Kolacja i kino.

– I buziak na dobranoc.

Zaśmiał się. – Na początek co najwyżej uściśnięcie dłoni.

Isabelle wstała. – Chciałabym, żebyś mnie teraz pocałował – powiedziała.

Pocałował ją, tuląc zbyt mocno, wiedząc, że zmusza ją do walki o oddech. Zmusił się, by ją puścić. Dostrzegł w jej oczach strach, ale wciąż się uśmiechała, gdy mówiła:

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Wyszedł, zdając sobie sprawę, że pod koniec chciał ją uderzyć. Tak jak ktoś uderzył Lucie.

Wpół do czwartej. Bryce usiadł przed komputerem, próbując wymyślić nową historię. Dwie twarze w lustrze były już niemal gotowe, jedyne, co zostało do zrobienia, to dopisanie scenki z Henrym i Eleanor plus kilka drobiazgów. Pół dnia pracy, planował dokończyć to w Connecticut podczas weekendu. Samotnego weekendu w Connecticut, ale samotność w mieście wydawała się jeszcze gorsza. Kiedy spędzał weekend w Connecticut, zaglądali do niego znajomi, czasami dostawał zaproszenia na sobotnią kolację. W tym tygodniu cisza, ale wciąż ktoś mógł jeszcze zadzwonić. W mieście nie zadzwoniłby nikt.

W międzyczasie powinien się zastanowić nad nową książką. Minęło przeszło półtora roku, odkąd cokolwiek napisał – przepisywania Wayne'a nie brał pod uwagę – i czuł, że jego pióro zdażyło przez ten czas zaśnieść. Musiał je na powrót rozpisać.

Zwykle zaczynał książkę od nagłego wciągnięcia bohatera w akcję. Czasami istotne było także tło, ale główny problem polegał na stworzeniu protagonisty, kogoś, za kim mógłby podążać przez sześćset stron, a

następnie wprawieniu tej postaci w ruch. Siedząc teraz przed komputerem, próbował zrobić właśnie to – odnaleźć bohatera, początek, punkt wyjścia. Lekarz? Musiałby spędzić mnóstwo czasu na grzebaniu w książkach, ale to akurat nie problem, już kiedyś pisał o lekarzu.

Lekarz, który odkrywa chorobę tam, gdzie nie powinno jej być, coś, co występuje tylko w okolicy koła podbiegunowego, a jego pacjent nigdy nie wyjeżdżał dalej na północ niż do Tarrytown i...

Nie, nie lekarz.

Nie wiedział, że śnił o Lucie, ale Isabelle musiała co do tego mieć rację. Bił Lucie we śnie. A rano po koszmarach nie zostawał ślad – w każdym razie żaden prócz zmęczenia, ociążałości i żalu.

Życie powinno być lepsze bez Lucie, przecież właśnie o to chodziło. I właściwie było lepsze: skończyły się trudności finansowe, skończyła wieczna irytacja, problem z terminem oddania książki wreszcie znalazł rozwiązanie. To on sam dodawał dziegciu do beczki miodu, to on stanowił powód pogorszenia. Sam sobie wyrządzał krzywdę.

Pośrednik w handlu nieruchomościami odnajduje pieniądze ze sprzedaży narkotyków w piwnicy domu, który próbuje sprzedać, a dealerzy chcą je odzyskać. Nie, starsze pieniądze. Kasa za alkohol z czasów prohibicji, której poszukuje prywatny detektyw, trzecie pokolenie po ojcu i dziadku. Związek między wczoraj i dziś. Żaden z bohaterów nie ma prawa do tych pieniędzy, więc obaj mają takie samo. Tylko że detektyw jest twardy i bezlitosny, a facet od nieruchomości to zwykły sza-raczek, który broni się przed połknięciem przez grube ryby.

Może pośrednikiem powinna być kobieta? Nie, Bryce wątpił, by kiedykolwiek udało mu się napisać dobrą scenę z punktu widzenia kobiety, a w każdym razie nie więcej niż kilka stron. Pomieszałyby zbyt wiele rzeczy. Wolał nawet nie myśleć o scenach seksu.

Nie kochał się z Isabelle przez niespełna dwa tygodnie. Aż do tej chwili nawet nie zwrócił na to uwagi. Posucha w Connecticut w zeszły weekend, posucha w Nowym Jorku od tamtego momentu i posucha w poprzednim tygodniu. Ostatni raz w Connecticut dwa tygodnie temu. Z jej inicjatywy. A on niczego nie zauważył.

Te postacie nie były ludźmi z krwi i kości, były jak z papieru. Próbował tchnąć w nie życie, lecz bezskutecznie.

Może powinien wsiąść dziś w pociąg do Connecticut, nie czekać do jutra, sprawdzić, czy zmiana otoczenia...

Zadzwoił telefon. Isabelle – pomyślał, choć wiedział, że to nie ona. Odebrał i usłyszał Wayne'a.

– Och, cześć – powiedział.

Dziwnie się dziś czuł razem z Wayne'em w biurze Joego, jakby był zazdrosny, jakby nie chciał, żeby tych dwóch potrafiło się dogadać. Irytowało go, że mieszkali w tej samej okolicy, choć sam nie rozumiał dlaczego.

– Właśnie wróciłem do domu i... – zaczął Wayne.

– Zauważyłem, że świetnie ci się pracuje z Joem – wtrącił się Bryce.

– ...i detektyw Johnson zostawił wiadomość na mojej sekretarce!

Och. A więc Isabelle miała rację, Johnson jeszcze nie skończył.

Bryce usłyszał panikę w głosie Wayne'a, a ostatnie, co powinien teraz robić Wayne, to panikować. Starając się brzmieć spokojnie, niemal beztrosko, powiedział:

– Isabelle coś mi wspominała, że Johnson węszy, z nią rozmawiał we wtorek.

– Ale czego on może chcieć ode mnie? I skąd w ogóle o mnie wie?

– Cóż, strzelam, że rozmawiał z Janet czy jak jej tam na imię, z reżyserką tej sztuki...

– Higgins.

– ...i z Jackiem Wagnerem – ciągnął Bryce – a Jack mógł wspominać, że przedstawił cię Lucie podczas premiery, więc Johnson będzie cię chciał zapytać, o czym rozmawialiście i czyją kiedykolwiek później widziałeś. A oczywiście nie widziałeś.

– Nie widziałem.

– Oddzwoniłeś już do niego?

– Jeszcze nie, najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

– To nic wielkiego, Wayne – uspokoił go Bryce. – Facet bada każdy trop, to wszystko, na tym polega jego praca. Nie dasz mu żadnego powodu, by musiał się z tobą spotkać po raz drugi, więc nigdy więcej się z tobą nie spotka.

– Pewnie masz rację.

– Oddzwonź do niego, Wayne. Jeśli nie oddzwonisz, na pewno będzie chciał się z tobą spotkać więcej niż raz.

– Dobra. Zaraz do niego zadzwonię.

Rozłączyli się, a Bryce został przed komputerem, chociaż już nie myślał o postaciach z nowej książki, myślał o Wayne.

Wayne zrobił to, co Bryce kazał mu zrobić, i na tym miał poprzestać, tylko że wcale nie przestawał. Wciąż działał, a Bryce'owi nie podobał się kierunek tych działań. Najpierw przypodchlebiał się Joemu Katzowi, a teraz panikował, bo chciał z nim zamienić kilka słów jakiś gliniarz. Gliniarze rozmawiali z Bryce'em w Los Angeles i tutaj, i bez problemu dał sobie z nimi radę, bez najmniejszego problemu. Dlaczego Wayne nie może tego załatwić tak samo? Johnson po prostu sprawdza tropy. Tylko że Johnson był dobrym detektywem, co do tego Bryce nie miał wątpliwości. Czy przy Wayne potrafiłby coś wywęszyć, dostrzec, wyczuć? Czy przypadkiem dobrzy detektywi nie rodzili się z tym szóstym zmysłem, umiejętnością dostrzegania, że coś jest nie w porządku, nie wiedząc jeszcze, co?

Wayne miał nad Bryce'em władzę, której aż do tej chwili Bryce nie doceniał. Kiedy przystali na warunki umowy tamtego dnia, gdy spotkali się w bibliotece, obaj złożyli własny los w swoje ręce, stali się całkowicie zależni od rzetelności i niezawodności drugiej strony. Bryce był rzetelny i niezawodny, przecież już zdążył to udowodnić.

Czy Wayne będzie dla mnie ciężarem? – zadał sobie pytanie. A jeśli tak, to co z tym zrobię?

16

Wayne umówił się z detektywem Johnsonem na jedenastą następnego dnia. Zwykle nie faszzerował się lekami, ale tego ranka, gdy Susan wyszła do pracy, wziął pół Valium. Lek należał do niej – korzystała z niego sporadycznie, kiedy jej praca stawała się zbyt stresująca. Wayne nie brał go prawie nigdy i miał obawy, że będzie otępiały, gdy zjawi się Johnson, chociaż z drugiej strony wolał otępienie niż nadmierne podniecenie na haju.

Nie wspominał Susan o detektywie Johnsonie, bo i po co? Przez cały dzień musiałyby się zamartwiać, zupełnie bez powodu. Powie jej, kiedy to wszystko się skończy. Ze śmiechem pełnym ulgi, miał nadzieję.

Johnson przybył dokładnie o czasie, a kiedy wszedł do środka, nie wydawał się ani odrobinę groźny. Afroamerykanin o umiarkowanie ciemnej skórze, wysoki, lecz nie krępy i o stonowanych manierach, bardziej przypominał pracownika banku czy biura niż detektywa wydziału zabójstw.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać – powiedział, zupełnie jakby Wayne miał w tej kwestii jakiś wybór.

– Chętnie pomogę – zapewnił go Wayne. – Kawy?

Johnson uśmiechnął się. – Lepiej nie. Zdarza mi się pić kawę przez cały dzień, żeby ludzie mogli się przy mnie czuć rozluźnieni, a pod koniec dnia to ja mam napady lękowe.

Wayne wyszczerzył się od ucha do ucha. Podobał mu się ten facet. – W takim razie rozumiem, że po prostu usiadziemy – powiedział.

Przeszli do salonu, gdzie Johnson zapytał: – Pewnie pan wie, o co chodzi.

– O Lucie Proctorr.

– Wydaje mi się, że spotkał ją pan całkiem niedawno. – Nie robił notatek, wyglądało to tak, jakby wpadł na niezobowiązującą pogawędkę.

– To musiał być weekend przed jej śmiercią – odparł Wayne. – Albo w czwartek.

– Na premierze sztuki?

– Zgadza się. Przedstawił mnie jej autor. Poprosiłem go o to.

Johnson wydawał się zainteresowany. – Poprosił go pan?

– Jestem starym znajomym jej męża – wyjaśnił Wayne. – Bryce'a. Poznaliśmy się przed dwudziestoma laty albo nawet jeszcze wcześniej, tu w Nowym Jorku. Obaj chcieliśmy zarabiać na życie jako pisarze.

– Napisał pan jakieś książki – zgadywał Johnson.

– Tak, pewnie. Po wydaniu pierwszej wyjechałem na rok do Włoch prowadzić badania w związku z drugą. Straciłem wówczas kontakt z niektórymi osobami, między innymi z Bryce'em. Później on stał się sławny, a ja nie. – Wayne wzruszył ramionami. – Dziwnie byłoby odzywać się do niego po tak długim czasie.

– Ale w końcu się pan odezwał.

– Nie – zaprzeczył – to on zadzwonił do mnie. Po rozpadzie małżeństwa musiał się czuć samotny, może ich wspólni znajomi byli w większości znajomymi Lucie. Myślę, że próbował odszukać ludzi, z którymi długo się nie widział, między innymi mnie. Spotkaliśmy się parę razy, wypiliśmy kilka kaw... – Wayne urwał i zaśmiał się. – Ale niezbyt wiele, w granicach rozsądku.

– W porządku – odparł z uśmiechem Johnson. – Mógłby mi pan jednak wytłumaczyć, jak dzięki tej znajomości trafił pan na premierę sztuki?

– Bryce często mówił o Lucie – wyjaśnił Wayne. Układał tę historyjkę w myślach od wczorajszego popołudnia i wydawało mu się, że jest całkiem solidna. – Za każdym razem, gdy padało jej imię, opowiadał, jaka to zepsuta osoba. Aż zacząłem się zastanawiać – czy naprawdę ktokolwiek może być aż tak zły? W końcu powiedziałem mu, że chciałbym się z nią spotkać, żeby się samemu przekonać, a on odpowiedział: nie ma sprawy.

– Więc to on zna Jacka Wagnera, autora sztuki.

– Na pewno nie ja – stwierdził Wayne. – Poszedłem tam, nie znając absolutnie nikogo. Zazwyczaj na takich imprezach zna się przynajmniej jedną osobę, choćby przelotnie, ale nie tym razem, nie. Bryce nie chciał pójść, bo szła Lucie, która przyjaźniła się z reżyserką, więc zadzwonił do Wagnera i zapytał, czy zamiast niego nie mogliby zaprosić mnie, a Wagner się zgodził. Nie sędzę, by Bryce cokolwiek wtedy wspominał, że chcę się spotkać z Lucie, sam mu to powiedziałem podczas premiery.

– I kierowała panem ciekawość.

– No właśnie. Ciekawość, jak wygląda katastrofalne małżeństwo starego znajomego.

– Jak gapienie się z tłumu na wypadek samochodowy.

Wayne zaśmiał się. – Trafiony – powiedział. – Dokładnie o to chodziło. Już sam Tomek Sawyer stosował przekupstwo wśród kolegów, pozwalając im oglądać swój zraniony palec u nogi. Wszyscy chcą oglądać te naprawdę paskudne rzeczy.

– Tak, to prawda – przyznał Johnson.

– A w tym wypadku chodziło o Lucie Proctorr – dokończył Wayne. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, pojawiła mu się przed oczami wyraźna niczym na plakacie filmowym, w tym ostatnim momencie, gdy naprawdę wyglądała paskudnie. Oddech uwiązał mu w gardle, czas się zatrzymał i Wayne prawie zgubił wątek, ale wtedy, zdesperowany i przerażony, że

Johnson coś dostrzeże, wyczuje, odgadnie, wykorzystał nagły szok na swoją korzyść, pozwalając wypłynąć mu na twarz. Odchylił się na krześle. – Mój Boże – jęknął – co ja właśnie powiedziałem? Przecież to okropne!

– Nic się nie stało, panie Prentice – uspokoił go Johnson. – Wiem, o co panu chodziło. Chciałem jednak zapytać, co pan pomyślał o Lucie. Była tak zła, jak pan sądził?

– Nie – odparł Wayne. – Na pewno nie mogła być tak zła, jak twierdził Bryce, nikt nie może być aż tak zły, ale nie była też zbyt miła.

– Nie spodobała się panu.

– Ani trochę. Przykro mi o niej tak mówić, szczególnie teraz, gdy nie żyje, ale wydaje mi się, że była bardzo negatywną osobą, specjalistką w docinaniu. To znaczy, przecież tę sztukę wyreżyserowała jej przyjaciółka i ona przyszła tam jako gość pić ich wino, a jedyne, na co miała ochotę, to opowiadać, że ta sztuka była nic nie warta, a Janet zasługuje na więcej, że powinna reżyserować w Public Theater...

Johnson uśmiechnął się. – Zgaduję, że nie rozmawiał pan z nią zbyt długo.

– Może pięć minut. Później podziękowałem Jackowi Wagnerowi, pogratulowałem mu świetnej sztuki – nie była świetna, ale takich rzeczy się nie mówi...

– To prawda, nie mówi się.

– A następnie wróciłem do domu i opowiedziałem o wszystkim Susan. Mojej żonie.

Ten drobiazg zainteresował Johnsona. – Nie poszła razem z panem?

– Nie chciała. Nie interesowała ją była żona Bryce'a, nigdy nie miała okazji go poznać. Nie obchodziła ją też ta sztuka, a ponieważ pracuje na pełny etat, nie miała ochoty iść. Umówiła się tego wieczora na kolację z przyjaciółką i wróciła do domu przede mną.

– A czy nie wie pan, z kim Lucie mogła opuścić tamtej nocy teatr? – dociekał Johnson.

– Nie mam pojęcia, już mnie wtedy nie było. Prawdopodobnie wyszedłem jako jeden z pierwszych.

– Bo nikogo pan nie znał, a misja zakończyła się pełnym powodzeniem.

– Zgadza się.

– Rozmawiał pan później o Lucie z Bryce'em Proctorrem?

– Raczej nie. To znaczy niewiele. Powiedziałem mu, co o niej myślę, czyli to samo, co przed chwilą panu powtórzyłem – że się po części zgadzam, to znaczy nie uważam jej za zbyt miłą osobę.

Johnson kiwnął głową. – Pewnie Bryce uważał, że Lucie przez dłuższy czas źle go traktowała.

– Tak sądzę.

– Czy kiedykolwiek wspominał o zemście?

To pytanie zaskoczyło Wayne'a, bo do tej pory rozmowa przebiegała beztrudnie. – O zemście? Nie, wspominał tylko, że chciałby mieć ten rozwód za sobą, to prawnicy go przeciągali.

– A on chciał go zakończyć.

– Pewnie, że chciał.

– Czy kiedykolwiek sugerował, że może istnieć na to jakiś szybszy sposób?

– Jak na przykład morderstwo?

Johnson uśmiechnął się szeroko. – Cóż, to z pewnością jedna z możliwości – odparł. – Ale miałem na myśli coś innego. Wie pan, czasami tacy faceci, którzy śpią na forsie, po prostu pakuja manatki i wyjeżdżają z kraju, żegnając żonkę słowami: złap mnie, jeśli potrafisz.

– Nie sądzę, żeby Bryce'owi kiedykolwiek przyszło to do głowy – stwierdził Wayne. – On ma tutaj swoje życie. A poza tym wszystkie pieniądze, które zarabia, przechodzą przez Nowy Jork, więc nie wydaje mi się, żeby podróżowanie po Europie miało mu w czymkolwiek pomóc.

– Tak, to chyba prawda. – Johnson namyślał się przez minutę, po czym zapytał: – Czy Bryce Proctorr to dobry znajomy?

– Tak, w zabawny sposób. Nie widzieliśmy się przez lata, za każdym razem, gdy o nim myślałem albo widziałem jego nazwisko w prasie, czułem przede wszystkim zazdrość, ponieważ wiodło mu się znacznie lepiej niż mnie, ale teraz, kiedy znów zacząłem się z nim spotykać, polubiłem faceta. Nie zadziera nosa ani nic z tych rzeczy. Nie mogę powiedzieć, że jesteśmy ze sobą blisko, ale jakoś się dogadujemy. Tak, lubię go.

– I nie przeszkadza panu jego sukces.

– Sam go osiągnął. Niczego mi nie ukradł.

– Tak, to prawda – przyznał Johnson. – A czym pan się teraz zajmuje, panie Proctorr?

Udając zaskoczonego, Wayne odpowiedział:

– Wciąż piszę.

– Naprawdę? Powieści, tak jak wcześniej?

– Oczywiście. Przez kilka lat ukrywałem się pod pseudonimem – wytłumaczył. – Ale z nową książką myślę o powrocie do własnego nazwiska.

– Pracuje pan nad czymś w tej chwili?

– Zawsze nad czymś pracuję.

– Mówiąc szczerze, panie Prentice, sam jestem pisarzem amatorem – wyznał Johnson. – Niech się pan nie martwi, nie zamierzam panu zawracać głowy, ale tak się zastanawiałem... Czy mógłbym rzucić okiem na tę powieść, nad którą pan właśnie siedzi?

– Jasne – odparł Wayne. – Tędy.

Kiedy wyszli z salonu, Wayne zorientował się, że być może jest w tej chwili jednym z podejrzanych, nawet jeśli wyłącznie w takim sensie, w jakim wszyscy są z początku podejrzani. A jeśli detektyw Johnson dostrzegł w jego twarzy jakieś podobieństwa do portretu pamięciowego? Susan zobaczyła to podobieństwo w oczach, ale to zbyt mało, jak stwierdziła, by naprowadzić kogokolwiek na jego trop.

Ale prosić o pokazanie powstającej właśnie powieści... Niewykluczone, że Johnson chciał sprawdzić, czy Wayne potrafi utrzymać się z pisania, czy przypadkiem nie potrzebował pieniędzy, może nawet tak bardzo, by zabić nieznośną żonę starego znajomego. Z tej strony mnie pan nie podejdzie, detektywie – pomyślał.

Weszli do niewielkiego biura, którym Johnson natychmiast się zachwycił, nazywając je „kompaktowym”, jakby chodziło o synonim efektywności. Wayne poprosił go, by usiadł przed komputerem, a sam włożył do czytnika dysk z Bratnim widmem. Brakowało w nim strony tytułowej, bo wciąż nie zdecydował, jakie umieści tam nazwisko, i plik rozpoczynał się rozdziałem pierwszym.

– Proszę, proszę... – odezwał się Johnson. Przeczytał pierwszy akapit, przewinął jakiś tuzin stron, przeczytał kolejny i odchylił się na krzesło, kręcąc głową w niemym zachwycie. – Wy profesjonaliści sprawiacie, że to się wydaje takie proste. Właśnie dlatego wiem, że sam nigdy niczego nie osiągnę.

– Każdy kiedyś zaczynał – odparł Wayne. – Nikt nie rodzi się profesjonalistą.

– To miłe, że pan tak mówi. – Johnson wstał od komputera. – Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Prentice.

I to już było wszystko.

17

Bryce najwyraźniej nie potrafił sobie poradzić z czasowym nieładem. Zwykle jechał do Connecticut w piątek, spędzał tam weekend i wracał w poniedziałek. W tym tygodniu mieszkanie w Nowym Jorku stało się jednak zbyt przygnębiające i wsiadł do pociągu jeszcze w czwartek,

niedługo po rozmowie z Wayne'em, z której dowiedział się o telefonie detektywa Johnsona, a teraz, już na miejscu w piątek rano, nie mógł sobie ułożyć dnia.

Zadzwoił do kilku weekendowych znajomych, zastanawiając się, co, jeśli cokolwiek, teraz robią, na początku grudnia, jeszcze przed świąteczną gorączką, ale rzecz jasna nikogo nie zastał. Dziś jest piątek, musiał sobie nieustannie przypominać, wszyscy pracują w Nowym Jorku. Żyją w Nowym Jorku, tu przyjeżdżają tylko na weekend.

A ja? Gdzie ja pracuję? I czy w ogóle pracuję? Gdzie żyję? Gdzie mam zadzwonić, żeby znaleźć siebie?

Wciąż nie wpadł na żadną nową historię, a potrzebował jej, i to zaraz. Wymyślanie historii nigdy nie sprawiało mu problemów, zawsze miał ich pod ręką więcej niż czasu na pisanie, potrafił odrzucić jeden świetny pomysł tylko dlatego, że czuł sentyment do innego. Lecz oczywiście nie mógł wracać do tych zamierzchłych wycinków opowieści, już nie było w nich życia.

W jego przypadku pisanie przypominało ogrodnictwo: wybierał ziarno, opiekował się nim dokładnie tak, jak zalecała informacja na opakowaniu, i stopniowo taka rzecz pełna piękna – lub solidności, lub wartości odżywczych – dojrzewała i stawała się jego własna. Ziarno, którego nie karmił, nie czekało, aż zostanie podlane, lecz podupadało i w końcu ginęło.

Jedno ziarno, niczego więcej nie potrzebował. Oczywiście przez weekend musiał też wprowadzić drobne poprawki do Dwóch twarzy w lustrze, ale tym się akurat nie martwił. Bez względu na to, kiedy odda tekst, Joe Katz i tak przeczyta go najwcześniej po świętach. Premiera Dwóch twarzy w lustrze była obecnie zaplanowana na czerwiec – w kategoriach wydawniczych napięty termin, ale Bryce Proctorr słynął z literackiej płodności – a przy okazji także jakości – więc nikt nie wątpił, że maszynopis będzie gotowy. A ponadto od ostatniej publikacji Bryce'a upłynęło już zbyt wiele czasu, więc im szybciej, tym lepiej.

Im szybciej, tym lepiej także w kontekście kolejnej powieści. Do tej pory powinien był już ustalić, o czym chce pisać, by wstępnie pomyśleć o fabule, dzięki czemu mogłoby spędzić miesiące zimowe, podróżując i prowadząc niezbędne badania, na wiosnę zacząć pisać i oddać gotową powieść w czerwcu, gdy Dwie twarze w lustrze wejdą na rynek. Tak właśnie wyglądał harmonogram, który najbardziej lubili wydawcy: nowa książka pojawia się na warsztacie w chwili, gdy poprzednia wyjeżdża do księgarń. Bryce głowił się w pociągu w czwartek po południu, wieczorem przed telewizorem i w nocy, leżąc w łóżku, głowił się przed komputerem w piątek rano pomiędzy bezcelowymi telefonami do nieobecnych znajomych i do tej pory na nic nie wpadł. Bohater w ruchu. Każda postać, o jakiej myślał – bez względu na zawód, wiek, narodowość, miejsce zamieszkania, płeć, status ekonomiczny czy związek z prawem – każda postać co do jednej pojawiała się od razy w worku na trupy.

Właśnie wtedy pomyślał, że najlepszym pomysłem byłoby wyjechać na zimę – gdzieś indziej, do ciepłych krajów. Na Karaiby albo Hawaje, albo na południe Europy. Do Hiszpanii, na Capri.

Wstukał do komputera:

James Bond dotarł na Capri z prawą ręką na temblaku. Rozpoznałem go ze zdjęć wywiadu i podszedłem, wyciągając lewą dłoń.

– Chris Dockery – przedstawiłem się. – Co się stało w rękę?

– Doszło do rękoczynów – odpowiedział.

Biiip biiip, odezwał się telefon. Bryce spojrział krytycznym okiem na fragment, który właśnie napisał. Powieść z punktu widzenia pomocnika Jamesa Bonda? Niejednoznaczna postać, brak gderania o Królowej i Ojczyźnie. Ironiczny kontrast, rozważania na temat problemu patriotyzmu w świecie, w którym historia umarła.

Biiip biiip.

Sztuczne, niedojrzałe, na dłuższą metę nie do utrzymania; i koszmar ze względu na prawa autorskie.

Biiip biiip.

– Słucham.

– Ach, więc jednak jesteś. Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce w mieście.

Dzwonił Wayne, pozbawiony skrupułów pomocnik Jamesa Bonda. Z licencją na zabijanie. – Cześć, Wayne.

– Przed chwilą wyszedł ode mnie detektyw Johnson.

Bryce wychwycił samozadowolenie w głosie Wayne'a, które dodało mu otuchy.

– Zgaduję, że poszło gładko.

– Bez najmniejszych problemów – potwierdził Wayne. – Dzwonię, żeby powtórzyć ci wszystko, co mu powiedziałem, na wypadek gdyby chciał cię ponownie przesłuchać.

– Świetnie – odparł Bryce. Wyobraził sobie, że wisi na telefonie z Chrisem Dockerym, który przekazuje mu informacje na temat punktów zwrotnych akcji.

– Powiedziałem mu, że poznaliśmy się ponad dwadzieścia lat temu, ale po moim wyjeździe do Włoch straciliśmy kontakt. Kiedy się odezwałeś, pomyślałem, że z powodu problemów w małżeństwie obdzwaniasz starych znajomych.

– Skąd wiedziałem, gdzie cię szukać?

– Moje nazwisko jest w książce telefonicznej, Bryce – przypomniał mu Wayne. – Ja nie mam powodu, żeby zastrzegać numer.

– Ach, jasne, wybacz. – Bryce nagle poczuł się zażenowany, jakby popełnił faux-pas w towarzystwie przedstawiciela niższej klasy. No i przecież sam znalazł Wayne'a w książce, by zostawić mu na sekretarce wiadomość: „Spotkasz ją”. Tak.

– W każdym razie – ciągnął Wayne – zadzwoniłeś do mnie, spotkaliśmy się kilka razy, piliśmy kawę...

– Kawę?

– Pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Brzmi jak spotkanie członków AA.

– Możesz tam dołożyć kilka drinków, jeśli ci zależy, to bez znaczenia.

– W porządku.

– Tak czy inaczej – mówił dalej Wayne – opowiadałeś na temat Lucie tyle złych rzeczy, że postanowiłem się z nią raz spotkać, by zobaczyć, czy naprawdę jest aż tak zepsuta. W tym samym czasie miała się odbyć premiera sztuki, na którą nie chciałeś pójść, bo wybierała się tam także Lucie, a ja zapytałem, czy nie mógłbym pójść zamiast ciebie, a ty...

– Ty zapytałeś? – przerwał mu Bryce.

– Chciałem iść z ciekawości.

– Okej.

– Zadzwoniłeś do autora sztuki, Jacka Wagnera, dzięki czemu poszedłem tam zamiast ciebie i poprosiłem Wagnera, by przedstawił mnie Lucie. Rozmawiałem z nią może pięć minut, nie przypadła mi do gustu i wcześniej opuściłem przyjęcie. Jako jeden z pierwszych. Bo tak zresztą było.

– Ten detektyw przyczepił się do czegoś?

– Nie – odparł Wayne. – Powiedział mi za to, że pisze amatorsko i...

– Dobry Boże.

– Spokojnie, wszystko jest pod kontrolą, myślę, że kłamał. Chyba chciał sprawdzić, czy mam się z czego utrzymać, czy może raczej zostałem płatnym zabójcą. Więc pokazałem mu książkę, nad którą właśnie pracuję...

– Następną? – Bryce poczuł ukłucie.

– Nie wspomniałem ci? Idzie mi całkiem nieźle.



– To miło. Ja doszedłem do wniosku, że zacznę po świętach. Sam wiesz, jak trudno cokolwiek zrobić w grudniu.

– Nie ma rzeczy niemożliwych – odparł Wayne. – W każdym razie chodzi o to, że Johnson chyba wyszedł zadowolony. Myślę, że to już koniec.

– Miejmy nadzieję. Dzięki, że dałeś mi znać.

– Jasne, nie ma sprawy.

Bryce czuł, że Wayne chciałby przedłużyć tę rozmowę, ale on nie miał na to ochoty. – Do usłyszenia wkrótce – powiedział tylko.

– Na razie.

Odłożywszy słuchawkę, wykasował fragment z Chrisem Dockerym i jego przyjacielem Bondem, po czym napisał:

Po rozpadzie mojego małżeństwa czułem się samotny i pozbawiony celu. Zacząłem odszukiwać starych znajomych z początków moich dni w Nowym Jorku i trafiłem w książce telefonicznej na Wayne'a Prentice'a. Zadzwońłem do niego, spotkaliśmy się kilka razy, wypiliśmy parę kaw i drinków i chyba dałem przy nim wyraz swojemu niezadowoleniu, ponieważ zaczął się interesować moją byłą żoną. Chciał ją poznać. Akurat w tym czasie otrzymałem zaproszenie na premierę sztuki, na którą nie zamierzałem się wybierać, bo ona też tam miała być, w związku z czym Wayne zapytał, czy nie mógłby pójść zamiast mnie. Załatwiłem mu zaproszenie, a on poszedł na premierę, poznał moją żonę i najwyraźniej nie przypadła mu do gustu. Z oczywistych względów nie poruszaliśmy więcej tego tematu.

Bryce przeczytał ten fragment i doszedł do wniosku, że mu się nie podoba. Przede wszystkim Wayne nie miał żadnych problemów z wymawianiem imienia Lucie, z mówieniem o niej, podczas gdy Bryce z coraz większym trudem odnosił się do niej jak do prawdziwej osoby. Czy przypadkiem to nie Wayne powinien się tak czuć? Bo było jasne, że się nie czuł.

Główny problem tkwił jednak w czym innym. W prawie każdej powieści nadchodzi taka chwila, kiedy niezbędne okazuje się przeniesienie bohatera z miejsca na miejsce, by móc pociągnąć dalej historię, i to był właśnie taki moment. Kiedy już ów bohater znajdzie się w punkcie docelowym, wszystko wraca do normy, ale sam proces przeniesienia wymaga czasem od autora nagięcia pewnych reguł – zmuszenia postaci do niewłaściwego zachowania czy reakcji. W ten sposób w strukturze powieści powstaje rozdarcie, jest ono jednak niezbędne, by poprowadzić wydarzenia właściwym szlakiem, więc autor wzdycha, kręci głową i robi to, co konieczne. Inni pisarze, czytając gotową książkę, czasem dostrzegają grude w cieście, ale większość czytelników – nie.

I Bryce właśnie trafił na jedno z takich rozdroży. Od momentu kiedy Wayne idzie na premierę Niewierności, wszystko jest w porządku, historia posuwa się naprzód niczym pociąg pewnie osadzony na torach. Rozdarcie znajduje się wcześniej.

Bryce Proctorr w żadnych okolicznościach, po prostu nigdy nie czułby się aż tak samotnie i nostalgicznie, nawet po rozpadzie małżeństwa, by szukać ludzi, których znał przeszło dwadzieścia lat temu, na miłość boską. Po takim czasie ci ludzie byliby mu zupełnie obcy. I kogo jeszcze odnalazł w książce telefonicznej? Wyłącznie Wayne'a Prentice'a?

Pisarz dostrzegłby tę lukę, pomyślał Bryce. A detektyw Johnson? Prawdopodobnie nie. Nawet jeśli coś mu nie grało w historyjce, którą usłyszał, nie miał żadnego punktu zaczepienia, niczego konkretnego. Zresztą pewnie nie wychwycił fałszywej nuty w śpiewce Wayne'a.

Tak długo, jak nowojorska policja nie postanowi zatrudnić hordy pisarzy, by mnie wytropić, powinienem być bezpieczny – pomyślał Bryce.

pilniejsze, wszystkie problemy bardziej palące, a wszystkie wymagania większe, natomiast ludzie, którzy przez resztę roku potrafili utrzymać swoje ego na uwięzi, nagle urastali w swoich oczach.

Każdego wieczoru, teraz, kiedy detektyw Johnson zrobił już, co do niego należało, kiedy epizod z Lucie wydawał się zakończony i powoli znikał z ich umysłów (a także, Bogu dzięki, z mediów) i kiedy odrzucona powieść Wayne'a doczekała się wydawcy (choć anonimowo), dzięki czemu już niebawem mieli zainkasować sporą sumę pieniędzy, Susan spędzała każdą chwilę przy kolacji na opowiadaniu Wayne'owi o horrorze, farsie i czarnej komedii pracy dla UniCare.

Krył się w tym bogaty materiał. Gdyby Wayne nie pracował już nad książką i gdyby nie fakt, że tak naprawdę nie miał rynku zbytu dla nowej powieści, z pewnością spróbowałby wyluskać jakąś ciekawą historię z opowiadań Susan. Tło było zarówno bardzo współczesne, jak i dickensowskie, sentymentalne, lecz ironiczne. Idealne.

Któregoś ranka po śniadaniu, tydzień po wizycie detektywa Johnsona, usiadł przed komputerem i dla samej frajdy wystukał kilkanaście stron na temat ekonomii zorganizowanej działalności charytatywnej. Z radością witał każdą ironię i pławił się w sentymentach. Nie miał pojęcia, co zrobić z takim tekstem, ale mimo to i tak pisał, bo sprawiało mu to przyjemność, bo wolał pisać niż nie pisać, a Bratnie widmo chwilowo utknęło w miejscu.

Wiedział, jaka była tego przyczyna, ale nie czuł się zaniepokojony. Pamiętał tę chwilę, gdy się zorientował, że prace nad Bratnim widmem zaczynają zwalniać, i pomyślał wówczas przelotnie, że być może tak wygląda spóźniona reakcja na sprawę Lucie. (W myślach nazywał to teraz sprawą Lucie, dobrze wiedząc, co się z tym wiąże – wszystkie drobiazgi, tło i okoliczności; na własny użytek nie potrzebował jednak szerszej definicji). Tylko że sprawa Lucie nie trapiła go ani nie paraliżowała. Żałował, oczywiście, że żałował, żałował konieczności tego czynu i, niech mu Bóg świadkiem, żałował jego niechlujności, ale miał to już za sobą i bez względu na żale czy koszmar incydentu, żyli teraz w świecie po Lucie, który dla Wayne'a był światem o wiele lepszym.

Ponadto zaczynał podejrzewać, że nie dało się inaczej zakończyć sprawę Lucie niż tak, jak ją zakończył – zaskakując samego siebie, wymuszając działanie, inicjując lawinę zdarzeń, których nie mógł zatrzymać. Niewyraźny plan, by pojechać gdzieś na południe kupić broń, a następnie śledzić Lucie anonimowo poprzez kaniony Nowego Jorku, był fantazją, snem na jawie. Nie potrafiłby tego zrobić. Pchnąć samego siebie do działania – tylko taką drogę mógł obrać.

A zatem to nie Lucie blokowała postęp prac nad Bratnim widmem, to Joe Katz. Po przerwie świątecznej obiecał porozmawiać z Wayne'em na temat potencjalnej przyszłości w wydawnictwie Pegasus-Regent. Jeśli dostanie zielone światło, Bratnie widmo natychmiast rozkwitnie. Jeśli czerwone... Cóż.

Wieczorem Wayne pokazał Susan tekst – „Dobre uczynki zaczynają się w poczcie wychodzącej” – która pomimo kilku drobnych uwag uznała go za rewelacyjny. Postanowił więc wprowadzić niezbędne zmiany i następnego ranka zadzwonił do Willarda Hartmana, agenta, z którym nie rozmawiał od czasu skazania na śmierć Dubletu domina.

– Wayne! Wspaniale słyszeć twój głos, przyjacielu. Wesołych świąt.

– Nawzajem, Willard. Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec...

– Tak? – zapytał Willard z beztroską radością, pod którą jednakże kryła się czujność.

– Wygląda na to, że wciągnęła mnie literatura faktu – odparł Wayne. – Napisałem coś w rodzaju artykułu o działalności charytatywnej, bazując na tym, co usłyszałem od Susan.

– Z zamiarem opublikowania tego w...?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał. – Nie znam tej branży. Po prostu chcę ci to przesłać, Willard, a jeśli nie ma gdzie tego sprzedać, ty będziesz to wiedział lepiej ode mnie.

– Cóż, nie wątpię, że miło spędzę czas przy czytaniu, Wayne. Dobrze wiesz, że jestem fanem twojej twórczości. Szkoda, że nie ma nas więcej.

– Ja też żałuję, Willard – powiedział, a następnego dnia wysłał Hartmanowi kopię tekstu z adnotacją: „Potraktuj to jak świąteczną kartkę”.

19

Klimat Bożego Narodzenia zaczyna się panoszyć w Nowym Jorku już na początku grudnia i zabrania mieszkańcom rozmawiać, czy nawet myśleć o czymkolwiek innym. Bryce trzy razy jeździł do miasta pociągiem w poszukiwaniu świątecznych prezentów dla dzieci, Joego Katza i Jerry'ego Mossmana, jego agenta w Nowym Jorku, a także dla Grega, dozorca, który latem przycinał trawnik w Connecticut i opiekował się domem przez resztę roku, kiedy Bryce – a wcześniej razem z Lucie – bywał tam rzadziej.

W tym roku bywał jednak w Connecticut znacznie częściej. W mieszkaniu w mieście czuł się nieswojo, nie lubił spędzać tam nocy, chociaż dwa razy musiał, raz po świątecznym przyjęciu w wydawnictwie, corocznym wydarzeniu towarzyskim, którego po prostu nie mógł uniknąć. Wypił wtedy trochę za dużo, czego normalnie nie robił; prawdopodobnie powód wpadki zawdzięczał Wayne'owi, który także pojawił się na przyjęciu.

Nie spodziewał się, że Joe go zaprosi, przecież Wayne nie należał do stajni autorów Pegasus-Regenta. (Oczywiście w pewnym sensie należał, ale nie w takim, o jakim Joe Katz mógłby coś wiedzieć).

– Cześć, Wayne – przywitał się Bryce, podchodząc do Wayne'a, który trzymał w ręku plastikowy kubek różowego ponczu. – Co za spotkanie.

Wayne był bardzo szczęśliwy i chyba odrobinę podchmielony. – Mówiąc zupełnie szczerze, Bryce – odparł – czuję się tu jak Kopciuszek. To nie jest moja prawdziwa suknia, na zewnątrz nie stoi prawdziwy powóz i tak naprawdę nikt mnie nie zaprosił na bal.

– Jeśli nie wspomnisz o tym księciu, sprawy mogą się potoczyć po twojej myśli.

Wayne wypił wystarczająco dużo, by zachowywać się zupełnie szczerze, w sposób, który Bryce'owi wydawał się prostacki, niemal makabryczny. – Chciałbym ci podziękować, Bryce – powiedział. – Dzięki tobie to wszystko stało się możliwe.

– Wiele stało się możliwe także dzięki tobie – przypomniał mu Bryce.

Tylko że tym razem Wayne przybył tu na własnych warunkach i teraz spoglądał ponad jego ramieniem na pozostałych gości, na ludzi związanych z branżą książkową gawędzących o książkach. – Boże, jak tu cudownie...

Bryce wiedział, o czym Wayne myśli: to był jego świat, należał do niego, bo nie należał nigdzie indziej ani nigdzie indziej nie pasował. Mrzonka o uczeniu w college'u była właśnie tym – mrzonką, która prędzej czy później skończyłaby się źle. Ta rybka czuła się dobrze wyłącznie w jednej wodzie. W związku z czym Wayne musiał sobie teraz wmawiać: nieważne, co zrobiłem, by się tu znaleźć. Zostać tam, gdzie należę, nie dusić się w obcym świecie, po prostu zgarnąć to, na co zasługuję, niezbędne minimum, żyć we własnym świecie – żadna cena nie jest na to zbyt wygórowana.

I ja mu to zrobiłem, pomyślał Bryce. To ja złożyłem mu ofertę nie do odrzucenia. Jeśli żadna cena nie jest zbyt wysoka, to wcale nie zażądałem wiele, zgadza się?

Bryce także rozejrzył się po pomieszczeniu, próbując patrzeć oczami Wayne'a, choć wiedział, że jego oczy widzą inaczej. On naprawdę należał do tego świata, on zdażył udowodnić dobre intencje, a ponadto on niczego nie zrobił. A jednak to właśnie on czuł się wyrzutkiem. Niby dlaczego? Dlaczego przegrany ma spać śmietankę, podczas gdy uznany zwycięzca

czuje się jak intruz, jak Kaliban, jak kmiot ocierający się o lepszych sobie?

– Może to bal maskowy – powiedział głośno i natychmiast podziękował w duchu, że Wayne nie słuchał go i nie podjął tematu. Bo Bryce dobrze wiedział, co się kryje pod maską Wayne'a – otwartość, gorliwość i szczerłość. Co jednak kryło się pod jego maską?

– Chciałbym, żebyś poznał Susan – odezwał się tymczasem Wayne. – Susan? Chodź tutaj, poznaj Bryce'a Proctorra...

Bryce odwrócił się, a Susan powitała go beznamytnym uściskiem dłoni i chłodnym uśmiechem.

– To pan? Wayne tyle mi o panu opowiadał.

Czy kiedykolwiek wcześniej ta oklepana formułka skrywała tak wielki podtekst? Jezu Chryste, pomyślał Bryce, jakże przerażający sekret dzielimy we troje w środku tego przyjęcia, tylko my troje i nikt więcej. Zarówno on, jak i Susan Prentice od pierwszej chwili poczuli do siebie wyraźną niechęć, a Bryce wiedział, że oboje są tego świadomi. Stwierdził, że Susan jest piękną kobietą, choć zbyt opanowaną, z jasno-brązowymi włosami za bardzo przypominającymi hełm, z ciałem zbyt starannie wyrzeźbionym, jakby była choinką przyciętą na święta, z ruchami zbyt oszczędnymi i ostrożnymi.

– Wesołych świąt – powiedział i obdarzył ją uśmiechem zarezerwowanym na takie okazje, po czym wznosił toast kubkiem z ponczem.

– Uroczę przyjęcie – stwierdziła Susan. – Dużo lepsze niż te u Romneya.

Romney był wydawcą, u którego Wayne publikował swoje pierwsze książki. Bryce wiedział, że Tim Fleet przeszedł pod skrzydła Antelope, ale nawet jeśli Antelope organizował jakiegokolwiek przyjęcia – a nie wszyscy wydawcy organizowali – to Tim Fleet nie mógł się na nich pojawić. Jak dziwnie musiał się czuć biedny Tim Fleet.

– Pegasus to jedyne wydawnictwo, z jakim kiedykolwiek współpracowałem, więc brakuje mi porównania – powiedział Bryce.

– Naprawdę? – odparł zaskoczony Wayne. – Większość pisarzy prędzej czy później zmienia barwy klubowe.

– Jerry, mój agent, kilka razy pobrzękiwał szabelką, ale Pegasus zawsze wychodził z tego obronną ręką – wytłumaczył Bryce. – A poza tym podoba mi się tutaj. Mój pierwszy redaktor był świetny, a kiedy odszedł na emeryturę, zastąpił go Joe, z którym pracuję już dwanaście lat i nigdy bym go nie zostawił. Jeśli Joe kiedykolwiek odejdzie, pójdę razem z nim.

– O ile oczywiście będę miał dla niego jakąkolwiek książkę. By odwrócić uwagę od tych myśli, zapytał Susan Prentice: – Co było nie tak z Romneyem? To znaczy z ich przyjęciami świątecznymi.

– Na wszystkim oszczędzali – odparła. – Zawsze organizowali je w swoich biurach, co się zwykle nie sprawdzało, a poza tym zamawiali jedzenie z delikatesów i najtańsze białe wino, w związku z czym najbardziej poczytni autorzy woleli się trzymać własnego stadka.

Wayne zaśmiał się piskliwie. – Tak właśnie było, szkoda, że od razu tego nie zauważyłem. Jeśli znalazłeś się na świątecznym przyjęciu u Romneya, wiedziałeś, że twojego nazwiska nie ma na szczycie list sprzedaży. Raczej gdzieś w środku. – Uśmiechnął się do Bryce'a. – Wiesz, co definiuje autora ze środka listy? Brak pulsu.

Lucie! Pada do tyłu na podłogę, a on bije i bije, aż brak pulsu. Bryce zamknął i otworzył oczy.

– Poszczęściło mi się – powiedział – i doskonale o tym wiem. I lepiej, żebym trochę pokrażył, jeśli nie chcę tego szczęścia stracić. Miło było cię poznać, Susan.

– Ciebie też, Bryce.

Bryce przechadzał się jeszcze wśród uczestników przyjęcia, ale nie potrafił znaleźć nikogo, z kim mógłby zamienić kilka słów, więc niebawem

postanowił wyjść. Stojąc już w drzwiach, dostrzegł Wayne'a pogrążonego w wesołej rozmowie – między innymi z Joem Katzem.

W grudniu poza miastem urządzano tyle samo przyjęć, co w mieście, a Bryce czuł się lepiej na pozamiejskich spotkaniach. Ludzie, których tam znał, byli bardzo różni i nie składali się wyłącznie z pisarzy, agentów oraz redaktorów. W ciągu minionych lat zaprzyjaźnił się z weekendowymi bywalcami okolicznych wzgórz, gospodarzami wielu zabaw, do których zaliczali się prawnicy, pracownicy agencji reklamowych, lekarze, właściciel sieci szkółek drzew, dziennikarz prasowy, a nawet kilku aktorów. Czuł się swobodniej między tymi ludźmi, bo bardziej obchodziło ich czyszczenie basenów i środki odstraszające jelenie niż fuzje wydawnictw czy kaprysy recenzentów „New York Timesa”.

Sam okres świąteczny spodziewał się spędzić samotnie w domu na wsi, ale tydzień przed Bożym Narodzeniem niespodziewanie zadzwoniła Ellen, jego poprzednia żona. – Dzieci przyjeżdżają po południu w pierwszy dzień świąt – powiedziała. – Zjemy wczesną kolację, bo tego samego dnia muszą wracać. Zastanawialiśmy się, czy nie chciałbyś do nas dołączyć.

Nigdy wcześniej nie składała mu takiej propozycji, a teraz najwyraźniej robiła to ze względu na śmierć Lucie. W pierwszej chwili chciał odmówić, trzymać się planu samotnych świąt, ale zdażył powiedzieć tylko:

– Cóż, Ellen...

– Spotykasz się z kimś? – weszła mu w zdanie. – Oczywiście mógłbyś ją tutaj...

– Nie, nie – odparł szybko. – Miałem kogoś... Nie wiem, czy znasz Isabelle...

– Nie wiem nic o twoim życiu, Bryce.

– Z nikim się teraz nie spotykam – powiedział w końcu.

– Więc przyjeźdź. Między pierwszą a drugą.

– W porządku – zgodził się, szczęśliwy, że kupił już prezenty, które planował wysłać pocztą. Ponieważ koniec końców nie powierzał ich jednak trosce pracowników pocztowych, zapakował je o wiele staranniej i ozdobił wielkimi kokardami, do których poprzyczepiał duże etykiety w kształcie aniołów wypowiadających imiona właściwych osób.

Wigilię spędził sam, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Siedział przed telewizorem, przełączał kanały między kolędami, kreskówkami i wyciskaczami łez, oglądał fragmenty trzech różnych wersji Opowieści wigilijnej – to się dopiero nazywa dochodowy interes – zastanawiając się jednocześnie, jak wielu ludzi musiało w tej chwili pracować lub wypełniać inne obowiązki.

Nieco po dziesiątej zadzwonił telefon. Dzwoniła Isabelle – po raz pierwszy od dnia, w którym postanowiła, że się do niego nie wprowadzi. Kilka razy sam chciał się odezwać, ale dochodził do wniosku, że mogłaby to uznać za natarczywość, biorąc pod uwagę, że to ona go odrzuciła, a poza tym za dużo byłoby z tym zachodu. Co by zyskał, rozmawiając z Isabelle?

Dzwoniła z jakiegoś przyjęcia, słyszał w tle szum tłumu.

– Coś się stało? – zapytał.

– Zastanawiałam się, co u ciebie. Wszystko w porządku?

– Jasne, co miałoby być nie tak? Spędzam jutro dzień z moimi dziećmi. Gdzie jesteś?

– U znajomych ojca – odparła Isabelle. – Mają apartament na szczycie budynku zaraz nad siedzibą ONZ-tu, z zapierającym dech widokiem na East River, naprawdę fantastycznym. – Ścisząc głos, dodała: – Jestem tu jedyną osobą poniżej sześćdziesiątki. Czuję się jak ich dziewczynka z zapalkami.

– Nie mogli lepiej trafić – zapewnił ją Bryce.

– Przyjeżdżasz do miasta?

– Dopiero po świętach – odparł, zdając sobie sprawę, co dawała mu do zrozumienia. Chciałaby się spotkać, ale on przekornie odmówił, bo nie zależało mu na odbudowie związku, wolał, żeby się dalej rozpadał.

I tak właśnie było, w związku z czym pożegnali się już niebawem, a Bryce powrócił do Wigilii w świetle telewizji. Wczesnym popołudniem następnego dnia zapakował torby z zakupami do bmw – wymienili to, które ucierpiało w karambolu – po czym ruszył w osiemnastomilową podróż na północny zachód, zmagając się z gwałtownym wiatrem szalejącym pod sinym, wielowarstwowym, wirującym niebem (choć jeszcze nie padał śnieg, zapowiadany na kolejne dni), w stronę Newtown, gdzie Ellen dzieliła teraz dom z Jimmym Branleyem.

Branley był architektem i sam zaprojektował swój dom (który Bryce'owi wydawał się zbyt ostentacyjny, a wszystkie pokoje zbyt długie i wysokie), budynek z kamienia i białego oszalowania rozciągnięty na wzniesieniu, jak gdyby ktoś go tam rozlał, ciągnący się w dół w stronę okazałego basenu z jednej strony i ozdobnej, wyszukanej sadzawki z czarnego granitu z drugiej.

W środku dominowały białe ściany, wsporniki z jasnego drewna i kominki z żółtej cegły. Branley zaprojektował także większość mebli, wszystkie długie i niskie, jakby oglądane w krzywym zwierciadle. Bryce doskonale wiedział, że ten dom sprawdzał się najlepiej podczas przyjęć i uroczystości, kiedy ludzie zdawali się przepływać z jednego miejsca do drugiego, a akustyka była taka, że człowiek mógł prowadzić rozmowę na osobności, nigdy nie czując się odizolowany od reszty towarzystwa.

Czy mu się to podobało, czy nie, musiał więc przyznać, że to miejsce spełniało swoją rolę jako cel weekendowych wypadów, czyli z definicji przynajmniej w pewnym stopniu dom imprezowy, a zarazem wizytówka demonstrująca styl i umiejętności Branleya.

Bryce nie wyrobił sobie jednoznacznego zdania na temat samego Branleya, człowieka wesołego i sympatycznego, który o nikim nie powiedziałby złego słowa. Nowy mąż byłej żony to jedno, ale Branley był kimś zupełnie innym, chociaż miał już prawie pięćdziesiątkę, dwoje dorosłych dzieci, a ich związek trwał kilka lat. Dlaczego po prostu nie pobrali się z Ellen, tego Bryce nie mógł zrozumieć; może po prostu na dobre zniechęcił ją do małżeństwa.

Jedno wiedział za to na pewno: nie znosił radosnego sposobu, w jaki Branley oznajmiał przy każdej możliwej okazji, iż nie czyta książek. Nigdy nie przeczytał żadnej powieści Bryce'a i nie ulegało wątpliwości, że nigdy nie przeczyta. Zbyt zajęty, zbyt zadowolony z kariery architekta, zupełnie niezainteresowany fikcją literacką.

Czasami Bryce żałował, że nie może w podobny sposób wyrażać absolutnego braku zainteresowania architekturą, ale brzmiałoby to co najmniej idiotycznie. Przecież to jasne, że nie interesował się architekturą, wyłącznie architekci się nią interesowali. Natomiast wszyscy piśmienni ludzie powinni – a przynajmniej wierzył, że powinni – wykazywać zainteresowanie literaturą.

Przybył na miejsce jako ostatni i został powitany radośnie, jeśli nie wylewnie. Kiedy prezenty, które ze sobą przywiózł, znalazły się w salonie pod wielką choinką obok stosów innych podarunków, ponownie przedstawiono go Jackowi i Kathy, dzieciom Branleya – oboje byli po dwudziestce i oboje pracowali w telewizji kablowej.

Bryce szybko pożałował, że tu przyjechał. Problem polegał na tym, że wszystko wydawało się na miejscu, wszyscy go akceptowali, nawet jego dzieci wydawały się cieplejsze niż zwykle. Smakowała mu wczesna kolacja, podczas której siedział obok Kathy Branley. Jak się okazało, Kathy właśnie skończyła czytać Podwójną zapłatę i koniecznie chciała mu opowiedzieć, jak bardzo podobała jej się ta książka. Tylko że przez cały ten czas Bryce myślał: nie powinno mnie tu być, nie powinienem siedzieć

wśród tych ludzi, nie powinienem korzystać z prostych przyjemności. Nie wiedział, skąd to uczucie, i nie chciał się nad tym zastanawiać. Po prostu żałował, że tu przyjechał.

I bez względu na to, jak bardzo czuł się nie na miejscu, postanowił zostać. Po kolacji otworzyli szampana razem z gwiazdkowymi prezentami, a niedługo później goście zaczęli się zbierać do wyjścia, lecz Bryce został, nie dlatego, że chciał, ale raczej dlatego, że ogarnęła go dziwna apatia. Poza tym, zrozumiał nagle, musiał porozmawiać z Ellen. Potrzeba rozmowy z Ellen nie opuszczała go od chwili, kiedy ujrzał ją na pogrzebie, a teraz miał być może ostatnią szansę.

Tom i Barry, synowie Bryce'a, którzy przyjechali samochodem z Nowego Jorku, wyszli około siódmej, a zaraz po nich dzieci Branleya. Na miejscu zostali tylko Ellen, Jimmy, Bryce i jego dwudziestotrzyletnia córka, która oczywiście studiowała architekturę, w związku z czym zawsze miała mnóstwo tematów do przedyskutowania z Branleyem.

Ellen w końcu wylądowała w kuchni, a Bryce podążył za nią i usiadł na jednym z chromowanych krzeseł z płóciennym oparciem przy stole z grubym blatem. Słuchał jej gadki-szmatki, świadomy, że uważała go teraz za samotnika i próbowała wypełnić mu część jego pustego czasu.

Ale chodziło o coś więcej. Kiedy na chwilę zamilkła, powiedział: – Ellen, chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

– Jasne. O co chodzi?

– Cóż – zaczął, czując się potwornie niezręcznie, nie wiedząc, co zrobić z rękami i nogami. – Chodzi o to, że muszę się komuś wypowiedzieć. Uśmiechnęła się krzywo, przekonana, że to jakiś dowcip. – Wypowiadać? Z czego, Bryce?

– Zatrudniłem pewnego człowieka, żeby zabił Lucie.

Ellen przerwała to, co właśnie robiła, cokolwiek to było – pakowanie w folię resztek ciasta czy coś w tym rodzaju – i odwróciła się, by na niego spojrzeć. – Co zrobiłeś?

– Sama wiesz, jak to się przeciągało – tłumaczył – a ja nie mogłem przez to pracować. Chodziło przede wszystkim o to, przede wszystkim o pracę.

– To ty zabiłeś Lucie?

– Ktoś to dla mnie zrobił. Zapłaciłem, żeby to zrobił. Kiedy nie było mnie w mieście.

Ellen podeszła szybko do drzwi, zatrzęsnęła je i wróciła, by usiąść przy stole naprzeciwko Bryce'a. Nigdy wcześniej nie widział tak głębokiej pionowej zmarszczki między jej brwiami. – Ty mówisz poważnie – stwierdziła.

– Oczywiście, że mówię poważnie. – Wzdrygnął się, patrząc gdzieś w bok. – To miało wszystko poprawić.

– Jak mogłeś to... jak mogłeś w ogóle o tym pomyśleć?

– Takie myśli już przychodziły ludziom do głowy, Ellen. Ja ich nie stworzyłem.

– Nie, oczywiście że nie. – Pokręciła głową, jakby właśnie dostrzegła swoją głupotę. – A ty się właśnie tym zajmujesz, prawda? Wymyślanie takich rzeczy.

– Zwykle nie jestem aż tak... efektywny.

– I co teraz? Szantażuje cię? Ten człowiek, który...

– Nie, nie, z nim wszystko okej, wszystko w najlepszym porządku, jest absolutnie zadowolony. – Tym razem jego ciałem wstrząsnął niekontrolowany, konwulsyjny dreszcz. – To ja stanowią problem.

– W jakim sensie?

– Nadal nie mogę pracować. Próbuje wymyślić nową książkę, nową opowieść, i nic, pustka. I wszystko jest takie bezbarwne. Wspominałem ci o tej kobiecie, o Isabelle, byliśmy ze sobą jakiś czas...

– Nie znam jej.

– Nie znasz. Ale kiedy mnie zostawiła, powiedziała, że nie ma już we mnie ani krzty radości. I to prawda.

– Mój Boże, Bryce, co za bałagan...

– Popełniłem fatalny błąd – stwierdził. – Teraz to widzę, to była najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić. I muszę to naprawić, Ellen. Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś powodu musiałem ci o tym powiedzieć. Więc bądź gotowa.

Spojrzała na niego nieufnie. – Gotowa na co?

– To chyba jasne. Muszę się zgłosić na policję. Muszę...

– Nawet się nie waż!

Gapił się na nią zdumiony, a ona gromiła go wzrokiem jak najgorszego wroga. – Słucham...?

– Czy twój egoizm naprawdę nie ma żadnych granic? – Twarz jak z kamienia, oczy przeszywające chłodem. – Chyba zdażyłam się przyzwyczać do twojego egocentryzmu...

– Ellen, ale o co ci chodzi? Nic nie rozumiem...

– Pewnie że nie rozumiesz. Masz troje dzieci, Bryce, wszystkie dopiero rozpoczynają prawdziwe życie, wszystkie stoją u progu wymarzonych karier.

– Ale jaki to ma związek z...

– Jesteś osobą publiczną, głupcze! Sławnym człowiekiem! Jeśli wciągniesz dzieci w sprawę o morderstwo, w ten cały medialny cyrk, sama cię zabiję, rozumiesz?

Było go stać tylko na wybałuszanie oczu. – Ja bym nigdy nic...

– Oczywiście, że ty nigdy nic – powiedziała. – Z tobą zawsze tak jest, ty nigdy nic, Bryce. Zrobiłeś coś głupiego, złego i niewybaczalnego, ale nie pozwolę, żebyś pogorszył sprawę.

– Myślałem – dukał – myślałem, że jeśli się przyznam... – Przetarł twarz.

– To zrujnujesz dzieciom życie – dokończyła za niego. – Nie wywiniesz się z tych sidłań tak łatwo, Bryce, to nie będzie po chrześcijańsku, że wystarczy wyspowiadać grzechy, by wszystkie znikły, a radość znów zawita w twoim życiu. Nie możesz tego zrobić. Masz obowiązki.

– Och, Ellen...

– Obowiązki – podkreśliła. – Twojej duszy, Bryce, spowiedź może tylko zaszkodzić.

Udało mu się zaśmiać, chociaż bardzo niemrawo. – W porządku – zgodził się. – W porządku, masz rację, teraz to widzę, wcześniej nie widziałem, cieszę się, że najpierw porozmawiałem z tobą.

– Mój Boże, Bryce, ja też się cieszę.

– Spowiedź zaszkodzi mojej duszy – powtórzył i kiwnął głową, która wydawała mu się teraz bardzo ciężka. – Będę o tym pamiętał.

20

Dziadkowie Susan, państwo Costello, wiele lat temu uprawiali warzywa w centralnej części New Jersey nieopodal Hightstown, przede wszystkim pomidory dla ogromnej fabryki Campbella, jak zresztą prawie wszyscy ich sąsiedzi. Fabrykę dawno jednak zamknięto, większość farm przemieniła się w sypialnie nowojorczyków, a krajobraz poznały drogi szybkiego ruchu i małe galerie handlowe, ale dziadkowie Susan, oboje po dziewięćdziesiątce, wciąż tam żyli, wciąż posiadali dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi i dwudziestoma sześciami akrami ziemi. W każde święta przyjeżdżała tam cała rodzina, niektórzy aż z Miami i Omaha, wypełniając dom oraz dwie stodoły przerobione na gościnne bungalow.

Na to coroczne doświadczenie – a Wayne po prostu je uwielbiał – składały się w mniej więcej równych proporcjach zarówno wspólne radości, jak i dramaty. Sam dorastał w Hartford w Connecticut, wychowywany przez rodziców nauczycieli, którzy nie mogliby być bardziej sztywni, nawet



gdyby wcisnąć ich w gorsety z fiszbinami. Teraz już ojciec nie żył, matka mieszkała na Florydzie w Pompano Lakes, a trójka rodzeństwa rozjechała się po kraju i rzadko się widywali. Podejrzał, że główna przyczyna takiego stanu rzeczy wynikała z braku dzieci. Zauważył, że ludzie, którzy postanawiają się ustatkować, prowadzić „normalne” życie z „normalną” pracą i „normalnymi” dziećmi, bardzo często przestają się interesować kimkolwiek, kto nie pasuje do tego wzorca. Wayne nie miał „normalnej” pracy, Greenwich Village nie przypominało „normalnego” domu i, co należało uznać za najcięższy z grzechów, Susan nie urodziła im gromadki brudnych, lepkich, głośnych i wstrętnych dzieciaków.

Wszystko to jednak odpowiadało Wayne'owi. Wystarczała mu rodzina Susan, wielki, zróżnicowany, tolerancyjny, wesoły i hałaśliwy klan skory do żartów oraz docinków, lecz pozbawiony skłonności do traktowania ich śmiertelnie poważnie. Każdego roku przez cztery dni świetnie się wśród nich bawił, kompletnie zapominając o życiu w Nowym Jorku, i tym razem nie było inaczej. Ani razu w jego umyśle nie pojawiła się wizja niebezpiecznej kariery, ani razu Bryce, ani nawet Joe Katz, ani razu artykuł, który w jakiś sposób zdążył napisać jeszcze przed wyjazdem, i z pewnością ani razu sprawa Lucie Proctorr, która w jego umyśle nie była już nawet sceną z makabrycznego filmu, lecz zasłyszana niegdyś opowieścią z dreszczykiem. I chociaż jego bujna wyobraźnia ubierała tę historię w barwne obrazy, to i tak zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z fikcją. Dwudziestego ósmego wrócili wypoczęci do mieszkania i z radością przejrzeni stos poczty, wśród której znaleźli zaproszenia na trzy noworoczne imprezy. Oczywiście planowali pójść na wszystkie i tak właśnie zrobili, i nie spotkali nikogo, kto mógłby zepsuć im humory.

We wtorek po Nowym Roku Wayne odebrał rano dwa telefony.

Za pierwszym razem dzwonił Willard Hartman, jego dawny agent. – „Vanity Fair” chce twój kawałek o działalności charytatywnej – powiedział.

– Fantastycznie! – ucieszył się Wayne. Tak naprawdę nie liczył na odzew, pisał ten tekst tylko po to, by się czymś zająć, zabić czas, bo pisanie czegokolwiek było lepsze niż niepisanie niczego.

– Mają kilka pytań – ciągnął Willard. – I kilka drobnych sugestii. Chcą też pogadać o zdjęciach do tego artykułu, u nich zawsze muszą być zdjęcia.

– Och, jasne, na pewno coś wykombinujemy.

– Laurie Simons, ich redaktorka, mogłaby ci wysłać e-mail albo faks, jak wolisz.

Tim Fleet istniał prawie wyłącznie w e-mailach wysyłanych rzekomo z Mediolanu.

– Podaj jej mój adres mailowy – zdecydował Wayne. – Ile mi zapłaca?

– Powiedzieli, że sześć tysięcy.

– Ha! Kto by pomyślał.

Całkiem nieźle, stwierdził, jak na kilka porannych godzin pracy.

Za drugim razem, jakieś pół godziny później, dzwonił Joe Katz.

– Zjedźmy razem lunch – zaproponował.

Serce zabiło Wayne'owi mocniej. – Jasne, kiedy?

– O pierwszej.

– Och, chodzi ci o dziś!

Joe zaśmiał się. – Wayne, jem lunch codziennie. Przyjdź, zobaczymy się o pierwszej.

Umówili się w restauracji „Campagna” na Wschodniej Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Obsługa знаła tam Joego i zarezerwowała mu stolik dla dwóch osób w zacisznym kącie, gdzie dało się prowadzić rozmowę na osobności, czego nie można było powiedzieć o całym lokalu. Rozmawiali o świętach. Joe poprosił o kieliszek białego wina, więc Wayne zrobił to samo. Kiedy już zamówili posiłki, Joe powiedział: – Porozmawiajmy o twojej karierze.

– Nie wiedziałem, że jakąś mam – odparł Wayne.

– Przykro mi to mówić, ale wygląda na to, że spóźniłeś się na swój pociąg.

Wayne poczuł, jak w jego brzuchu formuje się zimna kula. Dobrze zrobił, zamawiając wino. Wiedział, że wieści prawie na pewno będą złe, ale mimo to nie potrafił przestać się ludzić. Joe Katz był w końcu starszym redaktorem, mógł uderzyć pięścią w stół, szanowano jego zdanie. Czy on nie mógłby powiedzieć komputerowi, żeby poszedł się jebać?

Najwyraźniej nie. Joe szczerze przeproszał, żałował, że to nie on podejmuje decyzje, ale liczby pozostaną liczbami. – To są naprawdę złe czasy dla rynku wydawniczego – wyjaśnił.

Wayne zaśmiał się, choć nie było mu wcale do śmiechu. – Zawsze są złe czasy dla rynku wydawniczego.

– Ale tym razem jest jeszcze gorzej – powiedział Joe. – Wydawnictwa się łączą, coraz więcej i więcej występuje pod wspólnym parasolem dużych firm, w związku z czym wydaje się coraz mniej.

– O tym akurat wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Tylko że z drugiej strony w mediach jest dla nas coraz mniej miejsca, na recenzje, na naszych autorów, bo dzisiaj wszyscy zajmują się nowymi technologiami, tym, co się wydaje na płytach i w Internecie.

– Zauważyłem, że z czasem dostawałem coraz mniej recenzji – zgodził się Wayne.

– Tak jest ze wszystkimi – zapewnił go Joe. – Albo prawie ze wszystkimi.

– Ale nie z Bryce'em.

– Nie, nie z Bryce'em. Co doprowadza nas do kolejnego problemu. Ponad pięć lat temu zaczęły się konsolidacje hurtowni, w związku z czym, nawet jeśli uda się przepchnąć twoją powieść w twardej oprawie, jest mniejsza szansa na dodruk w miękkiej.

– To też mi się przydarzyło – przyznał Wayne.

– Nie wiem, czy docenisz tę ironię, ale autorzy tacy jak Bryce mają nieco większe dodruki, bo ludzie tacy jak ty zeszli im z drogi.

– Też nie jestem do końca pewien, Joe, czy kiedykolwiek uda mi się ją docenić. Ale wszystko sprowadza się do tego, że nie możesz mi pomóc.

– Jedyna oferta, jaką mógłbym ci złożyć, jest tak obraźliwa, że wolę tego nie robić.

– Dlaczego nie spróbować – odparł Wayne. Jak w obecnej sytuacji miałyby wyglądać obelga?

– Carew, wydawca, wie, że mi na tobie zależy. Wyliczył wszystkie koszty możliwej porażki i doszliśmy do kompromisu. Wygląda to tak: mówisz mi, że masz książkę...

– Część książki.

– Jeśli znajdę w niej coś, co da się sprzedać – ciągnął Joe – zaczniemy nad nią myśleć. Rozumiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię o sprzedaży...?

– Że powinna w niej wystąpić księżna Diana.

Joe zaśmiał się. – Na pewno by nam to nie zaszkodziło. „Dobrze się sprzedający” znaczy zupełnie co innego niż „dobrze napisany”. Znam twoje książki i wiem, że potrafisz pisać solidną, zgrabną prozę, wiem, że umiejętnie tworzysz fabułę i bohaterów, więc możemy to wszystko uznać za pewnik.

– Dzięki – powiedział Wayne.

– Tu nie chodzi o komplementy – zastrzegł Joe. – Chcę wykluczyć wszystko, w czym jesteś dobry i o czym już wiemy. Chcę, żebyś wrócił do domu, spojrział na to, co zdażyłeś napisać, i powiedział sobie: olać Joego Katza. Co zobaczy w tym marketing? Co zobaczy dział sprzedaży? Co zrobić, żeby rybka połknęła haczyk? Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – Wayne skinął głową.

Joe pokiwał mu palcem przed twarzą. – Nie proszę cię o to, żebyś zmieniał całą powieść. Bo przede wszystkim nie sprawię, żeby ci się to opłacało. Więc nie dopisuj księżnej Diany.

– Jasne – odparł Wayne.

– Ale jeśli dojdiesz do wniosku – kontynuował Joe – że bez niszczenia integralności tekstu można w nim odnaleźć coś, co dobrze się sprzeda – zadzwoń. Wtedy rzucę na niego okiem. Jeśli się okaże, że trzymasz poziom, i jeśli uznam, że to naprawdę jest marketingowa powieść, zaproponuję ci za nią dziesięć tysięcy dolarów.

Wayne miał w głowie pustkę.

Joe dokończył jednym haustem wino, po czym zamachał do kelnerki. Wayne wskazał swój kieliszek i Joe uniósł dwa palce. – Plan jest taki – powiedział – że jeśli pomożemy tej książce, jeśli ją wypromujemy i awansujesz w komputerze powyżej naszych oczekiwań, następnym razem zaproponujemy ci nieco więcej i postaramy się jeszcze bardziej, żeby wypracować kolejną wyżkę sprzedaży.

Wayne wreszcie się odezwał: – Mówisz o budowaniu kariery od zera, tak jak było kiedyś, pisarz i wydawca trzymali się razem przez lata.

– Z tym wyjątkiem tego – zastrzegł Joe – że w obecnych warunkach gra zaczyna się od czasu doliczonego i obowiązuje zasada nagłej śmierci.

Wayne upił odrobinę wina z drugiego kieliszka. W Bratnim widmie nie było nic marketingowego – ten tekst dało się wypromować jedynie jako dobrą książkę, ciekawą opowieść, coś, co przyjemnie się czyta. – Przemyślę to – powiedział.

– Świetnie.

– I chciałem ci podziękować, Joe. – Mówił szczerze i miał nadzieję, że to widać. – Wiem, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

– Możemy zrobić tylko tyle, na ile pozwala nam sytuacja – odpowiedział Joe.

21

Bryce umówił się z Lindą, sprzątaczką raz w tygodniu odwiedzającą mieszkanie w Nowym Jorku, by podczas każdej wizyty pakowała do dużej koperty jego pocztę – wszystko, co uznała za ważne – i wysyłała do domu w Connecticut. W czwartek po Nowym Roku otrzymał właśnie taką kopertę, a w środku znalazł między innymi napisany sucho list od firmy odpowiedzialnej za budynek, w którym mieściło się nowojorskie mieszkanie. Zaadresowany do Bryce'a Proctora, list informował, że firma stała się świadoma faktu zgonu najemcy lokalu. Jeśli Bryce chce negocjować nowe warunki najmu, powinien się w trybie natychmiastowym skontaktować telefonicznie z panią Teraski pod numerem widniejącym powyżej. Niestety, nie istniała możliwość, żeby pozostał w mieszkaniu bez podpisania nowej umowy.

Jakże dziwnie było sobie uświadomić, że choć to Lucie postanowiła się wyprowadzić po rozpadzie małżeństwa, to właśnie jej nazwisko widniało na umowie. Mark Steiner, księgowy Bryce'a, obstawał przy tym, by Lucie została mieszkanką Nowego Jorku i wynajmowała tam apartament i by Bryce formalnie mieszkał w domu w Connecticut. Już wtedy wydawało się to niepotrzebnie skomplikowane – w sposób, w jaki niepotrzebnie skomplikowane bywa prawo podatkowe – teraz jednak zakrawało to na groteskę.

Stali się świadomi faktu zgonu najemcy lokalu. Jak dotąd najbardziej bezkrwawy opis okoliczności, w jakich życie zostało wytłuczone bezlitosnymi ciosami z ciała Lucie.

Bryce nie skontaktował się z panią Teraski w trybie natychmiastowym, bo jeszcze nie wiedział, co chce zrobić. Na pewno w którymś momencie powinien zadzwonić do Marka i zapytać go, jak zapatruje się na tę sprawę on i prawo podatkowe, lecz na ten telefon również nie czuł się gotów.

Dwie godziny później Mark sam zadzwonił do Bryce'a. – Chciałem dać ci znać, że przyszedły pieniądze od Pegasususa – powiedział.

– Świetnie – odparł Bryce.

– I za chwilę będę dzwonił do Wayne'a Prentice'a.

– Na pewno się ucieszy.

Mark zaśmiał się. – Pewnie tak – stwierdził. – Ale nadal uważam, że to najbardziej zwariowana oferta, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

– Był tego wart, Mark.

– Mogę się założyć, że wzięłyby mniej. Jeśli jeszcze kiedykolwiek podkusi cię, Bryce, żeby zawierać taką umowę, proszę, najpierw skontaktuj się ze mną.

– To się drugi raz nie zdarzy. Ale wtedy go potrzebowałem. Nie potrafiłem pracować i to się ciągnęło zbyt długo, zaszkodziłoby mojej reputacji i karierze. On jest wart tych pieniędzy, bo prawda wygląda tak, że gdyby nie on, Dwie twarze w lustrze by nie istniały.

– I jesteś go pewien.

– Co przez to rozumiesz?

– Cóż, wiem, że to twój znajomy – zaczął tłumaczyć Mark – to miły facet, lubię go...

– Tak?

– Ale co z przyszłością? To znaczy, czy on pewnego dnia nie ogłosi wszem i wobec, że to jego książka?

– W żadnym wypadku – odpowiedział Bryce. – Znam go, Mark, i pod tym względem mu ufam. Ufam mu całkowicie.

– Zwykle wiesz, co robisz. Już dzwonię do niego przekazać mu dobre wieści.

Bryce nie pytał o to wcześniej, bo nie była to jego sprawa, ale nagle chciał wiedzieć: – A jak wygląda twój układ z Wayne'em? Bo teraz dbasz o jego finanse, zgadza się?

– W zasadzie tak samo, jak układ z tobą – odparł Mark. – O tyle prosił i dokładnie tyle dostanie. Zakładam, że będzie miał kolejne wpływy, żeby nasza współpraca nie straciła sensu.

– Och, z pewnością – stwierdził Bryce i dopiero kiedy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że zapomniał zapytać o mieszkanie.

Wiedział, co to oznacza – nie zatrzyma go. Żadnych negocjacji warunków najmu, koniec z życiem w Nowym Jorku, samotnie na piętnastym piętrze. Przeniesie tu meble, które warto zatrzymać, a resztę wyrzuci. Większość rzeczy i tak nie chciał, Lucie je wybierała. Należały do niej.

Telefon oraz decyzja w sprawie mieszkania, jeśli to naprawdę była decyzja, wprawiły Bryce'a w nerwowy nastrój, więc po południu postanowił wybrać się do Brenforda, ekskluzywnych delikatesów w tej części Connecticut, miejsca, do którego jeździło się kupować niedostępne w supermarketach jedzenie w nowojorskim stylu (sprzedawane po nowojorskich cenach). Tylko u Brenforda mógł dostać niektóre produkty, jak ulubioną kawę, sos łososiowy czy kilka innych frykasów, a dawno tam nie zaglądał.

Wczesnym czwartkowym popołudniem w środku zimy parking przy Brenfordzie był w połowie zapełniony – głównie jeepami cherokee, toyotami land cruiser i tak dalej, a także okazjonalnym volvo, saabem lub bmw podobnym do tego, którym jeździł Bryce.

Kiedy wszystko inne zawodzi, przyjemnie od czasu do czasu poczuć, że człowiek nie jest samotny, że należy do plemienia i przebywa na kontrolowanym przez nie terytorium. Ponad połowa tablic rejestracyjnych wskazywała na Connecticut, a reszta na Nowy Jork i od czasu do czasu na Massachusetts. W lecie pojawiały się także tablice z New Jersey, wszyscy jednak wiedzieli, że to nie prawdziwi dworzanie, a jedynie prostytutki zwiedzający dwór.

Klienci mogli wybierać między dwoma rozmiarami wózków zakupowych i małymi ręcznymi koszykami dla niepoważnych. Bryce poszedł na kompromis i wybrał

mniejszy wózek. Gdy rozsunęły się przed nim przeszklone drzwi, uderzyła go fala ciepłego powietrza pachnącego piekarnią.

Zwykle nie przepadał za zakupami, wolał wpaść do sklepu w pośpiechu, wrzucić do wózka pierwsze, co się nawinęło i z grubsza odpowiadało jego potrzebom i w takim samym pośpiechu wyjść. Dziś jednak czuł w sobie bezruch podwodnej głębi, czuł, jakby płynął bardzo, bardzo długo, lecz już dalej nie musiał, jakby wreszcie dotarł na brzeg.

Wszystko było zakończone. Wcześniej w tym tygodniu zadzwonił detektyw Johnson, ale tylko po to, by zdobyć nazwiska i numery telefonów krewnych Lucie z Kansas i Missouri. Wybywał dalej w teren, nie trafił na żaden ślad mordercy. Pegasus-Regent zapłacił za Dwie twarze, które Joe Katz zaakceptował jako książkę Bryce'a Proctorra, gnębiący go od dawna i rozprasający problem rozwodu znikł, a Wayne Prentice był zadowolony. Związek z Isabelle dotarł do martwego punktu, ale może znaczyło to tylko tyle, że dalej dotrzeć nie mógł, że on i Isabelle tak czy inaczej bardziej już by się do siebie nie zbliżyli, a Isabelle nie była ostateczną odpowiedzią na problemy w tej sferze uczuć.

– Przepraszam pana...

– Tak?

Atrakcyjna twarz otoczona delikatnymi falami platynowoblond włosów i wielkie, niewinne brązowe oczy, wskazujące na interwencję chirurga plastycznego. Rozpięte krótkie, ciemne futerko na ciemnozielonej bluzce oraz jasnobrązowe wełniane spodnie. Sprawiała wrażenie niepewnej, choć raczej nie obawiającej się odrzucenia.

– Pan Bryce Proctorr? – zapytała. Miała gardłowy głos, jakby paliła papierosy albo lubiła się śmiać z nieprzyzwoitych dowcipów.

– Trafiony. – Przywołał na twarz uśmiech zarezerwowany na takie sytuacje.

– Tak myślałam! – Wyciągnęła smukłą dłoń z kośćmi rysującymi się pod bladą skórą. – Ktoś mi wspominał, że mieszka pan w okolicy. Marcia Rierdon, oddana fanka.

– Moje uszanowanie. – Chwycił jej dłoń, energiczną i silną. Zdarzały mu się już takie spotkania, wykraczające jeden krok poza zwyczajowe stosunki na linii autor-fan; ich dalszy przebieg zwykle zależał od okoliczności. – Zawsze miło usłyszeć kilka dobrych słów.

– Tak się składa, że mam dla pana raczej złe słowo – odparła z uśmiechem. – Co z nową książką? Czytelnicy czekają.

– Już w czerwcu – obiecał. – W niektórych księgarniach może nawet w maju. Dwie twarze w lustrze.

– Od razu kupię jeden egzemplarz! Mam chyba wszystkie pańskie książki.

– To wspaniale.

– Te wydania w twardej oprawie!

– Jeszcze lepiej.

Pochyliła się i nagle poczuł mocny uścisk na ręce trzymającej wózek. – Czy mógłby pan... – urwała. Cofnęła się, puściła go, potrząsnęła głową. – Nie, na pewno by pan tego nie zrobił.

– Czyżby? – zapytał. – Skąd pani wie, skoro jeszcze pani nie zapytała?

– Mieszkam dziewięć mil stąd – powiedziała. – W stronę Amenii, pewnie pan kojarzy. – I zerkając do jego wózka: – Nie wiem, jak długo będzie pan jeszcze robił zakupy...

– Prawie skończyłem.

Uśmiechnęła się półgębkiem. – Zakupy dla samotnej osoby – zauważyła.

Rozciągnął usta w uśmiechu i kiwnął głową. – Zgadza się.

– Wydawało mi się, że ktoś taki... – Niespodziewany szok wykrzywił rysy jej twarzy. Przytknęła palce z karminowymi paznokciami do ust. – O mój Boże, pańska żona!

- Wszystko w porządku – uspokoił ją.
- Co za okropność, zupełnie zapomniałam, tak bardzo mi przykro!
- Naprawdę wszystko w porządku – powtórzył. – Proszę się nie martwić, czasami sam zapominam.
- Teraz jest mi wstyd. Teraz na pewno pana nie zapytam.
- Chciała pani wiedzieć, czy nie pojechałbym za panią do pani domu podpisać książki.
- Och, mógłby pan to zrobić?

Znów poczuł uścisk dłoni na ręce, tym razem jeszcze mocniejszy. – Z przyjemnością. Proszę mi dać pięć minut.

– Zaczekam przy kasach. – Pozwoliła, by uśmiech jasnych oczu stał się nieco zalotny, gdy podniosła rękę i pomachała mu lekko, po czym odwróciła się i odeszła.

Nie potrzebował już zbyt wielu rzeczy. Chodząc między półkami, myślał o tym spotkaniu jak o fragmencie książki, o scenie, która w każdym okolicznościach wydawałaby się zbyt przewidywalna, a dla dzisiejszego czytelnika traciłaby nawet myszką. Dwadzieścia lat temu okoliczne wzgórza zamieszkiwały głównie kury domowe, bezdzietne albo z dziećmi w szkołach, z mężami mieszkającymi i pracującymi w Nowym Jorku, wracającymi wyłącznie na weekendy. Niektórym z tych kobiet zdarzało się wychodzić w teren w poszukiwaniu okazji, by uczynić wiejskie życie trochę bardziej interesującym, kiedy chlebobdawcy nie było w pobliżu. Większość z nich wyjechała, albo do pracy w Nowym Jorku – niemal wszystkie pary, które Bryce tu znał, pracowały razem i razem podróżowały do i z Nowego Jorku – albo w ostateczności szukać rozrywek w mieście, bardziej interesującym od samotności na wsi. Wciąż istniała jednak grupa, zdecydowana mniejszość, która wolała utrzymywać bardziej tradycyjne struktury rodzinne, z kobietą dbającą o domowe ognisko i mężczyzną stawiającym czoło mastodontowi. A flirtowanie ze sławną osobą tylko dlatego, że była sławna, nigdy nie wyszło z mody.

Takie sytuacje zdarzały się już Bryce'owi na przestrzeni lat, chociaż niezbyt często. W sumie trzy razy, łącznie z dzisiejszym. Za pierwszym był szczęśliwym mężem Ellen. Zachowywał się przyjacielsko i uprzejmie, zaszczycony okazującym mu zainteresowaniem, ale niestety umówił się z żoną i nie miał czasu. Kłamstwo, które skutecznie ostudziło zapędy fanki. Za drugim sypiał z Lucie, ale jeszcze się z nią nie ożenił, a ponieważ ona sprzeciwiała się pomysłowi spędzania weekendów w Connecticut, chętnie odwiózł miłą nieznaną do domu, później zaprosił na kolację i wrócił do niej na noc. Dała mu swój numer, który natychmiast wyrzucił, a dziś mógłby się założyć, że nie potrafiłby odnaleźć jej domu. Nawet nie pamiętał jej imienia ani, jeśli już o tym mowa, twarzy. Co ciekawe, wspomnienie tej pierwszej, odrzuconej, było żywsze.

Co zatem czekało go w przypadku trzeciej z kolei? Była atrakcyjna i inteligentna (w końcu podziwiała jego książki), a on był samotny i wydawało się mało prawdopodobne, by miała mu w przyszłości sprawiać jakiegokolwiek problemy; jakiś mężczyzna już dbał o jej pozycję w plemienu, skoro robiła tu zakupy. Gdyby postanowił nigdy więcej jej nie oglądać, przyszyłoby mu to równie łatwo, co w przypadku poprzedniej fanki. Pojadę za nią do jej domu, pomyślał, lecz dreszcz, który go przebiegł, miał w sobie coś dziwnego, jakby nagle poczuł obrzydzenie. Czyż nie była seksowna? Oczywiście, że tak. Pod plemiennym strojem z pewnością ukrywała zgrabne ciało.

Z jakiegoś powodu nie potrafił sobie jednak tego wyobrazić. Wyczekiwanie to rzecz jasna jeden z elementów seksu, fantazjowanie na temat tego, co ma dopiero nadejść, tylko że jego myśli były bezbarwne, potrafił się skupić wyłącznie na teraz – mamy dwa samochody, ona czeka przy kasach, pojadę za nią w stronę tej Amarii...

Tak, była tam. Pomachała do niego, kiedy wyładowywał zakupy na ruchomy czarny pas przy kasie, i wypchnęła wózek pełen zapakowanych toreb na zewnątrz. Zapłacił, wyszedł z własnymi zakupami i zobaczył ją na parkingu, stojącą przy szarozielonym jeepie cherokee z miejscowymi tablicami. Znów mu pomachała, a on odmachał. Wsiadła do auta, a on załadował wszystko do swojego i wskoczył za kółko, po czym konwój złożony z dwóch samochodów opuścił parking i skręcił w lewo.

Wszystkie drogi były tu dwupasmowe i kręte, wiły się między wzgórzami przez ekskluzywne podmiejskie dzielnice. Domy stały daleko w tyle, drzewa rosły swobodnie, obok młoda roślinność, żywopłoty, rzędy krzewów, dalej korty tenisowe, baseny, wielostanowiskowe garaże obok kamiennych domów w stylu kolonialnym. Jadący z przodu cherokee sunął przez krajobraz jak marzenie, a Bryce jechał za nim.

Lucie. Właśnie tak było z Wayne'em i Lucie, dwoje ludzi, którzy dopiero co się poznali, nieznajomi w tym absorbującym okresie przed seksem, kiedy każdy zmysł zdaje się wyostrzony, każdy gest ma znaczenie, każdy cień na kościach policzkowych trzeba przeanalizować, nieodkryta rzeczywistość zbliża się przez wszechświat. A później eksplozja.

Dlaczego myślę o Lucie? – zadał sobie pytanie Bryce i mocniej chwycił kierownicę. Mam wszystko zepsuć? Mam tam wejść jako żaloszny, pogrążony w smutku wdowiec, impotent, ofiara własnego cierpienia? Jakiego cierpienia? Nie cierpię z powodu Lucie, nie cierpiałem i nigdy nie będę. Żałuję, że mnie do tego zmusiła, ale zmusiła, zrobiła to. Ja nie zrobiłem nic.

Ale chciał wiedzieć. Lucie była jego wrogiem, demonem, sukubem i dlatego powinien tam być, powinien sam tego doświadczyć. Nie było go tylko dlatego, że musiał uniknąć podejrzeń, tylko dlatego ktoś wykonał zadanie, które należało do niego. Zdawał sobie sprawę, że w snach, których nigdy nie pamiętał, próbował odtworzyć tę scenę, wyobrazić ją sobie, ale to nie działało. A on chciał wiedzieć.

Marcia Rierdon. Swobodny uśmiech, blask oczu. Jak by wyglądała, gdyby... Dlaczego nie potrafię sobie wyobrazić, jak się z nią pieprzę? Zmusił się, by stworzyć w głowie obraz białej poduszki w półmroku pokoju, uśmiechniętej twarzy, jasnych oczu, które patrzą w górę. Ale gdzie ja jestem?

Jego pięść spada z impetem. Nos, który już poprawiała, poprawia po raz kolejny. Pięść unosi się, oczy są otwarte szerzej, ale jak to wygląda? Jak to brzmi? Jak to jest?

Uniósł powieki w chwili, gdy już miał zjechać z drogi prosto w kamienne ogrodzenie. Skręcił i zobaczył, jak cherokee zwalnia przed znakiem stopu z migającym prawym kierunkowskazem. Patrz na drogę, musisz prowadzić z otwartymi oczami.

Zatrzymała się na stopie. Włączył prawy kierunkowskaz. Skręciła w prawo. Zatrzymał się i skręcił w prawo.

Boże, czy właśnie to zamierzam zrobić? Czuł, jak to się zbliża, wiedząc, co to takiego, choć wcale nie chciał tego wiedzieć. Nie będzie się kochać z tą kobietą, z Marcją Rierdon. Jego ciało jej pragnęło, ale nie lędzwie, tylko ramiona, napięte mięśnie rąk i nóg.

Nie było mnie tam, bo nie mogło mnie być, bo by mnie podejrzewali, ale miałem tam być, bo tego nie dokończę, jeśli mnie tam nie będzie. Nie znam tej kobiety, a ona nie zna mnie, nikt nigdy się nie dowie, że wszedłem do jej domu, że pojechałem tak daleko na zachód Connecticut, nikt nie dowie się niczego, a ja wreszcie tam będę, ponieważ tym razem nikt nie może mnie podejrzewać.

Pot spływał mu spod włosów na czoło i na uszy, za kołnierz z tyłu. Dyszał, zaciskał ręce na kierownicy, rozluźniał, zaciskał.

Nie możesz tego zrobić. Nie musisz wiedzieć. Nie musisz wiedzieć. Nie wolno ci skrzywdzić Marcii Rierdon, to nie Lucie. Marcia Rierdon to nie Lucie.

To mężatka, która lubi sobie dogadzać, niewierna, zła kobieta, to jest Lucie.

Co byłoby gorsze? Brak wspomnień czy ich obecność?

Najwyraźniej stał się więźniem samego siebie. Obserwował bezradnie z nadzieją, że potrafi się zatrzymać, i z nadzieją, że tego nie zrobi, licząc, że uda mu się wyjść z tego cało, cokolwiek to było, wyjść z nietkniętym umysłem. Żeby tylko nie wyrządzić krzywdy sobie.

Zapaliły się światła stopu w jej samochodzie. Skręciła w prawo na asfaltowy podjazd pomiędzy dwoma murkami z cegły, z dużym ciemnym domem widocznym za strzelistymi drzewami. Obok stała czarna skrzynka na listy z czerwonymi literami:

681 RIERDON

Dotknął lekko hamulca. Odetchnął głośno. Przejechał obok podjazdu.

Gapił się przez szybę, jakby oczekiwał, że na drogę w każdej chwili może wyskoczyć jakiś potwór i pochłonać go razem z samochodem. Tak jak wtedy w tym karambolu, zanim dotarło do niego, że wciąż żyje.

Na skrzyżowaniu skręcił bez wybierania kierunku, a potem znów i znów. Wciąż mogę zawrócić, wmawiał sobie, zawrócić i pojechać do jej domu, znaleźć wymówkę, wpuści mnie, nadal chce, żebym tam wszedł.

Prędzej czy później będę musiał to załatwić, a mogę zawrócić nawet teraz. Nie zatrzymywał się. Prawie godzinę później dotarł do samej Amenii, od południa, co znaczyło, że nie przyjechał tu w linii prostej. Na światłach skręcił w prawo w kierunku Connecticut.

Wciąż mogę zawrócić, powtarzał, chociaż już nie był do końca pewien, gdzie mieszka ta kobieta. Jeśli znajdę jej dom, myślał, wejdę do środka. Resztę pozostawię w rękach losu, Boga, przypadku, głupiego szczęścia, czegokolwiek. Jeśli zobaczę jej dom, wejdę do środka. Absolutnie, bez cienia wątpliwości. Zawsze mogę wymyślić jakąś wymówkę.

Jeździł jeszcze przez godzinę, po czym wrócił do domu i rozpakował zakupy.

22

Do połowy lutego Wayne sprzedał trzy kolejne artykuły i zarobił dziewiętnaście tysięcy dolarów przez sześć pierwszych tygodni roku. W takim tempie – chociaż, gdy patrzył na to realistycznie, wiedział, że nie zdoła go utrzymać – ale w takim tempie, gdyby dobra passa mimo wszystko trwała, w ciągu roku zarobiłby na publicystyce dwukrotnie więcej, niż kiedykolwiek, nawet w najlepszych czasach, na prozie.

Do tej pory na sukces nowej ścieżki zawodowej w mniej więcej równym stopniu składały się szczęśliwy traf i planowanie. Ośmielony sukcesem z „Vanity Fair”, napisał jeszcze jeden tekst na temat charytatywności, znów z Susan jako głównym źródłem informacji. Tym razem artykuł dotyczył działalności charytatywnej gwiazd – kto wspiera kogo i dlaczego – z naciskiem na gwiazdy i organizacje pochodzące z Nowego Jorku. Zakładał, że zainteresuje się nim „Vanity Fair”, ale powiedzieli mu, że ten tekst za bardzo przypominał inne rzeczy, które już za-klepali do nowego numeru, w związku z czym Willard Hartman odezwał się do „Playboya”, a oni postanowili zapłacić.

Dobrze, a zatem „Playboy”. Napisał artykuł o uwodzeniu przez Internet, wycelowany w strony pomiędzy dziewczynami jeden i trzy, ale okazało się, że trafił jak kula w płot, więc Willard postanowił sprzedać to do „Vanity Fair”. I bądź tu mądry.

Przy kolejnym tekście postanowił nie myśleć nad ewentualnym kupcem i zostawić to zmartwienie Willardowi, tak jak zrobił za pierwszym razem. Korzystając ze znajomości z Jackiem Wagnerem oraz Ja-net Higgins z Niewierności – na szczęście żadne z nich nawet nie wspomniało o Lucie – stworzył artykuł opisujący obecny stan i perspektywy rozwoju off-off-Broadwayu.



Willard zadzwonił dziesięć dni później: – Wiesz, „New York” jest bardzo zadowolony z tego artykułu o śródmieściu.

Tymczasem prace nad Bratnim widmem stanęły w miejscu. Wayne od czasu do czasu zerkał na wydruk, myślał o książce, częściowo nawet wiedział, jak dalej potoczy się akcja, ale po prostu nie potrafił się zmusić do otwarcia pliku. Bo i po co? Nikt nie czekał na Bratnie widmo. Któregoś dnia do niego wróci, ale w międzyczasie musiał zarabiać na życie. W końcu miał teraz poważnego księgowego, który traktował go jak wartościowego klienta, nie powinien pozwolić, by mu to przemknęło koło nosa. Z zarobkami Susan i własną karierą wolnego strzelca powinno wystarczyć, by utrzymać zainteresowanie Marka Steinera.

Jeśli zaś chodziło o nagły i zupełnie niespodziewany sukces w publicystyce, doszedł do wniosku, że przygotowały go do niego lata pisania książek, choć wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Dotychczas był gawędziarzem, który przywiązywał dużą wagę do szczegółów codziennego świata. I nie chodziło wyłącznie o broń, samoloty, perfumy czy whisky, lecz również o zjazdy z autostrad, historię mało znanych klanów czy przyczyny wymarcia tego lub innego gatunku.

Sporą część przygotowań spędzał w bibliotece albo przy telefonie, rozmawiając z ekspertami. Szybko nauczył się, że mógł zadzwonić niemal do każdej osoby z dowolnego zakątka świata, od placówki ONZ-tu w Izraelu po główną siedzibę wypożyczalni samochodów Budget Auto Rental i powiedzieć: „Jestem pisarzem, pracuję nad powieścią i zastanawiałem się, czy nie mógłby mi pan/pani wytłumaczyć...”, a ludzie porzucali wszystko, co właśnie robili, odpowiadali na pytania, wyszukiwali dla niego informacje, spędzali z nim tyle czasu, ile chciał, a na zakończenie rozmowy życzyli mu powodzenia. Sekretne źródło informacji każdego autora – przyjemność, jaką ludzie odnajdywali w pomaganiu pisarzom.

Inna zaleta, która wynikała z jego pisarskich doświadczeń, to żywość stylu, umiejętność unikania tego, co nudne i przewidywalne, oraz odnajdywania nieoczekiwanych, ale ciekawych powiązań, dzięki którym jego teksty świetnie się czytało.

To, co robił teraz przy tych artykułach, nie różniło się zbyt od pracy pisarza. Pomiń fabułę oraz postaci i sprzedaj to, co zostało. Sama śmietankę, to się zawsze dobrze sprzedaje.

Istniały jednak także różnice – na przykład pomysły szybko się zużywały. Podobnie jak wszystkie jego książki, Bratnie widmo było zbudowane wokół jednego pomysłu, który rozwijał, zmieniał i przedstawiał różne jego wariacje, wyrażał w inny sposób i zużywał, aż nic z niego nie zostawało. A to oznaczało jeden pomysł na rok czy dwa. Pisząc dla magazynów, potrzebował jednego czy dwóch pomysłów na miesiąc. Póki co, jakoś dawał radę.

Następny artykuł zamierzał pisać na temat gwiazd, które postanawiają osiedlić się na Manhattanie, zamiast uciekać w zacisze Connecticut, ciepły klimat Kalifornii albo egzotykę Londynu, Paryża, Rzymu czy Genewy. Tym razem jego przepustkę miał stanowić Bryce, pierwszy obiekt badań, który odesłałby go do innych zaprzyjaźnionych gwiazd pasujących do profilu, które odesłałby go do kolejnych gwiazd, dzięki czemu w ciągu miesiąca skończyłby tekst. Niech Willard decyduje, co z nim zrobić.

Kiedy jednak zadzwonił pod nowojorski numer Bryce'a, odpowiedziała mu nagrana na sekretarkę wiadomość, że numer ten jest nieaktualny, a żadnego innego nie podano. Co to mogło oznaczać?

W jednej chwili Wayne pomyślał: on mi zagraża. Jeśli zaczniesz wariować, wpędzi mnie w kłopoty. Ale dlaczego miałyby to zrobić? Czy przypadkiem nie ma teraz wszystkiego? Nie dostał dokładnie tego, czego chciał?

Bez względu na to, jak brzmiała odpowiedź, Wayne stwierdził, że nie chce dzwonić do domu w Connecticut. Wolał nie zagłębiać się w mrok tych zakamarków. Zamiast tego zadzwonił do Marka Steinera, ich wspólnego

księgowego, i zostawił wiadomość, prosząc o kontakt, a kiedy Mark w końcu odezwał się po południu, Wayne powiedział: – Mark, czy u Bryce'a wszystko w porządku?

– Czy wszystko w porządku? – zapytał ostrożnie Mark. – Co masz na myśli?

– Nie widziałem go od jakiegoś miesiąca – odparł Wayne. – Przed chwilą próbowałem się dodzwonić pod nowojorski numer, ale jest nieaktualny. Nie wiem...

– Och – przerwał mu Mark z ulgą w głosie. – Bryce oddał to mieszkanie.

– Oddał?

– Umowa była na Lucie – wytłumaczył. – Zgodnie z papierami Bryce mieszka w Connecticut, zresztą ty z Susan też mógłbyś przemyśleć taką opcję. Bryce stwierdził, że teraz, kiedy jest sam, nie chce tego mieszkania, więc oddał je, zamiast renegecjować najem. Technicznie rzecz biorąc, do końca miesiąca to mieszkanie wciąż należy do niego, ale już zdążył się wyprowadzić. Chyba zostawił jakieś meble, których nie potrzebował, to wszystko.

To by było na tyle, jeśli chodzi o temat gwiazd mieszkających na Manhattanie. Albo przynajmniej o Bryce'a jako przepustkę do ich świata. – Ach, rozumiem – powiedział Wayne. – Cieszę się, że u niego wszystko dobrze. Bałem się zadzwonić do Connecticut, nie wiedziałem, czy się przypadkiem nie pochorował albo nie przeprowadził do Timbaktu.

– Nie, wszystko z nim w porządku – zapewnił go Mark. – Zamieszkał tam na stałe. Chyba pracuje nad nową książką.

– Świetnie. Właśnie tego mu trzeba.

– Bez wątpienia.

Podczas tradycyjnej kolacji przy świecach Wayne opowiedział Susan o zmianie, jaka zaszła w życiu Bryce'a. – Szczerze mówiąc – stwierdził – nagle poczułem się nieswojo. Bryce'owi zdarza się zachowywać tak, jakby nie wszystko było z nim w porządku.

– Podczas tego świątecznego przyjęcia wydawał się bardzo wrogi – przyznała Susan.

– Raczej zamknięty w sobie. Bywa zamknięty w sobie, ale to nie wrogość.

– Dla mnie wyglądało to na wrogość. A więc się wyprowadził? Z Central Park West?

– Mark twierdzi, że wynajmuje mieszkanie do końca miesiąca, ale już go tam nie ma, zostawił tylko niepotrzebne meble.

– Ile mogłoby kosztować takie mieszkanie? – zapytała Susan.

– Nie wiem. Sześć, siedem tysięcy miesięcznie, może więcej. Dlaczego pytasz?

– Codziennie mam do czynienia z ludźmi, którzy muszą płacić dwieście, a i tak ich na to nie stać – odpowiedziała. – To po prostu interesujące, ile płacą inni.

– Ile by to nie było, Bryce'a na pewno stać – stwierdził.

– To chodźmy obejrzyć to mieszkanie – zaproponowała Susan.

– Słucham? Po co?

– Pamiętasz, jak szukaliśmy jego domu w Connecticut i nie mogliśmy go znaleźć? Z pewnością znajdziemy mieszkanie w Central Park West!

– Ale po co? – powtórzył pytanie.

– Twierdzisz, że wciąż są tam jego meble. Chciałabym zobaczyć, jak mieszkają, jak zwykli mieszkać. Nie wiem, dlaczego, po prostu chcę.

– Jasne, skoro ci na tym zależy – odpowiedział. – W sobotę. Potem moglibyśmy zjeść lunch w „Tavern On The Green”.

– Umowa stoi.

– Zadzwonię jutro do agenta i dowiem się, czy pokazują to mieszkanie. Założę się, że tak.

– Dlaczego nie? Na pewno zależy im, żeby nowy lokator wprowadził się w dniu, w którym umowa Bryce'a wygaśnie – stwierdziła Susan. – A ostatnio czytałam, że rynek jest przesycony drogimi apartamentami.

– Masz rację, to może być całkiem interesujące – przyznał Wayne, dolewając im wina. – Zobaczyć, gdzie mieszkał Bryce...

W mieszkaniu zostało zadziwiająco dużo mebli, łącznie z dwoma łózkami, komodami i bujanym fotelem w głównej sypialni, większością mebli w salonie oraz większością wszystkiego innego. Tylko jadalnia była całkiem pusta.

Kobieta od Price'a-Cathcarta, firmy zarządzającej budynkiem, nazywała się Pered i przypominała ptaka pod przepiękną różowozłotą peruką, bez przerwy świergocząc, gdy przemierzali kolejne pomieszczenia apartamentu. Wayne zauważył, że Bryce usunął z biura niemal wszystko prócz drewnianego obrotowego stojaka na książki i czarnego skórzanego fotela – bez wątplenia były to świąteczne prezenty od Lucie.

Taras nawet w lutym prezentował się wyjątkowo, z widokiem na każdą stronę miasta prócz północy i z Central Parkiem wyglądającym z góry jak na pocztówce.

Susan niemal trzęsła się z podniecenia, kiedy zwiedzali kolejne pokoje, Wayne czuł, jak drży jej dłoń, którą trzymała mu na ramieniu. Gdy mieli już wychodzić, zapytała nagle: – Jak wysoki jest czynsz?

– Zależy od długości umowy – odpowiedziała kobieta. – Przy najkrótszym, dwuletnim okresie, sześć tysięcy trzysta dolarów.

– A przy dłuższym?

– Przy siedmiu latach pięć tysięcy dziewięćset. Ale w takiej sytuacji wymagany jest większy depozyt. A podwyżki z powodu wzrostu kosztów utrzymania są takie same.

– Chciałabym jeszcze raz zerknąć na kuchnię – poprosiła Susan.

Jeszcze raz zerknęli na kuchnię, po czym zapytała: – Czy poprzedni lokator usunie te meble?

– Nie, zabrał już to, na czym mu zależało. Wolałby sprzedać resztę nowemu najemcy. Wiele z tych rzeczy zaprojektowano specjalnie na potrzeby tego mieszkania.

– A mogę jeszcze raz zerknąć na główną łazienkę? – spytała Susan.

– Oczywiście.

Susan zerknęła jeszcze raz na główną łazienkę, a później na taras. W tej chwili Wayne zerkał już na zegarek, ponieważ czekała na nich rezerwacja w „Tavern On The Green”.

Z powrotem w salonie Susan rozejrzała się i westchnęła: – Jaka szkoda...

Ptakopodobna pani Pered uniosła ptasią główkę. – Co się stało?

– Dysponujemy odpowiednim budżetem, ale nasz księgowy trzyma go żelazną ręką, sama pani rozumie... – wyjaśniła Susan i uśmiechnęła się smutno do pani Pered.

Która odwzajemniła smutny uśmiech i kiwnęła głową. – Potrafią być bardzo surowi, nasi najemcy często się o tym przekonują.

– Nie możemy płacić więcej niż sześć tysięcy przy dwuletniej umowie – powiedziała Susan, podczas gdy Wayne gapił się na nią niemo. – Jeśli zaś chodzi o meble, wolelibyśmy się ich pozbyć, nie chcemy płacić za używane rzeczy.

– Jestem pewna, że coś uda nam się wymyślić – stwierdziła pani Pered.

23

Bryce usiadł przed klawiaturą. Napisał:

Żona bohatera znika w Kirgistanie, gdzie poszukiwała lokalizacji do kręcenia filmu o mongolskich hordach, w rzeczywistości będącego operacją prania pieniędzy przez rosyjską mafię, które pochodzą z przemytu narkotyków przez Morze Czarne za pomocą niewielkich łodzi patrolowych Marynarki Wojennej Rosji, które przejęli Ukraińcy po rozpadzie Związku

Radzieckiego, co ograniczyło dostęp Rosji do Morza Czarnego, lecz te łodzie patrolowe dzięki łapówkom zniknęły z oficjalnych list i są teraz używane do pirackich wypadów kierowanych przez grupę zbuntowanych afgańskich rebeliantów, by zgromadzić środki dla terrorystów powiązanych z arabskimi fundamentalistami, którzy potrzebują pieniędzy do zdemontowania potężnego rosyjskiego niszczyciela, także nie figurującego już w oficjalnej dokumentacji, i ponownego zmontowania go w małej rybackiej wiosce w Afryce Północnej. Kiedy bohater, będący kierownikiem w międzynarodowym banku, odkrywa, że ten zamaskowany statek znajduje się w drodze do Nowego Jorku, by wysadzić siedzibę ONZ-tu, wpływając na East River, postanawia polecieć do Afryki Północnej, gdzie spotyka kobietę niesamowicie podobną do jego żony. Zaczyna wierzyć, że to właśnie ona, lecz ona utrzymuje, że nie mówi po angielsku, w związku z czym on musi rozwiązać jej zagadkę i odnaleźć okręt.

Bryce kiwnął głową. Nie przeczytał tekstu po raz drugi, od jakiegoś czasu już tego nie robił. Sięgnął jedynie na tył biurka, gdzie stało w połowie pełne pudełko na pięćdziesiąt dyskietek. Wyciągnął nową i włożył ją do stacji, po czym nacisnął „Plik”, przeciągnął kursor w dół i kliknął na „Zapisz jako”, a następnie na polu „Nazwa pliku”, gdzie wpisał „Kirgistan”. Wszystkie te czynności wykonywał automatycznie, praktycznie o nich nie myśląc, choć w tej chwili nie myślał właściwie o niczym.

Po wpisaniu nazwy pliku wybrał stację dysków jako miejsce zapisu i wcisnął „Enter”, by zachować streszczenie opowieści na dyskietce. Następnie przeszedł z powrotem do zakładki „Plik” i wyłączył dokument. Wyciągnąwszy dyskietkę ze stacji, nakleił na nią nową etykietę, napisał „Kirgistan” i wsunął na półkę zawieszoną nad biurkiem, gdzie leżało ich o wiele więcej.

Każda miała własną etykietę, na której widniała inna nazwa i na każdej znajdowało się krótkie streszczenie. Oczywiście wszystkie te pliki, plus setki innych, zmieściłyby się na jednej dyskietce i każdy normalny człowiek tak by je zapisał, ale Bryce wierzył, że prędzej czy później wróci do jednego lub kilku z tych pomysłów, by wzbogacić go o kolejne szczegóły. Korzystał z niewyczerpanego źródła dyskietek, czemu więc nie zadbać o widoczny dowód jego dokonania?

A teraz nadszedł czas na zakupy.

Ostatnio praktycznie każdego dnia rano wymyślał nowy załazek fabuły, po czym wyruszał na zakupy. Jeździł do różnych sklepów i przechadzał się po nich długo, czekając, aż zagadnie go jakaś kobieta. Dwukrotnie sam próbował podejść do nieznanym, ale za każdym razem reagowały tak negatywnie i wrogo, że szybko dostrzegł bezcelowość takiego działania. Musiał czekać, aż któraś podejdzie do niego, tyle że póki co żadna nie podeszła.

Od czasu do czasu jeździł też w stronę Amenu, szukając skrzynki na listy z nazwiskiem „Rierdon”, ale na razie jej nie znalazł. Albo nie dostrzegł, jeśli minął ją raz czy dwa.

Nie kwestionował swoich działań. Nie oglądał się na przeszłość bardziej niż na strzępy historii pozapisywanych na dyskietkach. Wiedział, że któregoś dnia w jednym z tych sklepów jakaś nieznaną go zagadnie i że wtedy wszystko się poprawi – wyostri, stanie jaśniejsze, lepiej zdefiniowane.

Pod koniec lutego zadzwonił do niego ktoś od Price'a-Cathcarta, zarządców budynku w Nowym Jorku, z informacją, że udało im się znaleźć nowego lokatora do jego starego mieszkania. Najemca nie chce jednak zatrzymać pozostawionych tam mebli, mówili, czy chciałby pan kogoś po nie przysłać, czy wolałby pan, żeby sami się ich pobylili? Niech się ich sami pozbywają, odpowiedział Bryce i więcej o tym nie myślał, a teraz był już marzec i długa nowoangielska zima powoli odpuszczała.

W jego życiu w zasadzie wszystko dobrze się układało, i to lepiej niż kiedykolwiek. Teraz, gdy mieszkał na wsi na stałe, zaprzyjaźnił się bliżej z innymi ludźmi, którzy spędzali tam prawie cały swój czas. Było ich więcej, niż podejrzewał. Podobało mu się przebywanie między ludźmi bogatymi zarówno w pieniądze, jak i wolny czas, mającymi pracę, która nie wymagała codziennego dojeżdżania do miasta, a oni z radością powitali go w swym gronie.

Prowadził teraz – szczególnie w weekendy – bardziej aktywne życie towarzyskie. Zrozumiał, że część ludzi, których tu znał, ani trochę nie lubiła Lucie, w rezultacie czego zaproszenia na kolacje i przyjęcia przychodziły do niego rzadziej, niż mogły. Teraz jego kalendarz był wypełniony tak, jak sobie tego życzył, a ponieważ nie skupiał się jeszcze na pisaniu nowej powieści, miał więcej wolnego czasu niż zwykle. Jedyna praca, jaką ostatnio wykonywał, polegała na tworzeniu każdego ranka zarysów fabuł, na które nigdy nie zerkał po raz drugi.

Czasami na przyjęciach w domach znajomych spotykał interesujące kobiety, rozwiedzione lub po prostu wolne, i choć zdarzało mu się flirtować czy żartować, nie miało to żadnych konsekwencji. Nie był gotowy na nowy związek, a poznawanie tych kobiet przez znajomych w niczym nie przypominało spacerowania po sklepach. W sklepach poszukiwał Marcii Rierdon, kolejnej Marcii Rierdon, a to było coś zupełnie innego. Z kobietami, które spotykał na przyjęciach, mógłby się zacząć umawiać, kiedy znów będzie gotowy, ale nie był, więc nic z tego nie wynikało.

Próbował się raz dodzwonić do Isabelle, na początku marca, lecz okazało się, że jej numer jest nieaktualny, a żadnego innego nie podała. Zadzwonił więc do agencji reklamowej, w której pracowała, gdzie poinformowano go, że Isabelle odeszła na początku stycznia i nikt nie wiedział, dokąd. Z powrotem do Hiszpanii, by walczyć o dzieci? A może wciąż mieszkała w Nowym Jorku, w innym domu, z nową pracą?

Nie było sposobu, by ją wytropić. Przez jakiś czas gryzł się z tego powodu, czując, że miał szansę na spokojne, dobre życie, ale gdzieś po drodze popełnił błąd, poniósł porażkę. Teraz jednak niczego nie dało się już zrobić.

W drugą środę marca, po zapisaniu na dyskietce pomysłu o nazwie „Kirgistan”, jak zwykle pojechał na zakupy. Nie zaczepiła go żadna nieznajoma, a kiedy wrócił, z boku podjazdu, by zapewnić dostęp do garażu, stał dziwny, ciemnobrązowy, niemal czarny samochód – kilkuletni, niewielki zakurzony chevrolet z paroma starymi wgnieceniami, które wyklepiano i zamalowano. Otaczała go aura bezpośredniości i efektywności, jakby kierowca w ogóle nie dbał o styl, a jedynie o wykonanie zadania, ale ani w samochodzie, ani w zasięgu wzroku Bryce'a nikogo nie było.

Wdusił przycisk pilota i brama garażowa zaczęła się unosić. Kiedy wjeżdżał powoli do środka, kątem oka zauważył ruch po lewej – ktoś wyszedł z za rogu domu, ktoś w ubraniu równie ciemnym, co samochód.

Bryce zatrzymał bmw, zgasił silnik i wydostał się na zewnątrz. Zostawiając nieliczne zakupy na siedzeniu pasażera, wyszedł z garażu i zobaczył zmierzającego w jego kierunku detektywa Johnsona. Na twarzy funkcjonariusza malował się uśmiech, ale Bryce mu nie ufał.

– Piękna okolica – powiedział Johnson. – Naprawdę urocze miejsce.

– Dziękuję – odparł Bryce. – Nie spodziewałem się tu pana.

Johnson wyciągnął rękę. – To tylko grzecznościowa wizyta.

– Grzecznościowa wizyta? – powtórzył Bryce, uściskawszy mu dłoń.

– Dokładnie rzecz biorąc, raport z postępów – wyjaśnił Johnson i wzruszył ramionami, uśmiechając się do siebie smutno. – Których nie ma wcale.

– Żadnych postępów. To znaczy w sprawie Lucie. – Po raz pierwszy od kilku miesięcy Bryce wymówił to imię na głos. Z przyjemnością stwierdził, że nie wpłynęło to na niego w żaden sposób.

– Oczywiście, w sprawie pani Proctorr – potwierdził Johnson. – Próbowałem dzwonić do Nowego Jorku, ale poinformowano mnie, że oddał pan tamto mieszkanie.

– Było na Lucie – wyjaśnił Bryce. – Umowa najmu. Chciałby pan wejść?

– Jeśli nie przeszkadzam...

– Nie, nie, proszę. Tędy, jeśli nie ma pan nic przeciwko, przyjechałem z zakupami.

– Jasne, nie ma sprawy.

Przeszli przez garaż, gdzie Bryce wyciągnął z auta plastikowe torby z zakupami i zamknął bramę. W kuchni zapytał: – Ma pan ochotę na kawę?

– Wie pan co, dlaczego nie. Chwilę się tutaj jedzie. I z powrotem.

– Może pan powiesić płaszcz w szafie – powiedział, rzucając własny na stół.

Johnson odłożył jednak na bok płaszcz, pod którym nosił ciemnoszarą marynarkę, ciemnoszare spodnie i granatową koszulę.

Porządkując zakupy, Bryce z zaskoczeniem zauważył, jak wiele produktów zdążył tu zgromadzić. Kupując kilka rzeczy każdego dnia, mieszkając samotnie i nie zużywając ich zbyt wiele, miał teraz cztery identyczne, nienapoczęte słoiki majonezu, siedem puszek kawy, sześć pudełek ryżu i tak dalej. Zakłopotany, bojąc się, że Johnson dostrzeże te wszystkie nadprogramowe rzeczy i w jakiś sposób wydedukuje, co to oznacza, zostawił w połowie pełną torbę na blacie kuchennym i powiedział: – Zajmę się tym później. Najpierw kawa.

– Ładnie się pan tu urządził, naprawdę bardzo ładnie – zauważył Johnson.

– Dziękuję. – Bryce zajął się kawą. – Proszę, niech pan usiadzie na stołku.

– Dzięki. – Zajawszy miejsce przy wyspie kuchennej, niczym klient przyklejony do baru, Johnson powiedział: – Więc już nie ma pan mieszkania w mieście.

– Nie. Nie potrzebowałem go.

– Zazdroszczę panu. – Johnson uśmiechnął się szeroko. – Domyślam się, że księgowy informował pana, że sprawdzaliśmy pańskie rachunki.

Bryce był zaskoczony. – Sprawdzaliście rachunki? Nie, nic mi nie mówił. Co dokładnie ma pan na myśli?

– Dostaliśmy nakaz sądowy sprawdzenia pańskich wydatków – wyjaśnił Johnson. – Poinformowaliśmy o tym pańskiego księgowego, pana Steinera. Zwykle księgowy przekazuje takie informacje klientowi.

– Najwyraźniej nie chciał mnie stresować – odparł Bryce.

– I pewnie zdawał sobie sprawę, że nie trafimy na nic podejrzanego.

– Kiedy to było?

– W grudniu, przed samymi świętami.

A więc dwa tygodnie przed wypłatą należności za Dwie twarze i dużym przelewem dla Wayne'a, pomyślał Bryce. – Chcieliście się upewnić, czy nie zapłaciłem komuś za zamordowanie Lucie...

– Oczywiście – powiedział Johnson. Nie wydawał się zakłopotany faktem, że otwarcie to przyznaje. – Przecież pan wie, że musi pan być głównym podejrzanym.

– Cóż, mąż.

– Który na dodatek w dogodnym momencie znikł z miasta.

– Nie było w tym nic dogodnego – zapewnił go Bryce – ale rozumiem, o co chodzi.

– Więc musieliśmy pana sprawdzić. To też pan na pewno rozumie.

– Oczywiście.

– Nie robił pan żadnych niespodziewanych wypłat ani przelewów, nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

– A zatem mam czysty rachunek – stwierdził Bryce.

– Niekoniecznie – odpowiedział Johnson. – Nikt nie zabił pańskiej żony za pieniądze, ale zawsze istnieje szansa, że zrobił to z miłości. Kawa była gotowa.

– Z miłości? – zapytał Bryce. – Nie nadażam. Jaką pan pije?

– Czarną.

Bryce nalał do kubków kawy, do jednego dodał śmietanki, a drugi podał Johnsonowi.

– Miał pan w tamtym okresie kochankę – przypomniał mu Johnson. – Panią de Fuentes. Kiedy pan był poza miastem, ona mogła zaaranżować morderstwo dla pana, a nawet sama to zrobić.

– Isabelle? – powiedział zdumiony Bryce. – Ale Lucie pobito na śmierć!

– Przy pomocy niewielkiego stolika. Kobieta byłaby w stanie to zrobić. Nie stwierdziliśmy też śladów napaści seksualnej.

– Isabelle nie mogłaby... Pan chyba nie... Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Na tym polega moja praca. Na wyobrażaniu sobie każdej możliwości. Sprawdzaniu każdej możliwości.

– Ale Isabelle... Chodźmy do salonu.

– Jasne.

Johnson wstał i ruszył za Bryce'em przez szeroki hol obwieszony obrazami do jadalni i dalej do długiego salonu.

– Ja też sprawdziliśmy, na wszelki wypadek – mówił po drodze.

– Była wtedy w kinie ze znajomymi, więc ma alibi. I nie znaleźliśmy niczego dziwnego w jej finansach.

– Sprawdzaliście też jej finanse?

– Oczywiście – odparł Johnson. Bryce wskazał mu miejsce i obaj usiedli. – Jakies dwa miesiące temu, na początku stycznia.

– Poszedł pan do jej księgowego...

– Nie, nie miała księgowego, nie takiego jak pan. Tylko kogoś, kto co roku zajmował się jej podatkami. Więc udaliśmy się prosto do niej, poprosiliśmy, żeby pokazała nam książeczkę czekową i konto osobiste.

– Och, biedna Isabelle...

– Zniosła to naprawdę dobrze – powiedział Johnson.

– Ale... Co pan sobie wyobrażał? Że to ona zapłaciła komuś za zabicie Lucie? Po co?

– Może to była pożyczka – zasugerował. – Spłaciłby ją pan, kiedy sprawa przycichnie.

– Nawet bym nie wpadł na taki pomysł – zapewnił go Bryce.

– Jak już mówiłem, na tym polega moja praca, muszę wpadać na takie pomysły, takie i wiele innych, a potem je sprawdzać. – Johnson wziął łyk kawy. – Naprawdę dobra.

– Dziękuję.

– W każdym razie nic nie znaleźliśmy, a pani de Fuentes dobrze to zniosła.

Po czym odeszła, pomyślał Bryce. Uciekła ode mnie, od Johnsona i od całej sprawy tak daleko, jak to tylko możliwe. – Kto jeszcze został?

– zapytał. – Moja była żona?

Johnson zaśmiał się cicho. – Nie, i pańskie dzieci też nie. Rozejrzeliśmy się wokół nich... Nie, nie, proszę się nie denerwować, nie wiedzieli, że ich sprawdzamy.

Nagle Bryce przypomniał sobie o rozmowie z Ellen, gdy się do wszystkiego przyznał, ojej natychmiastowej, instynktownej reakcji, by chronić dzieci, i teraz zrozumiał, że miała całkowitą rację. – Naprawdę lubią sobie panowie pogrzebać, co?

Johnson wzruszył ramionami. – Taka praca. Tak czy inaczej mój raport brzmi następująco: nie mamy żadnego cholernego tropu. Nie poddamy się,

rozumie pan, my się nigdy nie poddajemy, ale w obecnej chwili brakuje nam już nowych teorii.

Nawet mnie nie pyta o historyjkę, którą wcisnął mu Wayne – pomyślał Bryce. Ją też musiał kupić.

– I zamierzacie upublicznić sprawę – powiedział.

Johnson spojrział na niego zaskoczony i zaśmiał się. – Skąd pan wie?

– Szukałem kiedyś informacji potrzebnych do książki – wyjaśnił Bryce.

– Nowojorska policja nigdy nie zamyka sprawy, dopóki nie znajdzie się winny. Jeśli jednak kończą się wam tropy, upublicznicie sprawę, upublicznicie i zamrażacie. Przechodźcie do innych rzeczy, do nowszych spraw, chociaż zawsze jesteście gotowi wrócić do starej, kiedy na jaw wychodzą nowe fakty.

– Zgadza się.

– Jak na przykład to, że wyprowadziłem się z Nowego Jorku.

Johnson znów się zaśmiał. – Przejrzał mnie pan na wylot.

– Jak wszystko, co zrobię i co choć trochę odbiega od normalnych wzorców – ciągnął Bryce. – Zauważycie to i zadacie sobie pytanie: o co może w tym chodzić? I właśnie dlatego przyjechał pan tutaj... To policyjny samochód, zgadza się?

– Tak. Trudno je zamaskować.

– Przyjechał pan tutaj wysłuchać mojej wersji wydarzeń. A moja wersja brzmi tak, że mieszkanie w Nowym Jorku było wynajmowane na nazwisko Lucie, ona je urządziła, należało do niej, meble należały do niej, wszystko mi ją przypominało. Powiedzieli mi, że muszę podpisać nową umowę albo zdać to mieszkanie, więc je zdałem. Nie mam codziennej pracy, przez którą musiałbym jeździć do miasta, a tu mi się podoba. To jest moje miejsce.

– To widać – stwierdził Johnson. Dopił kawę i odstawił kubek na podkładkę na końcu stołu. – Mógłbym panu zadać pytanie?

Bryce niespodziewanie dla samego siebie wybuchł śmiechem. – Przecież tylko to robicie! – powiedział.

– Pewnie tak, ale tym razem chodzi o coś innego. Zdaję sobie sprawę, że pan i pańska żona przechodziliście trudny rozwód i mniej więcej przez ostatni rok mieliście do siebie mnóstwo pretensji. Zastanawiam się, co pan teraz czuje. Czy chciałby pan, żeby jej mordercę spotkała sprawiedliwość?

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł Bryce. – Podjąłem złą decyzję, postanawiając się z nią ożenić, i dobrą, kiedy odszedłem, a cały ten rozwód to było jedno wielkie piekło i musiałbym być hipokrytą, by powiedzieć, że żałuję jej śmierci. Nie zrobiłoby mi różnicy, gdyby zginęła w katastrofie lotniczej albo w napadzie na bank. Pan chce odnaleźć zabójcę, bo to pańska praca, jej rodzice chcą go odnaleźć...

– Często się odzywają – przyznał Johnson.

– Bez wątpienia. Chcą znaleźć faceta, boją kochali. Ale to nie jest moja praca i ja nie kochałem Lucie, już nie, więc wszystko mi jedno. Mam nadzieję, że go pan znajdzie, to pewnie ważne dla pańskiej satysfakcji zawodowej, ale jeśli chodzi o mnie, mam to gdzieś.

– Widzę, że wali pan prosto z mostu. Dziękuję za odpowiedź i kawę. – Johnson wstał. – Jeśli będę się jeszcze z panem kontaktować, to z powodu ważnych wiadomości, a nie po to, by panu przypomnieć, że utknąłem.

– Dobrze.

Bryce także wstał i razem wrócili do kuchni, gdzie detektyw zostawił płaszcz.

Johnson skinał w stronę nierozpakowanej torby z zakupami. – Prawdziwy z pana domator.

– Fakt.



Uścisnęli sobie ręce przy drzwiach, po czym Bryce wrócił do salonu i przez okno patrzył, jak brzydki mały samochód wycofuje spod garażu i zawraca na okrągłym podjeździe.

Czy Johnson wreszcie dał za wygraną? I czy tym razem to naprawdę koniec? Cieszył się, że Mark Steiner nie wspomniał mu o kontroli finansów, lecz musiał dać mu znać, że sam się dowiedział i że docenia jego milczenie, a teraz wszystko jest w porządku. A przynajmniej wyglądało na to, że jest. Gdy wrócił do kuchni, jego wzrok znów padł na górę niepotrzebnych produktów. Otworzył drzwiczki szafki i stał tak, gapiąc się na wszystkie rzeczy i zachodząc w głowę, jak to możliwe, że nigdy wcześniej ich nie zauważył, dopiero teraz, przy detektywnie Johnsonie. Po jakimś czasie, nie tknąwszy nawet zakupów, poszedł do biura. Usiadł przed klawiaturą, po czym napisał:

Robiłem coś bardzo głupiego i niebezpiecznego i czas to zakończyć. Co by było, gdybym jednak odnalazł Marcię Rierdon? Albo jakąś inną kobietę? Znów bym uciekł, wiem, że bym to zrobił, jestem tego niemal pewien, ale po drodze mógłbym wpaść w poważne kłopoty. Z Johnsonem, który wciąż mnie obserwował.

Co mi się niby wydawało? Że zabiję Marcię Rierdon? Nawet gdybym to zrobił, to by nie było to samo, prawda? Nie byłoby. Niczego by to nie rozwiązało, wcale bym nie czuł, że tam jestem, a oni by mnie wytropili, w jakiś sposób udałoby im się do mnie dotrzeć.

Cieszę się, że Johnson tu przyszedł. Teraz zrozumiałem, na jak głęboką wodę wypłynąłem, jak niewiele brakowało, bym utonął. Czas to zakończyć.

24

Wayne zaczął biegać. Z Central Parkiem za oknem wydawało się zbrodnią, by tego nie robić. Rano pracował przy komputerze – teraz, kiedy redaktorzy magazynów zdążyli go poznać, dostawał od nich zlecenia – zaś przed lunchem wychodził biegać i zwykle jadł coś w parku albo gdzieś w okolicy. W ten drugi piątek marca wracał jednak na lunch do domu, ponieważ Susan wzięła dzień wolny. Na jutrzejszy wieczór zaplanowali pierwsze przyjęcie w nowym mieszkaniu. Zaprosili sześć osób, w tym Joego i Shelly Katzów, co według Susan było wielkim wydarzeniem, w związku z czym już rano wyszła na zakupy. Po południu zamierzała zająć się pierwszymi przygotowaniami i dokończyć wszystko następnego dnia.

Wayne nie ustalił jeszcze swojej trasy w parku, dopiero poznawał to miejsce i biegał w różnych kierunkach, wciąż odnajdując skryte między głazami zakątki, niskie pagórki, różne gatunki drzew i rozległe polanki. Zwykle rozmyślał o artykule, nad którym właśnie pracował, albo nad tymi, którymi dopiero planował się zająć, jednak tego ranka głowę zaprzętał mu Joe i Shelly Katz, bo jutro wieczorem miał się z nimi spotkać. Jak dziwnie się wszystko ułożyło. Liczył, że Joe zostanie jego redaktorem, a tymczasem został przyjacielem, a teraz jeszcze on i jego żona żyli w starym mieszkaniu Wayne'a na Perry Street.

Przypomniał sobie, jak w lutym razem z Susan jedli w sąsiedztwie kolację z Joem i Shelly. Powiedział wtedy Joemu, że on i Susan postanowili wynająć stare mieszkanie Bryce'a w Central Park West i że czuł się z tym niezręcznie.

– Susan po prostu się w nim zakochała – powiedział.

– To prawda – przyznała Susan.

– Tylko że nie wiem, jak powiedzieć o tym Bryce'owi – ciągnął Wayne.

– Szczerze mówiąc, jeśli tylko będę mógł tego uniknąć, to nic mu nie powiem.

– Dlaczego nie? – zapytał Joe. – Przecież nie chciał tego apartamentu, wyprowadził się, dlaczego miałoby go obchodzić, kto tam zamieszka?

– Nie wiem – odparł Wayne – po prostu dziwnie się z tym czuję. Jak kukulka w gnieździe innego ptaka, rozumiesz?

– Nie przejmuj się tym – poradził mu Joe. – Gdyby było mnie stać, sam wynajęłbym to miejsce. Gdyby to było Greenwich Village. Potrzebujemy więcej przestrzeni.

– Bez wątpienia – powiedziała Shelly.

Chodziło o to, tłumaczyła z Joem, że razem z dwoma synami, Joshua i Samem, jedenaście i dziewięć lat, gnieździłi się w zbyt małym mieszkaniu, do którego wprowadzili się zaraz po ślubie, jako para bez dzieci. A teraz Shelly pracowała jako programistka, głównie w domu, pomagając klientom zakładać strony internetowe, zwiększając ich oglądalność i tak dalej, co wiązało się z koniecznością wciśnięcia mnóstwa sprzętu w kąat sypialni. Potrzebowali większego mieszkania, ale nie chcieli się wyprowadzać z West Village, a jak dotąd pomimo wieloletnich poszukiwań nie udało im się niczego znaleźć.

Mieszkanie Wayne'a i Susan odpowiadało im idealnie. Wayne dobrze się dogadywał z właścicielami budynku, starszą parą pochodzącą z Włoch, która mieszkała na parterze, więc nowa umowa została sporządzona bez problemów i z niezbyt dużym wzrostem czynszu. Rankiem pierwszego marca Wayne, Susan i samochód dostawczy pojechali z Perry Street na północ, a tego samego dnia po południu Joe, Shelly i samochód dostawczy przyjechali tam z Zachodniej Czwartej Ulicy.

Od czasu do czasu Wayne zastanawiał się, czy nie pokazać Joemu części maszynopisu Bratniego widma, tylko po co? Jedyne, co by z tego wynikło, to zakłopotanie Joego, który musiałby pochwalić książkę i mimo to ją odrzucić. Po co więc zawracać sobie głowę? Niech tekst spoczywa tam, gdzie jego miejsce, niedoceniony i niedokończony.

W pewnym sensie zresztą Wayne zdążył już splądrować porzucony pomysł, wykorzystując część przeprowadzonych badań i niektóre fragmenty, by napisać artykuł na temat ostatnich trzydziestu lat niepokoju panujących w Ameryce Środkowej. Porównywał w nim realny skutek wydarzeń z artystyczną interpretacją faktów zawartą w amerykańskich książkach i filmach, u podstaw których leżały rewolucyjne nastroje tamtejszego regionu. Tekst niebawem miał się ukazać w druku, Willard sprzedał go zaledwie tydzień temu. Widmo Bratniego widma.

Biegnąc, Wayne zobaczył po lewej boisko do koszykówki. Na obu jego krańcach po dwóch chłopaków grało jeden na jednego. Był jeszcze marzec, i to mroźny, ale wszyscy gracze mieli na sobie jedynie krótkie spodenki, koszulki i wielkie, niemal kosmiczne tenisówki, a mimo to lał się z nich pot. Po prawej stronie stała ławka, w tej chwili wolna, więc Wayne usiadł na niej, by złapać oddech i przyjrzeć się rywalizacji.

Jeden na jednego było grą dla dwóch, w której obowiązywały wszystkie zwykłe zasady koszykówki, lecz termin „gra zespołowa” przestawał obowiązywać. Żadnych partnerów, którym można podać albo dla których można blokować, nikogo do pozorowania ataku. Żadnych momentów wytchnienia i spokojnego biegania bokiem, kiedy inny zawodnik drybluje. Zamiast tego ciągły ruch, zero taryfy ulgowej, jeden człowiek z piłką, zwodzący, próbujący oddać czysty rzut, podczas gdy przeciwnik broni, blokuje, przytrzymuje, doskakuje, by ukraść piłkę, obaj z trudem łapią oddech, dają z siebie wszystko, walczą na granicy swych umiejętności.

Dwa pojedyńki, którym przyglądał się Wayne, nie były sobie równe – gracze po lewej radzili sobie o wiele lepiej i sprawniej niż ci po prawej. Wszyscy wylewali ostatnie poty, wszyscy walczyli, ale faceci po lewej poruszali się z twardą, płynną gracją, jak tancerze w połączeniu z zapaśnikami, podczas gdy ci po prawej partaczyli każde zagranie – sięgali zbyt daleko, źle stawiali kroki, obaj byli zbyt wolni, by wykorzystać błędy przeciwnika. Wyglądali niczym parodia graczy po lewej, ale walczyli równie serio, z równym zaangażowaniem i determinacją. I bez wątpienia

bawili się równie dobrze, a przecież właśnie o to chodziło. Pojedynki jeden na jeden nie były sportem, w którym grało się dla zespołu albo dla widzów, lecz wyłącznie dla siebie.

Siedząc na boisku i obserwując zmagania zawodników, Wayne poczuł to pisarskie świerzbienie, jakby już zakończył pisanie Bratniego widma i był gotów wziąć się za zupełnie nową historię, nowy zmyślony świat. Dwóch nieznanym facetów spotyka się w Central Parku i postanawiają zagrać jeden na jednego. Kim są naprawdę i jak ich życie zacznie wpływać na grę? Starcie współzawodnictwa i koleżeńskości; determinacja, by zwyciężyć, i przyjemność czerpana z samej gry.

Spojrzał w prawo wzdłuż ścieżki – Lucie szła w jego stronę. Zamrugał i rzecz jasna okazało się, że to nie ona. To nigdy nie była ona. Wysokie, szczupłe kobiety z burzą złotych włosów, ubrane w czerń i poruszające się krokiem, jakby świat należał do nich, nie należały w Nowym Jorku do rzadkości. Wayne widywał średnio jedną Lucie miesięcznie, choć oczywiście przy drugim spojrzeniu uwidaczniały się wszystkie różnice.

Na przykład ta. Spacerowała z inną kobietą, idąc lewą stroną ścieżki, tą, po której siedział Wayne, a kiedy ją zobaczył, śmiała się z odchyłoną głową. Gdy przestała się śmiać i spojrzała na koleżankę, zwracając do Wayne'a swój profil, już ani trochę nie przypominała Lucie. One nigdy jej nie przypominały.

Siedział tu zbyt długo, zaczynał marznąć. Poczekał, aż fałszywa Lucie przejdzie dalej, po czym wstał i pobiegł do domu.

Shelly Katz zasługiwała na miano wulkanu energii drzemającego w małym ciele. Była drobna i miała gęsto kręcone czarne włosy niemal tak splątane, jak włosy jej męża. Zresztą całe jej ciało wydawało się ciasno splątane, niczym jeden mieśnię gotowy, by zasprężynować, chociaż w towarzystwie okazywała się osobą spokojną, dowcipną i wyluzowaną. – Ciekawe, co też zdążyliście zmienić – powiedziała, gdy w sobotę wieczorem Wayne i Susan powitali ją w drzwiach.

– Póki co niewiele – odparła Susan.

Wayne pomógł gościom z płaszczami, a Shelly skinęła w stronę stolika, na którym Jorge, portier, zwykł zostawiać pocztę, kiedy nikogo nie było w domu.

– Czy on przypadkiem nie należał do Bryce'a? – zapytała.

Starając się brzmieć wesoło i swobodnie – chociaż znów poczuł to ukłucie niepokoju, jakby ktoś przyłapał go na zbrodni, której natury sam nie rozumiał – Wayne odparł: – Mamy tu sporo rzeczy Bryce'a. Zostawił je, kiedy się przeprowadził.

– Będziemy je wymieniać z biegiem czasu – wyjaśniła Susan – ale póki co pozwalają nam zapełnić mieszkanie.

Shelly spojrzała na nią skonsternowana. – Zostawił swoje meble?

– Uważał, że to rzeczy Lucie – powiedział Joe. – To ona umeblowała mieszkanie.

Wayne dotychczas nie myślał o tym w ten sposób, dla niego to były meble Bryce'a i odpowiadało mu życie w ich otoczeniu. – Bryce musiał mieć z nimi coś wspólnego. Z ich wybieraniem – stwierdził.

– Raczej z podpisywaniem czeku – odparł Joe.

W tym momencie odezwała się Susan: – Wayne, połóż płaszcze w sypialni, a ja przygotuję drinki.

– Jasne.

Wayne ruszył z płaszczami do sypialni, po raz pierwszy widząc, że wszystkie meble wokół i kolory ścian należały do Lucie, a nie do Bryce'a. Poczuł się dziwnie, nieswojo. Ten duch już go nie nawiedzał, odszedł, a jeśli nawet czasem go widywał, tak jak wczoraj w parku, to brakowało mu mocy, by go wystraszyć. Ale meble? Meble Lucie? Jakby nagle wylądował na terytorium wroga.

W sypialni wszystko było ich własne, kupione na Perry Street. Biuro, cały wystrój biura należał do niego, wszystko poza skórzanym fotelem i obrotowym stojakiem na książki. W jadalni nie zostało nic po Lucie. To w salonie i w kuchni, i w łazience, i w pokoju dla gości, na tarasie i w długim przedpokoju unosił się duch Lucie Proctorr, jak gęsta mgła, której nie widać.

Gdzie Joe i Shelly spędzą następną godzinę przed kolacją? – zastanawiał się Wayne. W salonie, tam, gdzie spędzili z Bryce'em i Lucie tyle czasu, na tych samych kanapach, przy tym samym stoliku kawowym i tych samych lampach. Nawet zasłony wisiały tak samo, jak w dniu, gdy się tu wprowadzili, obramowując widok parku.

Stwierdził, że nie chce wychodzić z sypialni, nie chce iść do salonu, jakby czekały tam na niego rozwarte szczęki, jakaś pułapka. Albo jaskrawe światło, które ukazałoby Joemu Katzowi prawdę o jego duszy – niczym portret Doriana Graya. Wszyscy nosimy w sobie taki portret, nieprawdaż, zamknięty na tajemniczym stryszku niedostępnym dla wzroku innych.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz wyraźnie widział Lucie oczami wyobraźni – kpiący wzrok, lekko wykrzywione usta i uniesioną głowę matadora, gdy zapytała: „Czy Susan była dobra w łóżku?”. Ostatnie słowa, jakie w życiu wypowiedziała.

Dzwonek przy drzwiach odwrócił jego uwagę. Stał pośród czterech ścian swojej sypialni, w tym dziwnie cudownym, nowym miejscu. Wyszedł, by zająć się obowiązkami gospodarza. Teraz to był jego dom.

Przy kolacji Wayne siedział pomiędzy Shelly a kobietą o imieniu Ann, której mąż pracował z Susan. Znów otaczały go jego własne meble, a proste, dobrze znane rytuały rozmowy przy posiłku dodawały mu otuchy. Dopiero gdy po kolacji przeszli do salonu, gdzie usiadł obok Joego, Joe rozejrzał się i powiedział:

– Muszę ci się przyznać, że dziwnie się tutaj czuję. Bez Bryce'a i Lucie, ale z tymi wszystkimi znajomymi rzeczami. Cały czas mam wrażenie, że za chwilę wejdą do pokoju. To znaczy przynajmniej on...

– To mieszkanie jest większe od naszego starego – wytłumaczył Wayne.

– Zbyt duże na tych kilka rzeczy, które przywieźliśmy, a reszta mebli była tu od początku. Ale Susan ma rację, musimy je wymienić. Kilka rzeczy może cię zainteresować...

Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ponieważ teraz my przenieśliśmy się do większego mieszkania? Nie wydaje mi się, Wayne.

– Chodzi mi o jedną konkretną rzecz – ciągnął Wayne. – Przeniosłem tutaj meble ze swojego biura, a Bryce kilka zostawił, przez co zrobiła się tam graciarnia. Został po nim między innymi ładny obrotowy stojak na książki, drewniany, wygląda na drogi, aleja go nie potrzebuję. Chciałbyś go obejrzyć?

– Nie, pamiętam go – odparł Joe. – Lucie podarowała go Bryce'owi pod choinkę trzy albo cztery lata temu. Nie zabrał go ze sobą? To ciekawe.

– Ja go nie chcę – powtórzył Wayne. – Pomyślałem, że może ty byś chciał.

Joe potrząsnął głową z raczej smutnym, nostalgicznym uśmiechem. – Należałem do konspiracji, kiedy przeszmygłowaliśmy go tutaj bez wiedzy Bryce'a, żeby miał niespodziankę na Boże Narodzenie.

– Och...

– Wiesz co, Wayne – mówił Joe – raz na jakiś czas odżywa we mnie stare wspomnienie, coś, o czym nawet nie pamiętałem i co nigdy nie wydawało mi się ważne. Ten stojak... Teraz, kiedy o nim myślę, wydaje mi się, że on się Bryce'owi wydawał nieco przesadzony. Zbyt ostentacyjny, rozumiesz? Wydaje mi się, że nigdy za nim nie przepadał.

– I dlatego go zostawił.

– Ale on wciąż przypomina o szczęśliwych chwilach – powiedział Joe. – O chwili, którą spędziliśmy w tym pokoju. Siedziałem wtedy na kanapie,

właśnie tutaj. Zwykle w tamtym kącie stawiali choinkę. Kiedy Lucie z czegoś się cieszyła, klaskała w dłonie jak mała dziewczynka. Mało brakowało, a Wayne'owi wymknęłoby się bezmyślnie: „Nigdy nie widziałem, żeby tak robiła”. Zamiast tego stwierdził: – Pewnie było im razem dobrze, zanim nadeszły złe czasy. Większość rozwiedzionych par może to powiedzieć.

– Och, pewnie – Joe kiwnął głową i zerknął w pusty kąt, który należał do choinki. – Tylko że teraz prawie widzę, jak Lucie klaszcze, kiedy Bryce odkrywa ten wielki słup owinięty w złoty papier, schowany za choinką, wierz mi lub nie.

Złoty papier, akurat w to Wayne potrafił uwierzyć. – To musiały być wspaniałe święta – powiedział.

– Gdybym był tobą, Wayne, zabrałbym ten stojak, ma własne kółka, zabrałbym go do windy towarowej i wystawił na chodnik. To jest właśnie piękne w Nowym Jorku, wiesz? Gdybyś wystawił coś na ulicę gdziekolwiek indziej, stałoby tam miesiącami albo wlepiliby ci mandat za zaśmiecanie. W Nowym Jorku możesz wystawić cokolwiek, na Czwartej Zachodniej widziałem składaną kanapę, musiała być długa na jakieś dziesięć stóp. Zniknie za dwadzieścia minut, nieważne, co to jest. Oto cały Nowy Jork.

Wayne zrozumiał, że dla Joego w Nowym Jorku wszystko wokół było unikalne; zwariowany, ale dobroduszny człowiek. – Masz rację – powiedział.

– Wystaw ten stojak – poradził mu Joe. – Po dwudziestu minutach będzie w drodze na Queens.

– Chyba tak zrobię.

25

Kolejna środa, tydzień po wizycie detektywa Johnsona, a Bryce nadal trwał przy nowym reżimie. Już nie grasował po sklepowych alejkach, ograniczył się wyłącznie do krótkich wypadów po produkty codziennego użytku oraz „Timesa”, który się zresztą do nich zaliczał. Spędzał większość dnia przed domem, naprawiając szkody poczynione przez zimę i szykując się do nadejścia wiosny. Czuł się lepiej, jakby przetrwał wyczerpujący wysiłek fizyczny, głodówkę trwającą tak długo, że człowiek zaczyna ją traktować jako nieodłączny element życia, a kiedy wreszcie może z nią skończyć, z ulgą powraca do normalności.

Przestał także wymyślać nowe historie. Nie wiedział, ile ich do tej pory stworzył, ale na półce nad monitorem komputera zalegała spora sterta dyskietek. Nie pamiętał żadnego z tych pomysłów, czuł jednak, że gdy tylko wróci do biura, powinien wszystkie przejrzeć i wybrać jeden, po czym w końcu zabrać się za pisanie.

Ale jeszcze nie teraz. Teraz zależało mu wyłącznie na pracy fizycznej za dnia i oglądaniu kaset ze starymi filmami wieczorem, po kolacji, którą sam sobie odgrzewał. W weekendy nadal dostawał mnóstwo zaproszeń na spotkania towarzyskie, więc z pewnością nie stawał się żadnego rodzaju pustelnikiem.

Kiedyś mieszkał w tym domu tylko w miesiącach letnich i nie był świadomy jego odrębności jako autonomicznego bytu. Teraz fascynowało go zmienne piękno krajobrazu i o wiele większą uwagę zwracał na drobne zmiany pogody niż wtedy, gdy mieszkał głównie w Nowym Jorku. Uwielbiał tu być, pracować pośrodku kawałka własnej ziemi.

Zawsze zabierał ze sobą komórkę z bmw, gdy szedł pracować w ogrodzie. Telefon zadzwonił w środę po południu, kiedy wykopywał dziurę na wspornik w rogu ogrodzenia otaczającego basen. Zwykle zlecał takie zadania Greggowi, facetowi od trawnika, albo innej złotej rączce z okolicy, ale ostatnimi czasy samodzielne wykonywanie takiej pracy sprawiało mu przyjemność.

Zostawił narzędzia przy wykopanej do połowie dziurze, ściągnął rękawice robocze i odebrał zaraz po drugim sygnale. – Słucham.

- Bryce? Tu Joe. Jak ci idzie?

- Och, w porządku. - Ostatnio Bryce powrócił do starej tradycji raczenia Joego zdawkowymi kłamstwami na temat domniemyanych postępów w pisaniu. - Powoli, ale do przodu.

- To świetnie, ale nie dzwonię po to, żeby cię zadręczać, a przynajmniej nie przede wszystkim...

- Nie zadręczasz mnie, Joe - skłamał. - A poza tym potrzebuję tego.

- Bardzo talmudyczne w duchu - zaśmiał się Joe. - Dzwonię, bo chcę porozmawiać na temat Dwóch twarzy i promocji.

- Aha, jasne. - Dwie twarze w lustrze miały wyjść w czerwcu, czyli już za trzy miesiące.

- Po pierwsze, trasa promocyjna.

- Tylko jeśli naprawdę muszę - powiedział Bryce. - Dobrze wiesz, że wolę wywiady telefoniczne.

- Możesz to omówić z Ricki Sussman - poradził mu Joe, mając na myśli szefową działu promocji Pegasusa. - Odezwie się do ciebie.

- Ricki jest zadowolona tylko wtedy, gdy wie, że właśnie siedzę w samolocie.

- Obgadaj to z nią - powtórzył. - Mnie w to nie mieszaj. Druga sprawa - ludzie z „New York Review of Books” chcą zrobić z robą wywiad.

- „Review of Books”? Czy oni nie są dla mnie odrobinę zbyt... akademicy?

- Od dawna nie wydałeś żadnej książki - wyjaśnił Joe - a jesteś częścią kultury, współtworzysz ducha czasów. Nie zamierzają cię poniżyć, po co miałbyś wówczas udzielać tego wywiadu?

- Innymi słowy, nie będzie go przeprowadzać wielki Gore Vidal.

Joe znów się zaśmiał. - Nie, dostaniemy kogoś poleconego.

- Czasami wydaje mi się, że najgorszą częścią pisania jest wydawanie.

- Niektórzy uważają, że to druga najgorsza rzecz...

- Okej, niech ci będzie.

- Mamy mało czasu - ciągnął Joe - więc musimy zrobić ten wywiad jeszcze w tym miesiącu. U ciebie w domu, może być?

- Jasne, tak będzie najlepiej.

- Tak sądziłem. Dobrze, nie zawracam ci więcej głowy, nie chcę cię odciągać od nowej książki.

- To też nie jest dręczenie - zapewnił go Bryce, po czym rozłączył się i wrócił do wykopywania dziury.

Lucie pojechała z nim kiedyś w trasę promocyjną, tylko raz. Sześć miast w osiem dni. Między innymi Chicago, Houston i Seattle. A może San Francisco?

W każdym razie inicjatywa wyszła od niej, bo nastawiała się na cały ten splendor, na noce spędzane w hotelach, na to, że będzie wszędzie oprowadzana, jak lew, jak gruba ryba pływająca od sadzawki do sadzawki pełnej płotek. Tylko że później nastąpiło zderzenie z twardą rzeczywistością, która w ogóle nie przypadła jej do gustu, w związku z czym jeszcze bardziej skomplikowała Bryce'owi życie na trasie. Wyklócała się z pracownikami większości hoteli, uprzykrzała życie księgarzom - coś, czego nie należy robić - i ogólnie rzecz biorąc, na każdym kroku dawała upust niezadowolaniu.

Problem polegał na tym, że Lucie była przyzwyczajona do zainteresowania - zwykle mnóstwa, a jeśli nawet nie mnóstwa, to przynajmniej części zainteresowania ze strony osób przebywających w tym samym pomieszczeniu - ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, tego zainteresowania nie zostawało dla niej nawet odrobinę. Zdażyła się przyzwyczaić do popularności Bryce'a, a także do jego pieniędzy, lecz nie mogła zaakceptować faktu, że nagle stał się gwiazdą, że zużywał całe powietrze w pokoju, i ani trochę jej się to nie podobało. Dziennikarze prasowi i gospodarze telewizyjnych talk show, wszyscy fani i księgarze, każda osoba w każdym miejscu

skupiała całą uwagę na osobie stojącej po lewej stronie Lucie. Przez kilka następnych tygodni była jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle i już nigdy więcej nie zaproponowała Bryce'owi wspólnego wyjazdu w trasę. Może tym razem w ogóle nie będzie musiał wyjeżdżać. Wolałby tego nie robić, wolałby zostać w domu. Spoglądając w dół otworu w ziemi i myśląc o rygorach tras promocyjnych, uniósł narzędzie do wykopywania dziur za długie drewniane drągi tak wysoko, jak tylko sięgały jego ramiona, tak że dwie zakrzywione metalowe łopatkі całkowicie wyszły z dziury. Następnie wbił je mocno, czując, jak zbita gleba i drobne kamyki ustępują. Kiedy rozciągnął uchwyty, łopatkі się zamknęły, zbierając część luźnej ziemi. Wyciągnął narzędzie, przesunął je na bok i z powrotem złączył uchwyty, sprawiając, że ziemia wysypała się na kopiec na kawałku juty, po czym powtórzył całą operację, ponownie wbijając narzędzie w dziurę. Trafił w kamień. Metalicznemu klangowi towarzyszyło drżenie, które wspięło się po drewnianych dragach. Bryce poczuł, jak zawibrowały mu ręce, i nagle znów ją ujrzał, tę ciemną, klęczącą postać odwróconą do niego plecami, zadającą cios za ciosem. Tylko tyle, zgarbiona, uderzająca postać. Dlaczego nigdy nie widział Lucie? Zmienił pozycję, by złapać kamień z boku, zamiast znów w niego uderzać, i po raz kolejny wbił mocno narzędzie. Czy tak się wtedy czuł? Uniósł i wbił. Czy tak się wtedy czuł? Uniósł i wbił. Czy tak się wtedy czuł? Czy tak się wtedy czuł? Czy tak się wtedy czuł?

26

Wayne prawdopodobnie popełnił błąd, postanawiając wziąć to mieszkanie, ale Susan wydawała się tak zdeterminowana, że nie wiedział, jak się z nią kłócić. Tak naprawdę nawet nie chciał się kłócić, kiedy padła jej propozycja. Sama idea życia w mieszkaniu Bryce'a, wynajmowania tego mieszkania, mogła się co prawda pojawić w jego głowie, ale odrzuciłby ją jako krępującą i niewłaściwą. Tyle że pomysł wyszedł od Susan, i to w tak zdecydowany sposób, jakby nie miała najmniejszych wątpliwości, iż właśnie tak należy postąpić, a on mógł jedynie wesprzeć jej inicjatywę, odczuwając drobną, potajemną przyjemność.

A teraz już tu byli, z czynszem niemal czterokrotnie wyższym od tego, który zwykli płacić, i dużo mniejszymi dochodami. Susan wciąż miała swoją pracę, a Wayne najwyraźniej rozpoczął karierę publicysty, ale wciąż było to zbyt mało, by pozwolić im mieszkać w Central Park West. Musiałby sprzedawać trzy artykuły miesięcznie do kolorowych magazynów, by po podatkach zarobić na sam czynsz, a wiedział, że nie zdoła wypracować sobie takiego tempa. I chociaż Mark Steiner trzymał ich pół miliona dolarów, większość inwestując i co miesiąc przelewając na ich konto osobiste cztery tysiące, to źródło również w końcu wyschnie, i co wtedy? I dlaczego w ogóle dopuszczać do tego, by wyszło?

Gdyby nie problem pieniędzy, czerpałby przyjemność z nowej ścieżki kariery. Odkrył kolejną różnicę dzielącą pisanie książek i publicystyki – pisać dla magazynów, człowiek wiedział, że tworzy teksty, których nikt nie zapamięta, artykuły jednorazowego użytku znikające na zawsze po miesiącu; kiedy zaś pisał powieść, gdzieś z tyłu głowy pojawiała się myśl: a jeśli to będzie nieśmiertelna proza? Tylko spróbuj to sobie wyobrazić. Pewność, że pisze rzeczy o krótszym terminie przydatności do spożycia niż jogurt, pozwalała Wayne'owi odetchnąć z ulgą.

Ponieważ problem pieniędzy był jednak realny, postanowił spróbować czegoś innego. Stwierdził, że weźmie odrobinę wolnego od publicystyki, by napisać scenariusz. Zdawał sobie sprawę, że świat tonął w scenariuszach filmowych, pozbawionych przyszłości, skazanych na zapomnienie, plików skserowanych kartek zbierających kurz, osieroconych... Niemal każda pólka w Hollywood była takim sierocińcem, ale ktoś przecież trafiał, jakieś

filmy kręcono. I owszem, wmawiali to sobie wszyscy przegrani, z tego też Wayne zdawał sobie sprawę.

Ale musiał spróbować, a poza tym sądził, że ma nad pozostałymi sierotami pewną przewagę – wydał kilka powieści. Był człowiekiem z dorobkiem i ze sporą liczbą pozytywnych recenzji, z książkami w twardej oprawie, które dało się wziąć do ręki. Ludzie z Hollywood mogli być bystrzy w wielu dziedzinach, ale na pewno nie zaglądali do komputerów dużych sieci księgarń. Oni się nie zorientują, że Wayne to padlina. Zrozumieją tylko tyle, że był pisarzem, i to pisarzem z Nowego Jorku. Przynajmniej wysłuchają go z szacunkiem, a to więcej, niż robili dla scenarzystów ze swojego otoczenia.

Kiedy wydał pierwszą powieść, Z perspektywy Polluksa, pojawiło się pewne zainteresowanie filmem. Podpisał nawet jednoroczny kontrakt na prawo do ekranizacji, który jednakże nie został odnowiony. Ta książka miała już przeszło dwadzieścia lat, ale Wayne przeczytał ją od deski do deski i stwierdził, że wciąż się nadaje, uaktualnienie jej nie wydawało się trudnym zadaniem.

Znalazł dziewięć mocnych filmowych scen, a łącząc je fabułę dało się bez problemu skondensować. Mógłby przerobić tę powieść na scenariusz w ciągu miesiąca, może nawet szybciej. Na Zachodnim Wybrzeżu operował odpowiednik Willarda Hartmana, agent, który zajmował się umowami filmowymi i któremu Willard z pewnością wysłałby scenariusz, gdyby okazał się tak dobry, jak Wayne tego oczekiwał. Jeśli go sprzeda – świetnie, jeśli nie – wciąż będzie to jego wizytówka, zademonstruje współpracownikom Willarda, co potrafi i na co jest gotowy.

Oczywiście rozumiał, że Z perspektywy Polluksa to niezbyt filmowy tytuł, a szybkość, z jaką wpadł na nowy – niemal natychmiast – odebrał jako dobry omen. Podwójne uderzenie, napisał i usiadł przy komputerze.

O jedenastej rano czwartego dnia pracy nad Podwójnym uderzeniem, która szła wyjątkowo gładko, lepiej, niż Wayne zakładał, odezwał się telefon – dzwonił Willard. Wayne nie wspominał mu jeszcze o scenariuszu; postanowił zaczekać, aż go ukończy i Susan wyrazi aprobatę, zanim zdradzi komukolwiek, że nad nim siedzi.

– Po pierwsze – zaczął Willard – „Review” postanowił opublikować twój kawałek o Gwatemali w niedzielnym wydaniu za dwa tygodnie.

– Och, świetnie. – Widmo Bratniego widma miało się ukazać drukiem, podczas gdy jego rodzic tonął w zimnych i mrocznych odmętach przeszłości. Kiedy Willard poruszył kolejny temat, Wayne natychmiast porzucił wszystkie inne zajęcia: – Znałeś chyba kiedyś Bryce'a Proctorra, zgadza się?

Niewielu ludzi wiedziało o obecnych stosunkach łączących Wayne'a i Bryce'a – Joe Katz, detektyw Johnson i kilka innych osób – lecz Wayne nie starał się za wszelką cenę ukrywać faktu, że znajomość sprzed lat niedawno odżyła. Powiedzieć teraz Willardowi? Ale zbagatelizował sprawę.

– Och, od czasu do czasu wciąż się widzimy.

– Naprawdę? – zapytał zaskoczony Willard.

– Ale raczej nie obracamy się w tych samych kręgach.

– Chodzi o to, że „Review” chce zrobić z nim wywiad i zastanawiali się, czy nie byłbyś zainteresowany. Bo w przeszłości napisałeś podobną powieść. Chyba że według ciebie znacie się zbyt dobrze.

– „New York Review of Books”? – upewnił się zdumiony Wayne. – Chcą coś na temat Bryce'a Proctorra? – Pamiętał, że zaskoczyło go, gdy postanowili wydrukować w „Review” jego artykuł o wpływie politycznych niepokojów Ameryki Centralnej na prozę amerykańską, ale tamten temat nie odbiegał od charakteru magazynu. Co jednak mogli chcieć od Bryce'a?

– Proctorr jest teraz częścią kultury popularnej – wyjaśnił Willard – a niebawem ma się ukazać jego nowa książka, pierwsza po dłuższej



przerwie. Zależałoby im na wywiadzie, który wpasuje go w dzisiejsze społeczeństwo amerykańskie.

– Jasne. Łatwizna – stwierdził Wayne.

– Skontaktuję się z wydawcą, żeby przesłali ci wydruk. Tytuł: Dwie twarze w lustrze.

Ledwie zdążył zasłonić słuchawkę, zanim wybuchnął śmiechem. Wydawca miał mu przesłać wydruk! Wziął głęboki oddech, po czym ściągnął rękę ze słuchawki. – W porządku – powiedział.

– Masz numer telefonu do Proctorra? Najwyraźniej siedzi teraz gdzieś w Connecticut, możesz do niego zadzwonić, umówić się na konkretny termin.

– Okej, podaj mi ten telefon.

Willard podyktował Wayne'owi numer, po czym dodał: – Z tego, co wiem, wcześniej mieszkał gdzieś w okolicy budynku, do którego się właśnie przeprowadziłeś. Tak byłoby o wiele wygodniej.

– Co zrobić – odparł Wayne.

W ostatni wtorek marca Wayne wysiadł z pociągu dziesięć po jedenastej, z sześciominutowym opóźnieniem. Bryce czekał na peronie. Wyglądał formalnie, jakby miał się spotkać z zagraniczną delegacją. Witał Wayne'a z drżącym uśmiechem. – Jak minęła podróż?

– W porządku.

Wayne widział Bryce'a po raz pierwszy od czasu świątecznego przyjęcia u Pegasusa-Regenta ponad trzy miesiące temu i zaskoczyły go zmiany, jakie zobaczył. Bryce sporo stracił na wadze, dwadzieścia funtów, może więcej. Na jego twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, a ubranie wisiało na nim luźno. A kiedy prowadził Wayne'a na niewielki parking, drżący uśmiech powracał i znikał.

Wayne nie powiedział mu jeszcze o przeprowadzce do mieszkania w Central Park West. Czy kiedykolwiek to zrobi? Czy było to konieczne? A jeśli Bryce dowiedział się o tym od kogoś innego? Może, skoro już tu przyjechał, powinien rozwiązać ten problem.

Bryce położył walizkę Wayne'a na tylnym siedzeniu dobrze wyglądającego czarnego bmw. Wayne zamierzał u niego spędzić co najmniej jedną noc, może dwie, w zależności od tego, ile czasu będzie potrzebować na dokończenie wywiadu. Dyktafon i notatniki znajdowały się w walizce.

Wyjeżdżając ze stacji, a później z małego miasteczka, rozmawiali o pogodzie, podróży pociągiem i warunkach panujących w Nowym Jorku, o tym, jak Bryce doceniał, że nie musi już uczestniczyć w tym wiecznym pośpiechu i bieganinie. Kilka razy nadarzyła się okazja, by Wayne wspomniał o przeprowadzce, ale póki co milczał.

W jakiś sposób fakt, że mieszkał teraz na starych śmieciach Bryce'a, różnił się od tego, że Joe Katz przeprowadził się do jego mieszkania. Czuł, że to, co zrobił, przypominało bardziej inwazję, coś, o co Bryce mógłby mieć do niego uzasadniony żal, skąd jednak brało się to uczucie, tego nie był pewien.

Może chodziło o pogardę. Kiedy po raz pierwszy spotkał Bryce'a w bibliotece, poczuł się niezręcznie, poczuł wstyd, bo jego życie i kariera właśnie dotknęły dna. Kariera, to był główny powód. Zaczynali mniej więcej na tym samym poziomie, ale to Bryce został zwycięzcą – sławnym, bogatym, z piękną żoną i zdjęciami w „People”, podczas gdy Wayne zachwiał się, potknął i upadł.

Nawet w kwestii żon: Susan była odpowiednią partnerką dla niego, wiedział, że była, ale nie nazwałby jej olśniewającą. Żadnych szans, by kiedykolwiek w magazynie „People” ukazało się zdjęcie triumfalnie roześmianej Susan.

I właśnie podczas ich pierwszego spotkania, najpierw w bibliotece, a później w barze, Wayne uważał, że Bryce ma prawo nim pogardzić. Czegokolwiek naprawdę by nie czuł i jakkolwiek nie wyglądałaby ich

znajomość teraz lub w przyszłości, w mniemaniu Wayne'a Bryce miał prawo zachowywać się w stosunku do niego pogardliwie.

Bo przecież do jakiegoś stopnia musiał nim pogardzać, nieprawdaż, skoro w ogóle złożył mu tamtą propozycję. Czy ten fakt wynikał z szacunku, przyjaźni? Czy raczej z pogardy? „Mam tutaj brudną robotę. Ty się nią zajmij”.

Nic, co Wayne zrobił od tamtej chwili, a z pewnością nie sprawa Lucie, nie pozwalało mu wierzyć, że zasłużył na szacunek Bryce'a. A teraz wkraść się do jego domu, mieszkać pośród jego starych mebli (lub co gorsza starych mebli Lucie), wydawało się tak służalcze i wstydlive, ta próba życia kosztem Bryce'a – jakby nie był w wystarczającym stopniu mężczyzną, aby wypiąć pierś i toczyć własne życie – że nie potrafił tego przed samym sobą przyznać.

I nagle Bryce zapytał: – Myślisz o Lucie?

Wayne oniemiał. Spodziewał się, że Bryce będzie unikać tego tematu jak ognia. Wiedział, że sam go nie podejmie, nie potrzebował wspomnień, nie potrzebował zagłębiać się w te okropne szczegóły. Dlaczego Bryce miały to robić?

– W jakim sensie? – zapytał.

– No wiesz, o tym, co się stało – uściślił Bryce. – Nie myślisz o tym, co się stało?

– A dlaczego miałbym?

Wayne obserwował profil Bryce'a, podczas gdy Bryce wpatrywał się uporczywie w jeden punkt na drodze i mówił: – Ciebie to nie dręczy? Na Boga, mnie dręczy cały czas!

Cóż to, zastanawiał się Wayne, poczucie winy? Po tak długim czasie? – Ale dlaczego? – zapytał. – Dlaczego to by cię miało dręczyć?

– Bo mnie tam nie było! – wypalił Bryce, jakby chodziło o sekret skrywany przez stulecia, wyduszony z niego na łożu śmierci.

– Bo cię tam nie było? Oczywiście, że cię tam nie było, bo nie miało cię być, o to chodziło, pamiętasz?

– Tak, tak, wiem.

– Właśnie dlatego wysłałeś mnie – powiedział Wayne. Zaskoczyło go, że usłyszał nutę gorzkości w swoim głosie. Sądził, że zdażył się z tym uporać.

– Ale... – Bryce pokręcił głową. Wayne widział, jak jego palce to zaciskały się na kierownicy, to znów rozluźniały. – Ale ja powinienem tam być.

– Aresztowaliby cię. Trafilibyś do więzienia na wieczność.

– Wiedziałbym.

– Co byś wiedział?

– Jakie to było uczucie!

Wspomnienia na moment rozbliły jaskrawo i Wayne potrząsnął głową. – Nie chcesz wiedzieć, jak było – powiedział nagle zachrypniętym głosem.

– Jeśli tak źle, to dlaczego ty już o tym nie myślisz?

– Ale dlaczego miałbym o tym myśleć?

– Ja muszę! Dlaczego ja muszę?! – gorączkował się Bryce.

– Spokojnie. Spokojnie. Masz na tym punkcie obsesję.

– Po prostu chcę wiedzieć, jak było.

– Koszmarnie.

– Aleja tego nie widzę! Nie widzę tego.

– Chryste, Bryce, już rozumiem. – Wayne potrząsnął głową. O mały włos klepnałby Bryce'a w ramię, ale zorientował się, że to nie najlepszy pomysł. – Powiem ci, o co chodzi. Ja tam byłem i przeżyłem koszmar, którego ty nie możesz sobie wyobrazić, aleja nie muszę go sobie wyobrażać. Boja tam byłem. Ja mam wspomnienia, a wspomnienia bledną. Wszystkie wspomnienia z czasem bledną, Bryce, właśnie to robią. Ale ty ich nie masz, ty nie pamiętasz, tobie pozostała tylko wyobraźnia. A wyobraźnia nigdy nie blednie.

Pograżyli się w milczeniu na minutę czy dwie, aż w końcu Bryce powiedział: – Nigdy. Przez jakiś czas próbowałem to naprawić, ale nic to nie dało. Było blisko, ale nie wyszło.

Wayne nie miał pojęcia, o czym mówi Bryce. Może to i lepiej, pomyślał. Jeśli wybuchnie, pójdę z dymem razem z nim. A teraz znajduję się tuż obok i nie mam wyboru. Muszę go obserwować. Muszę być gotowy na... wszystko.

– Tam stoi mój dom – powiedział Bryce.

– Poznaje – odparł Wayne. – Ze zdjęcia w „People”.

W domu nie było nikogo poza nimi. Bryce otworzył na lunch puszkę zupy, ukroił kilka kromek świeżego chleba i zaparzył kawę. Wayne nie spuszczał z niego wzroku, a kiedy siadali przy dużym stole w jadalni, powiedział: – Bryce, nikt tutaj dla ciebie nie pracuje?

– Mam faceta, który dba o trawnik.

– Chodziło mi o dom. O gospodynię. Kogoś, kto ci ugotuje, zrobi pranie, posprząta i tak dalej.

– Raz na tydzień przychodzi do mnie pewna kobieta.

– Bryce, ty potrzebujesz kogoś, kto będzie tu na stałe, potrzebujesz gospodyni. Stać cię na to i powinieneś ją mieć. Każda osoba z twoją pozycją zatrudniłaby kogoś takiego.

Bryce rozejrzał się nieuważnie, jakby szukał zaginionej gospodyni. – Chyba masz rację – stwierdził. – Wcześniej nie potrafiliśmy nikogo zatrzymać, płaciłem różnym ludziom, ale Lucie zawsze się z nimi wyklócała. Zwalniała ich albo sami odchodzili. Przyzwyczyłem się, że nikogo tu nie mam.

– Cóż, teraz możesz mieć – zauważył Wayne. – I powinieneś.

Bryce uśmiechnął się powoli. Wyglądał dzięki temu młodziej, zdrowiej. – Masz rację – przyznał. – W Danbury jest agencja pracy, zadzwonię do nich. Kiedy już skończymy z wywiadem.

– Świetnie.

– Przydajesz mi się, Wayne – zaśmiał się Bryce. – Przydajesz mi się na tak wiele różnych sposobów...

Po lunchu Bryce oprowadził Wayne'a po domu, a Wayne stwierdził, że wnętrza są tu zaskakująco podobne do tych w nowojorskim mieszkaniu. Przestronne pokoje urządzone ze smakiem, choć z odrobiną krzykliwości. Wydawało się zabawne, że Bryce postanowił oddać mieszkanie, bo dostrzegał w nim rękę Lucie, ale nie zauważał tych samych wpływów tutaj. Prawdopodobnie nie chciał ich zauważać. Zależało mu, by polubić to miejsce, bo chciał się w nim zadekować.

– Tutaj byłby pokój gospodyni.

– Bardzo ładny.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę, jak Bryce zachowywał się w samochodzie, może to i lepiej, że mieszkał sam? A gdyby zaczął wariować i postanowił zgłosić się na policję, by wyznać swoje grzechy, by mieć lepszy sen? Zaciągnąłby Wayne'a za sobą do piekła. Wayne zdecydował, że przez następne dwa dni będzie uważnie wsłuchiwać się w słowa Bryce'a, a jeśli Bryce znów będzie to robić, jeśli pojawią się kolejne wskazówki, lepiej, żeby w pobliżu nikogo nie było.

Uzgodnili, że przeprowadzą wywiad na wietrznym ganku lśniącem jak satyna w promieniach delikatnego marcowego słońca. Wayne wyciągnął materiały, włączył dyktafon i już miał wcisnąć przycisk REC, kiedy nagle opuścił rękę i powiedział:

– Nie, chwila. Najpierw co innego.

Bryce grzecznie uniósł brwi.

– Powiedziałaś kilka rzeczy, które mnie zmartwiły – wytłumaczył Wayne

– i może byłoby najlepiej, gdybyśmy je omówili, oczyścili atmosferę.

– Kilka rzeczy?

– Zaczynam się martwić, że nagle poczujesz potrzebę, by się przyznać. Oddać się w ręce władz z jakiegokolwiek powodu. Pociągnąłbyś mnie za sobą, wiesz o tym?

Wayne z zaskoczeniem ujrzał, jak Bryce się uśmiecha, w smutny, ale szczerzy sposób.

– Nie martw się – uspokoił go Bryce – już przez to przeszedłem. Raz się przyznałem i więcej tego nie zrobię. Możesz być tego pewien.

Wayne gapił się na niego w zdumieniu. – Przyznałeś się!

– Ellen.

To imię nic dla Wayne'a nie znaczyło. – Powiedziałaś... powiedziałaś komuś...

– Mojej pierwszej żonie.

– Mój Boże. Uwierzyła ci?

– Oczywiście – odparł Bryce. – Według ciebie miałaby uznać, że to zmyśliłem?

– Jezu miłosierny... Powiedziałaś jej o mnie?

– Nie z imienia. Tylko tyle, że, sam rozumiesz, zaaranżowałem to.

– I co ona zamierza teraz zrobić?

Tym razem uśmiech Bryce'a był osobliwy, ale wciąż szczerzy. – Nie zostawiła na mnie suchej nitki, tego możesz być pewien.

– Oczywiście, że...

– Za to, że byłem taki samolubny.

– Tak, można na to w ten sposób...

– Za to, że chciałem się przyznać.

Wayne spojrzał na Bryce'a. – Słucham?

– Nie przemyślałem tego – wyjaśnił Bryce. – Nie myślałem o dzieciach, o tym, jak to może namieszać im w życiu. Sam rozumiesz, mają dwadzieścia trzy, dwadzieścia jeden i dziewiętnaście lat, to by im zniszczyło życie. Rozumiesz to chyba, prawda?

– Absolutnie – przytaknął Wayne. – Jasne. Ellen ci to powiedziała?

– Zmusiła mnie, żebym obiecał – powiedział Bryce – że nigdy więcej nikomu o tym nie powiem. I nie zrobię tego.

– Ze względu na dzieci – powtórzył Wayne.

– One są niewinne. Są ofiarami.

– Masz rację. W porządku. – Wayne kiwnął głową. – W porządku. – Wiedział, że Bryce jest z nim szczerzy, że pod tym względem nic mu nie grozi, nie będzie musiał się bronić przed jego poczuciem winy. Boże, pobłogosław Ellen, jego pierwszą żonę. – W takim razie to... Możemy zaczynać?

– Oczywiście.

– Sam wiesz, że chodzi o „New York Review of Books”, więc przygotowałem... Mam tutaj kilka pytań.

– Strzelaj.

Wayne wcisnął przycisk REC. – Wywiad Wayne'a Prentice'a z Bryce'em Proctorrem, dwudziesty siódmy marca. Zacznijmy. Jeden z często powielanych przez ciebie motywów, który krytycy dostrzegają w twych tekstach, dotyczy swoistej dwoistości w tym sensie, że każde działanie oprócz zwykłych konsekwencji pociąga za sobą inne, które mogły się zdarzyć, lecz nie zdarzyły, a mimo to ich duch pozostaje obecny i wpływa na akcję. Niektórzy krytycy dostrzegają w tym wpływy Borgesa, a konkretnie W ogrodzie rozdroży. Czy zainspirował cię Borges?

Bryce skinął głową, bardzo powoli, ze wzrokiem utkwionym w dyktafonie. Wayne zaczął się zastanawiać, czy nie powinien rozwinąć pytania, kiedy usłyszał: – Dwoistość to... oczywiście istnieje w każdym z nas, jako przeciwieństwa i zmiany nas samych, które zachodzą pod skórą, w tym przeczuciu, że to się nie może dziać, ale w takim razie co się dzieje? Co naprawdę się dzieje, jeśli nie to, co widzimy? Z tego punktu widzenia każda decyzja musi być właściwą decyzją, każda decyzja jest nieunikniona, nie

ma możliwości uciec od tego, co już się zrobiło, ponieważ historia płynie, rozumiesz, płynie, każda decyzja nadaje jej kierunek, a kiedy już tu stoimy, widzisz to, widzisz?, kiedy stoisz na szczycie tej góry, to już tu jesteś, a nie mógłbyś tu być, gdybyś wtedy nie podjął takich decyzji. Oczywiście, to naturalne, oczywiście gdybyś podjął inne decyzje, to wtedy one byłyby właściwe, jedyne, innych nie mógłbyś podjąć, tylko tą drogą mógłbyś pójść, gdybyś tylko pomyślał, gdybyś je przemyślał od początku do końca i dzisiaj, widzisz to chyba, widzisz, prawda?, stałbyś na szczycie zupełnie innej góry, spoglądając w tył i widziałbyś, że podjęłaś jedyną słuszną decyzję i że istniała tylko jedna góra, na którą mogłeś się wspiąć, że właśnie ta góra była tą jedyną, gdybyś tylko był dość cierpliwy, a teraz nawet nie dostrzegasz stąd tej drugiej góry, z tego miejsca, w którym się zamiast tego znalazłeś, nie możesz dotrzeć do tej drugiej góry, nigdy do niej nie dotrzesz, ale z pewnością wiesz, teraz wiesz i wtedy powinienś być wiedzieć, że myślałeś jak szaleniec, gorzej, myślałeś jak gawędziarz opowiadający historię, historię z haczykiem, i nie widziałeś, że są inne, inne, jakby to ująć, och, powiedzmy, że scenariusze, i wielość tych scenariuszy, tak, rozwidlone ścieżki, rozdroże, właściwie to ująłeś, że jednak te możliwości otwierają się i zamykają jak głązy, jak potężne głązy, i wszystkie te możliwości, te wariacje, ta, powiedzmy, różnorodność, ta wielość form zawęża się, kurczy, dusi, aż zostaje tylko jedna, i że ta jedna droga to nie jest wymówka, to, co nieuniknione, nie jest wymówka, to jedyna rzecz, jaka mogła się zdarzyć, i to tylko dlatego, że się zdarzyła, i to nie jest żadna wymówka, i pozostaje nam tylko dwoistość ducha, żal, niespełnione życzenie, pragnienie, by raz jeszcze znaleźć się na rozdrożu i wybrać inną ścieżkę, a na niej pragnienie kwiatu, który nie dojrzewa, a ja właśnie w jego kierunku od zawsze wyciągam ręce, ale obraz i rzeczywistość są różne, niewłaściwe, więc, wracając do twojego pytania, pragnienie innej rzeczywistości konstytuuje pisarza, opowiadacza historii, kłamcę, kogoś, kto narzuca światu swoją rzeczywistość, ale przeszczep, wracając do twojego pytania, przeszczep nie przeżyje na nowym podłożu, na tym wzgórzcu, tym tutaj. I wydaje mi się, dotychczas nie zwracałem na to uwagi, że właśnie o to chodziło w mojej twórczości. Jednakże Borgesa nigdy nie czytałem.

Wayne został w domu Bryce'a tylko na jedną noc. Zapełnił taśmę kilkoma godzinami rozmowy, po czym wrócił pociągami do Nowego Jorku, usiadł przed komputerem i zapisał obie części wywiadu, pytania i odpowiedzi. Wyglądało na to, że wszystkim się one podobają.

27

W drugim tygodniu kwietnia Bryce nie mógł się już doczekać nadejścia prawdziwej wiosny. Niemal każdego dnia odwiedzał teraz tę część ogrodu, gdzie znajdował się basen. Przekraczał ogrodzenie i przechadzał się wzdłuż krawędzi ciemnozielonej pokrywy, na której zalegały mokre kupki zeszłorocznych liści. Tradycyjnie uruchamiał basen z początkiem maja, chociaż zwykle było wtedy jeszcze zbyt chłodno. Mógł jednak podgrzewać wodę, nawet jeśli nie mógł powietrza, a i w maju trafiało się kilka ciepłych dni, zanim jego sąsiedzi zdążyli uruchomić własne baseny, podczas których pływał i namakał, wypacając zimę z organizmu.

Właśnie nadszedł drugi wtorek kwietnia i zarazem drugi dzień, kiedy Bryce jadł lunch przygotowany przez panią Hildebrand. Była wdową, dobijającą do siedemdziesiątki, która przez lata pracowała jako dietetyczka w prywatnej szkole nieopodal granicy stanu Massachusetts. Nie mogła się pochwalić zbyt wysokimi dochodami, a ponieważ nigdzie w pobliżu nie miała rodziny, żyła w raczej obskurnym mieszkaniu w Danbury. Była cichą kobietą; nigdy się nie narzucała i doskonale znała swoją rolę. Gotowała i sprzątała dla samotnego mężczyzny, który pracował w domu, i unikała jego towarzystwa,

chyba że sam o nie zabiegał, co się raczej nie zdarzało, w zamian za niewielkie wynagrodzenie uzupełniające emeryturę, a także wikt, opierunek i jeden wolny dzień w tygodniu – oboje przystali na czwartek bez żadnego konkretnego powodu. Lubiła czytać (podejrzewał, że była jego fanką, zbyt jednak dyskretna, by mówić o tym głośno), a w jej pokoju stał telewizor, więc wolny czas mogła sobie wypełnić co najmniej tak samo przyjemnie, jak w mieszkaniu w Danbury.

W garażu wystarczyło miejsca dla malutkiej pomarańczowej hondy civic, którą od tej pory pani Hildebrand jeździła robić mu zakupy, dzięki czemu kolejną (i wcale nie najmniejszą) zaletą jej zatrudnienia był fakt, że nie istniała już szansa, by Bryce przypadkiem wpadł po raz drugi na Marcję Rierdon. Następnym razem, gdy spotka Wayne'a, koniecznie będzie mu musiał podziękować za sugestię.

Z panią Hildebrand w domu jadał o wiele lepiej. Dziś, czując się przyjemnie pełny – czując się po prostu przyjemnie – ruszył po lunchu spacerowym krokiem nad basen i przechadzał się wokół niego, myśląc o pływaniu, nie myśląc o niczym innym prócz pływania, gdy w jego kieszeni zadzwoniła komórka. Stał przy końcu basenu, obok drabinki prowadzącej na trampolinę, z której nigdy nie korzystał, ale którą z jakiegoś powodu każdej wiosny kazał na nowo zakładać – może dlatego, że bez trampoliny sama drabinka wyglądałaby okropnie – i wyciągnął telefon z kieszeni. – Halo?

– Bryce? Tu Joe. Jak idzie?

– Och, sam wiesz, powoli, wiesz, jak to bywa. Ale chyba cały czas do przodu.

– W porządku, nie dzwonię, żeby cię poganiać. Dzwonię, bo przysłali ten wywiad, moim zdaniem wygląda rewelacyjnie.

– Och, to świetnie. – Bryce trochę się martwił, nie mając pewności, czy dobrze sobie poradził z pytaniami. Ulżyło mu, kiedy Joe rozwiął jego wątpliwości.

– Ale ty też powinienesz na niego zerknąć – ciągnął Joe. – A ja potrzebuję wymówki, żeby wydostać się na jeden dzień z miasta.

– Wydostać się z miasta?

– Zależałoby mi, żebyś mnie zaprosił na jutro – wyjaśnił. – Przyjadę rano, wspólnie przelecimy przez ten wywiad i później wrócę do Nowego Jorku.

Chce się przyjrzeć pracy w toku, pomyślał Bryce, a nie może jej zobaczyć. Nawet jednak, kiedy szukał wymówki, doskonale zdawał sobie sprawę, że jej nie znajdzie. – Świetny pomysł – powiedział. – O której mam się ciebie spodziewać?

– Koło jedenastej, pasuje ci?

– Idealnie – stwierdził Bryce i ruszył do domu przekazać pani Hildebrand, że jutro na lunchu będą dwie osoby.

Bryce przeczytał wywiad jeszcze przed lunchem, podczas gdy Joe ucinał sobie w kuchni pogawędkę z panią Hildebrand. W towarzystwie Joego stała się o wiele gadatliwsza, ale oczywiście łączyły ich zupełnie inne stosunki.

Oprócz wywiadu Joe przywiózł ze sobą przedpremierowe recenzje Dwóch twarzy w lustrze z „Publishers Weekly” oraz „Kirkusa”. Jak sam to ujął: – Obie są bardzo pozytywne, entuzjastyczne, cieszą się tam, że wreszcie wróciłeś, ale jak zwykle w „PW” znajdziemy więcej fragmentów wartych cytowania niż w „Kirkusie”.

– Najważniejsze, że się podoba – odparł Bryce, zadowolony, że obu się podobało.

Był także zadowolony z wywiadu. Bez wątpienia Wayne poprawił tu i ówdzie jego wypowiedzi, pozbył się zbędnego słowotoku, dzięki czemu wnioski stały się wyraźniejsze. Z obecnej perspektywy, po upływie kilku tygodni, Bryce nie pamiętał już, które rzeczy powiedział sam, a które Wayne

postanowił odrobinę wygładzić. W każdym razie podobał mu się efekt końcowy i był pewien, że Wayne nigdzie nie przekręcił jego słów, to znaczy nie włożył w jego usta własnych przemyśleń.

Powiedział to Joemu nad zimną sałatką krewetkową z rukolą, a Joe odparł: – Ale wydaje ci się, że zachował właściwy ton.

– Och, na pewno.

– Może trochę uporządkował tu i tam.

– Cóż, to chyba naturalne – stwierdził Bryce. – Nikt by nie chciał, żeby to brzmiało jak stenogram z policyjnego przesłuchania.

– Nie, raczej nie...

Bryce przyjrzał się uważniej Joemu, który wyglądał ponuro. – Coś nie tak? Z sałatką?

– Lunch smakuje fantastycznie, Bryce – zapewnił go Joe – To był doskonały pomysł, żeby zatrudnić panią Hildebrand.

– Pomysł Wayne'a.

– Miał rację. Nie ma sensu żyć tutaj jak jakiś górnik z Jukonu.

– Nigdy nie było aż tak źle – zaśmiał się Bryce. – Czasem wychodzę, prowadzę życie towarzyskie.

– Spotykasz się jeszcze z tą dziewczyną, Isabelle?

– Wróciła do Hiszpanii – wyjaśnił Bryce. – Jak myślisz, może napijemy się do tego po kieliszku białego wina?

– Ja dziękuję. – Joe odłożył widelec, potrząsnął głową i spojrzał za okno wychodzące na basen. – Wiesz, że nie lubię cię poganiać.

– Obaj tego nie lubimy, Joe – powiedział z uśmiechem Bryce, mając nadzieję, że uda mu się wywinąć.

– Wypadłeś z torów na długi czas – stwierdził Joe i teraz skierował wzrok na Bryce'a, a Bryce był zdumiony i niezadowolony z powodu zmartwienia, jakie ujrzał w jego oczach. – Na ponad rok. Może nawet dwa lata.

– Dobrze wiesz, że rozwód doprowadzał mnie do obłędu – przypomniał mu Bryce. – A potem Lucie zginęła w taki sposób, to był dla mnie prawdziwy szok.

– Wiem o tym. Ale wątpię, żebyś wreszcie zaczynał dochodzić do siebie.

– Bzdura – sarknął Bryce. – To się wydarzyło kilka miesięcy temu, w zeszłym roku, na miłość boską. A chyba zdajesz sobie sprawę, że w tamtej chwili nie była moją ulubienicą.

– W takim razie dlaczego nie potrafisz niczego skończyć?

– Przecież kończę! – upierał się Bryce. – Co z Dwoma twarzami w lustrze?

Joe pokręcił głową. – Bryce, utknąłeś w tym na długo i dobrze o tym wiesz, na ponad rok.

– Ale skończyłem, zgadza się?

– Potrzebowałeś wsparcia Wayne'a, żeby skupić się na pracy – odparł Joe. – Żeby zostać na torze. Wayne napracował się przy tej książce, wiesz, że to prawda.

– Oczywiście, że się napracował. – Bryce rozłożył ręce. – Nigdy temu nie przeczyłem, nie przy tobie. – Uśmiechając się szeroko, skinął w stronę leżących na stole wycinków z recenzjami. – Gdyby zapytał mnie o Wayne'a ktoś z „Publishers Weekly”, naturalnie zaprzeczyłbym, na pewno. Ale tobie zawsze mówiłem, że Wayne uratował mi życie. Było dokładnie tak, jak powiedziałaś, dzięki niemu mogłem się skupić.

– A co z nową książką? Na niej potrafisz się skupić?

Do pomieszczenia weszła niepewnie pani Hildebrand, rękami obejmując się w pasie, z zaniepokojeniem malującym się na twarzy. – Coś nie tak z sałatką?

Obaj już jakiś czas temu przestali jeść, a teraz w pośpiechu chwycili za widelce i zapewnili panią Hildebrand, że sałatka smakuje wybornie, po

prostu pograżyli się w rozmowie, ale lunch był przepyszny. Kiedy wreszcie niepokój zniknął z jej twarzy i zastąpił go uśmiech, Bryce powiedział: – Właściwie to jest zbyt pyszne, żeby nie napić się do tego białego wina. Joe?

– Nie dla mnie, dzięki.

– W takim razie tylko dla mnie – poprosił Bryce i znów zabrali się za jedzenie.

Pani Hildebrand wróciła po chwili z kieliszkiem, znów wesoła. Bryce upił nieco wina i zjadł jeszcze trochę sałatki, a kiedy gospodyni wyszła z jadalni, odezwał się Joe: – Opowiedz mi o tej nowej książce.

– Wiesz przecież, że nie lubię tego robić – odparł Bryce. – Możesz zabić książkę, jeszcze zanim ją skończysz, jeśli za dużo o niej gadasz.

– To prawda – przytaknął Joe – i na pewno zdajesz sobie sprawę, że w normalnych warunkach nie prosiłbym cię o to. Ale ja po prostu wątpię, że ty naprawdę potrafisz się skupić na pracy, Bryce. Wydaje mi się, że ciągle jesteś rozkojarzony. Mówię to teraz jako twój przyjaciel, a jako przyjaciel nie mogę więcej wysłuchiwać zdawkowych odpowiedzi na temat nowej książki, jak wolno ci idzie, ale cały czas do przodu, choć powoli... No, to ile do tej pory napisałeś?

– Joe, ja naprawdę nie chcę rozmawiać o tej książce, ciągle jestem...

– Ile stron?

– Joe, nie powinieneś naciskać...

– Nie pytam o fabułę, tło, bohaterów, nie pytam nawet o tytuł. Nie da się zabić książki, zdradzając, ile ma stron.

– Możesz to nazwać przesadnością, Joe, ale...

– Ja to nazywam wykrętem, Bryce.

Bryce spojrzał krzywo na Joego, który sprawiał wrażenie bardzo ponurego i ani trochę przyjacielskiego. – Joe – zaczął – dlaczego robisz z tego problem? Przecież się dogadujemy, nigdy ci nie groziłem, że mógłbym przejść do kogoś innego...

– A teraz mi grozisz?

– Oczywiście, że nie. – Oczywiście, że nie groziłem, ale zamierzałem zrobić wszystko, co konieczne, by Joe wreszcie się odczepił. Żeby zostawił go w spokoju. Pozwól mi się z tym uporać, zostaw mnie w spokoju. Tylko że Joe nie zamierzał tego zrobić. – Ile stron? – zapytał.

– W porządku – westchnął Bryce – prawda jest taka, że wstyd mi o tym rozmawiać, bo naprawdę niewiele. Naprawdę szło mi powoli, ale jest coraz lepiej i ja...

– Ile stron?

– Nie chcę o tym mówić, Joe.

Joe rozparł się wygodniej. Po raz drugi zapomnieli o sałatce. – Masz to wydrukowane? – chciał wiedzieć.

– Nie, na dyskietkach. Na dyskietce.

Joe podchwycił liczbę mnogą: – Na dyskietkach?

– Na dyskietce. Jednej dyskietce.

– Wydrukuj ostatnią stronę, jaką napisałeś.

Bryce gapił się na Joego. – Po co? Po co miałbym to robić?

– Żeby mi udowodnić, że to istnieje.

– Do cholery, Joe, teraz muszę udowodniać, że ta książka istnieje?

– Tak – odparł Joe.

– Dlaczego?

– Bo obaj wiemy, że nie istnieje.

Bryce jeszcze przez kilka sekund trwał w postawie buntownika, aż w końcu zapadł się pokonany na krześle. – Mam kilka szkiców.

– Szkiców.

– Nie byłem wystarczająco... Tak, masz rację, chodzi o brak skupienia. Nie mogłem się skupić, stworzyłem trochę szkiców, pomysłów na



różne opowieści, one są na dyskietkach, tylko nie potrafiłem zdecydować, którym się zająć. Na którym się skupić.

– Ale one naprawdę istnieją.

– Och, tak – przytaknął Bryce. – Wszystkie tam są, podpisane i tak dalej, po prostu nie miałem ochoty do nich wracać, rozumiesz, jeszcze nie teraz, przeglądać ich, przesiewać, no wiesz, wybierać właściwego, nad którym powinienem usiąść w następnej kolejności.

– Mógłbym je zobaczyć?

Bryce wyprostował się. – Całkiem dobry pomysł – powiedział. – Ty mógłbyś je przesłać. Nie wiem, ile ich mam, ale całkiem sporo. Słuchaj, a dlaczego nie przejrzeć ich po lunchu? Wybierzesz dwa czy trzy, wszystko jedno i powiesz: „Trzymaj, Bryce, skoncentruj się teraz na tych”. Wtedy wezmę się do roboty, przysięgam.

– Dobrze – powiedział Joe.

Bryce miał drewnianą, dwuosobową ławkę, którą każdego lata stawiał obok basenu w połowie jego długości. Zimą trzymał ją razem z pozostałymi meblami w domku ogrodowym, teraz jednak postanowił ją wyciągnąć i ustawić na starym miejscu, by usiąść, patrzeć na basen i rozmyślać o maju.

Tak naprawdę nie pamiętał żadnego z tych szkiców, choćby jednego. Miał nadzieję, że Joe znajdzie wśród nich coś, co warto rozwinąć, bo naprawdę zależało mu, by wrócić do poważnej pracy. Minęło tak

wiele czasu, odkąd ostatnio coś napisał, ani jednego słowa od Dwóch twarzy.

Cóż, nieprawda. O wiele więcej czasu.

Znów muszę się tym zająć, pomyślał, znów muszę się za to zabrać, bo tylko takim człowiekiem potrafię być. Teraz dryfuję, jestem pusty, jestem nikim, nawet nie widmem człowieka. Jak model samolotu z gumową opaską obracającą śmigło, która pękła. Czuję tę usterkę w środku i muszę wziąć się w garść, muszę ją naprawić.

Kiedy Joe przyszedł nad basen, wciąż wyglądał ponuro. Bryce liczył, że pojawi się z uśmiechem na twarzy, powie: „Ten i ten są po prostu świetne, zaczynaj natychmiast, Bryce!”. Tylko że nic takiego nie miało się wydarzyć.

Joe usiadł obok na ławce, stopami ledwie sięgał kamiennego chodnika. Zapatrzył się na pokrywę basenu. Bryce czekał, aż w końcu coś powie – coś, cokolwiek – lecz on tylko siedział, więc w końcu Bryce sam postanowił się odezwać: – Żaden z nich nie jest zbyt dobry, co?

Joe powoli wypuścił powietrze z płuc. – Ty nie chodzisz na żadną terapię. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

Tylko nie to znowu, pomyślał Bryce, wspominając swojego prawnika, Freda Silvera, i jego wiarę w to, że zawsze istnieje gdzieś specjalista tylko czekający na to, by uporać się z twoim problemem, bez względu na jego naturę. – Nie – powiedział. – Nie chodzę.

– Znam kogoś w Nowym Jorku...

– Nie, Joe.

Joe zerknął na Bryce'a przelotnie i przeniósł wzrok z powrotem na pokrywę basenu. – Mogę zapytać, dlaczego nie?

Bo terapeuta może ci pomóc tylko wtedy, go wyznasz mu prawdę, brzmiała odpowiedź, a Bryce nikomu nie mógł wyznać prawdy – ani terapeutcie, ani Joemu, nikomu.

– Po prostu nie chcę – odpowiedział. – Nie czuję potrzeby.

Joe znów na niego spojrział i znów odwrócił głowę. – Wayne puścił mi fragment tego wywiadu...

Co tym razem? Jakiś nowy atak, ale z jakiego powodu?

– Zdażyłem się zorientować, że to, co napisał, to nie są słowo w słowo moje wypowiedzi – zaczął ostrożnie Bryce.

– Ty w ogóle tego nie powiedziałaś – odparł Joe. Spojrzął na Bryce'a i przed siebie. – Wayne zdradził mi to w zaufaniu, bo się o ciebie

martwi. Nie miał pojęcia, co zrobić, ale wie, że jestem twoim przyjacielem, więc puścił mi ten wywiad.

– I co było z nim nie w porządku?

– Nie miał żadnego sensu – stwierdził Joe. – Ten wywiad to dzieło Wayne'a, to on wszystko napisał.

– Nie.

– Tak.

– Ale... niby dlaczego?

– Bo nie powiedziałaś nic, co można by wykorzystać, do czego można by się odnieść, zrozumieć. To było jak te szkice na dyskietkach. Dwadzieścia cztery dyskietki bełkotu.

– Nie wierzę.

– W porządku – powiedział Joe. – Chodźmy do domu, zerknijmy na kilka.

– Nie! – zaprotestował wystraszony nagle Bryce.

– Nie? – Joe spojrzał mu w twarz. Próbował wytrzymać jego wzrok. – Dlaczego nie?

Teraz to Bryce odwrócił się i wgapił w pokrywę basenu. – Nie mam ochoty ich oglądać. Skoro uważasz, że są do niczego, po co mam...

– Tracisz kontakt z rzeczywistością i nie widzisz tego – rzekł Joe.

– Nie możesz tego tak ciągnąć, Bryce, naprawdę nie możesz.

– Wszystko będzie ze mną w porządku, Joe – odparł Bryce.

– Nie pójdziesz do psychoterapeuty?

– Nie! Nie chcę i nie muszę, nie.

Joe kiwnął głową, wstał i odsunął się odrobinę. Spoglądając w dół na szary, kamienny chodnik i świeżą trawę rosnącą obok, powiedział:

– Ta książka, nad którą teraz pracujesz, to ostatnia w twoim kontrakcie.

– Nigdy nie zwracam uwagi na takie szczegóły, dobrze o tym wiesz.

– Ale Jerry Mossman zwraca.

– To mój agent, powinien zwracać uwagę na takie rzeczy.

– Ponieważ Dwie twarze ukazały się tak późno – ciągnął Joe – ta następna książka, ta, nad którą pracujesz, także jest opóźniona. O ponad rok od daty przekazania maszynopisu.

– Joe, nigdy się nie przejmowaliśmy takimi pierdołami. Wiesz, że zawsze...

– Już nie – uciał Joe. Odwrócił się, by spojrzeć na Bryce'a, a Bryce zrozumiał, że Joe celowo odszedł na bezpieczną odległość. – Jeśli czegoś nie zrobisz, Bryce, i jeśli nie zrobisz tego teraz, czegoś, co mnie przekona, że sobie pomagasz, że już nie potrzebujesz pomocy, jeśli tego nie zrobisz, w przyszły poniedziałek poinformuję Jerry'ego Mossmana, że naruszyłeś warunki kontraktu i że już nie wierzymy w twoją zdolność do pisania kolejnych książek, w związku z czym zrywamy umowę i będziemy się domagać zwrotu zaliczek.

Bryce wstał, a Joe cofnął się o krok. – Joe, nie możesz tego zrobić, nie mówisz tego poważnie.

– Wydaje mi się, że jestem twoim przyjacielem – odparł Joe – i nie podoba mi się, że muszę być teraz takim twardogłowym sukinsynem, ale martwię się o ciebie i wydaje mi się, że tylko ja mogę cię zmusić do tego, żebyś zwrócił się do kogoś po pomoc. Wziąłem jedną z tych dyskietek, tę z tytułem „Kirgistan”, pamiętasz ją?

– Nie pamiętam żadnej.

– Jeśli będziemy musieli pójść do sądu, przedstawię jako dowód tę dyskietkę i taśmę z wywiadem – powiedział Joe.

– Joe, błagam'.

– Spróbujesz sobie pomóc?

Zdesperowany, miotając się, szukając w ciemnościach wyjścia, Bryce krzyknął: – Wayne!

– Słucham?

– Wayne – powtórzył Bryce spokojniej. – Już raz mi pomógł, prawda? Pomógł mi wskoczyć z powrotem na tor. Zadzwoń do niego, zadzwonie jeszcze dzisiaj, zadzwonie za chwilę, zanim wyjdiesz! Znów poproszę go o pomoc. On pomoże mi się pozbierać do kupy, na pewno, potrafię pracować, kiedy mam obok Wayne'a.

Joe przez chwilę się nad tym zastanawiał, aż w końcu powoli kiwnął głową. – Zapytamy go – powiedział. – Jeśli się zgodzi, spróbujemy. Jeśli się nie zgodzi...

– Zgodzi się!

– W porządku, zadzwonimy do niego.

Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Bryce zostawił wiadomość.

28

Kiedy Wayne wrócił do mieszkania po poobiednim joggingu w Central Parku, na sekretarce czekała na niego wiadomość: „Cześć, Wayne, jesteśmy z Joem w domu w Connecticut, obaj chcielibyśmy z tobą porozmawiać najszybciej, jak to możliwe, zadzwoń do nas, okej, stary?”. Bryce wydawał się przesadnie, obłąkańczo rozentuzjasmowany, niemal rozgorączkowany. I nigdy wcześniej nie nazywał Wayne'a „starym”.

Czyżby chodziło o wywiad? Popełnił błąd, puszczając nagranie Joemu? W tamtej chwili wydawało się to najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Im dłużej Wayne słuchał tego wywiadu, starając się wyłuskać z niego coś sensownego, tym mocniej docierało do niego, jak niezrównoważonym człowiekiem stał się Bryce. A czy można wierzyć, że osoba niezrównoważona będzie działać we własnym, najlepiej pojętym interesie? Że skorzysta z najsensowniejszej rady, nawet jeśli wypowiedzianej ustami byłej żony? Bryce wiedział, że Ellen miała rację, publiczne przyznanie się do morderstwa Lucie zniszczyłoby dzieciom życie, ale czy Bryce'owi pozostało dość rozsądku, by działać zgodnie z tą wiedzą? Czy może nagle zacznie się miotać, niekontrolowany, wbrew własnym intencjom niszcząc wszystko i wszystkich wokół?

Jedyna nadzieja w tym, stwierdził Wayne, by z wyprzedzeniem założyć, że Bryce'owi odbiło albo właśnie zaczyna odbijać, że po prostu nie jest już zrównoważoną osobą, na której można polegać. Jeśli wówczas wypali ze zwariowaną historyjką o tym, jak zapłacił innemu pisarzowi pół miliona dolarów za zabicie żony, łatwo będzie go zdyskredytować.

Tak więc Wayne stworzył sobie podatny grunt, puszczając taśmę Joemu, mówiąc mu, że martwi się o Bryce'a, co zresztą, Bóg mu świadkiem, było prawdą. A Joe w zaufaniu odpowiedział, że również się martwi i że nie jest pewien, czy Bryce naprawdę pracuje nad nową książką, chociaż tak twierdził. Poradził Wayne'owi, by nie robił nic więcej, nikomu nie puszczał taśmy z wywiadem i dał mu czas na przemyślenie, co dalej.

Czyżby zatem Joe uznał, że najlepszym wyjściem będzie konfrontacja? Wyznanie Bryce'owi, co zrobił Wayne? Jak w takiej sytuacji Bryce mógł zareagować? Próbując odnaleźć jakąś wskazówkę, jakieś ostrzeżenie, Wayne jeszcze dwukrotnie puścił wiadomość i chociaż udało mu się wychwycić desperację skrytą pod fałszywą radością, nie usłyszał w głosie Bryce'a pretensji czy złości. W porządku, zadzwoni.

Pracował teraz rzekomo nad scenariuszem Podwójnego uderzenia, ale coraz bardziej wydawało mu się to stratą czasu. Napisał scenariusz bardzo szybko, zadowolony z efektów, nie martwiąc się nawet faktem, że ostateczna objętość wynosiła sto pięćdziesiąt stron zamiast zalecanych stu dwudziestu, bo wiedział, że tekst był dynamiczny i zwarty, ale później pokazał go Susan, a ona uznała go za przegadany. Przegadany. Za dużo dialogów. Nie pozwalał opowiadać historii kamerze, zamiast tego wpychając ją w usta gadających do znudzenia postaci.

A zatem nie było to tak proste, jak początkowo sądził. Teraz, przeglądając scenariusz po raz kolejny w poszukiwaniu dużych partii

dialogowych, które mogłyby przerobić na chytrze zaplanowane instrukcje dla operatorów, ku własnej zgrzyocie dochodził do wniosku, że nie miał tak filmowej wyobraźni, jak zawsze sądził. Ale nie chciał się poddawać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Poświęcę na to jeszcze kwiecień, powiedział sobie, a jeśli w tym czasie nie uda mi się nic zrobić, do diabła z tym wszystkim.

Dlatego też w pewnym sensie tajemnicza wiadomość od Bryce'a w przyjemny sposób odwróciła jego uwagę od zmartwień. Wmawiając sobie, że więcej mógł mu ich przysporzyć scenariusz niż Bryce, Wayne wykręcił numer do Connecticut. Odebrała kobieta o matczynym głosie: – Rezydencja pana Proctorra.

Pielęgniarka? Bryce próbował się zabić? – Och, dzień dobry... Mówi Wayne Prentice, Bryce dzwonił do mnie wcześniej.

– Proszę chwilę poczekać.

Wayne nie czekał zbyt długo, aż odezwał się Bryce, który wciąż wydawał się zbyt podkilytowany i rozgadany. – Cholera, Wayne, Joe wyszedł dosłownie pięć minut temu.

– A kto to był? Ta kobieta, która odebrała.

– Och! Nie wspominałem ci, że skorzystałem z twojej rady. To pani Hildebrand, gospodyni.

Z jakiegoś powodu ta wiadomość wydała się Wayne'owi pokrzepiająca, jakby zatrudnienie pomocy domowej było tak ewidentnie rozsądną decyzją, że nie musiał się więcej martwić o kondycję psychiczną Bryce'a. – Cieszę się, że to zrobiłeś – powiedział.

– Ja również – zapewnił go Bryce. – Ucieszysz się jeszcze bardziej, kiedy mnie znów odwiedzisz. Ona zna się na kuchni.

– To świetnie.

– Ale chodzi o to – głos Bryce'a nagle stał się niższy, zdradzał wahanie – chodzi o to, że był tutaj Joe...

– Tak, już o tym wspominałeś.

– I muszę powiedzieć, że był dla mnie dość oschły, nie spodziewałem się tego, był dla mnie naprawdę oschły.

– W jakiej sprawie?

– Cóż, udało mu się ze mnie wycisnąć, że tak naprawdę nie pracuję nad nową książką. Ja, ech, ja tak naprawdę nie mam nowej książki.

W pierwszej chwili Wayne był zaskoczony, w drugiej ani odrobinę. – I co powiedział?

– Chciał, żebyśmy poszedł na terapię – wyjaśnił Bryce – aleja nie mogę tego zrobić, to znaczy ty rozumiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Nie, nie rozumiem.

– Musieliby tam poznać całą prawdę! – wyszeptał sycząco i piskliwie.

Och, na miłość boską... – W porządku – powiedział Wayne. – Ale mam nadzieję, że tego mu nie powiedziałaś.

– Nie! Oczywiście że nie.

– Po prostu mu odmówiłaś.

– Po prostu odmówiłem.

– A co on na to odpowiedział?

– Że jeśli nie zrobię czegoś, by znaleźć pomoc, jeśli nie wezmę się w garść, anuluje umowę i zażąda zwrotu zaliczki. Jednej czwartej, już dostałem tę jedną czwartą. Ostatnim razem moja połowa to była tak naprawdę jedna czwarta za Dwie twarze oraz jedna czwarta na poczet nowej książki.

Dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Mnóstwo pieniędzy do zwrotu. – Zrobiłby to? Myślałem, że jest twoim kumpel.

– Bo jest. Uważa, że musi to zrobić właśnie jako mój kumpel. Więc musiałem coś wymyślić, rozumiesz, cokolwiek. Powiedziałem mu: „Wayne, on mi pomoże”. – Głos Bryce'a znów opadł do szeptu: – Jak ostatnim razem.

– Och – odparł Wayne – kogo teraz mam zabić?

– Co?! – Szok wyraźnie słyszalny w głosie Bryce'a był tak komiczny, że Wayne nie mógł powstrzymać śmiechu, a Bryce rzucił głęboko urażony: – To nie jest zabawne.

– Wybacz, mnie wydawało się zabawne. Więc jaki masz plan? Już ci oddałem Dwie twarze. Czyli Dublet domina.

– Mam trochę szkiców, pomysłów na książki, ale Joe twierdzi, że są do niczego, jak ten wywiad...

– A więc wspominał ci o tym.

– Tak, ale nic się nie stało, rozumiem, dlaczego musiałeś mu powiedzieć. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, poprawiając go. Napisałeś świetny wywiad, żałuję tylko, że mnie przy nim nie było.

Wayne znów się roześmiał. – A tobie się wydaje, że można coś z tego uratować, tak? Któryś z tych pomysłów.

– Mam nadzieję. Nie przeglądałem ich, bałem się do nich zaglądać, ale ty mógłbyś to zrobić. Chodzi o to, że jeśli się zgodzisz, jeśli zechcesz mi pomóc, Joe zostawi mnie w spokoju. I wtedy mógłbyś to przejrzeć, sprawdzić, czy coś uda się wykorzystać, żebyśmy wreszcie mogli zrobić jakiś postęp.

W głowie Wayne'a zaczęły się pojawiać nowe możliwości. – Spróbuję, Bryce – zdecydował.

– Och, Wayne, dziękuję, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, wiedziałem.

– Oczywiście, że możesz.

– Joe chciał, żebyś się do niego odezwał, powiedział mu, co zamierzasz zrobić – dodał Bryce. – Dzisiaj nie będzie go w biurze, pojechał prosto do domu. Mógłbyś zadzwonić do niego koło piątej.

– Zadzwonię.

– A mógłbyś przyjechać, mógłbyś się tu jutro pojawić?

Nie chcąc porzucić scenariusza właśnie dlatego, że chciał go porzucić, Wayne odparł: – Mam tutaj własną robotę, Bryce. Raczej w sobotę. Mógłbym zabrać ze sobą Susan?

– Jasne! Zostańcie u mnie, zostańcie na weekend, mam zaproszenie na przyjęcie w sobotę, będzie tam trochę ludzi, powiem im, że przyprowadzę swoich gości.

– Nie musisz tego robić.

– Ależ nie, to tutaj normalne – wyjaśnił Bryce. – Ludzie zawsze przyprowadzają swoich gości, a ja zawsze byłem dziwakiem, bo nigdy z nikim nie przychodziłem, będziecie moimi pierwszymi gośćmi.

– W takim razie okej – stwierdził Wayne. – Och, i Bryce, możesz mi przefaksować jakieś wskazówki, jak do ciebie dojechać? Chcę wypożyczyć samochód.

– Nie ma sprawy. I zadzwoń do Joego, dobrze? On się martwi.

– Powiem mu, że może przestać. – Wszyscy przestaniemy się martwić, pomyślał Wayne, bo w jednej chwili zrozumiał, co się teraz stanie. Dokończy Bratnie widmo. Bratnie widmo ujrzy światło dnia. Bratnie widmo trafi na listy bestsellerów. Bo teraz miał o wiele lepszy pseudonim od Tima Fleeta:

Bryce Proctorr.

Tam jest! – krzyknęła wyjątkowo podekscytowana Susan. – To tamten dom!

– Tak, to tamten – zgodził się Wayne, kiedy w wynajętym lexusie z chrzęstem żwiru pod kołami zbliżali się powoli do budynku. Była jedenasta rano chłodnego, słonecznego dnia, kolumny od frontowej strony lśniły białą jak na starej, południowej plantacji.

– Byliśmy tak blisko, prawda? – powiedziała Susan. – Tamtego dnia, kiedy go szukaliśmy.

– Praktycznie nie widać go z drogi.

– Może przejechaliśmy obok. Przejechaliśmy?

– Nie pamiętam. – Wayne zaparkował po lewej stronie garażu, by korzystające z niego samochody mogły swobodnie wjeżdżać i wyjeżdżać. Oboje zabrali ze sobą po niewielkiej torbie z rzeczami, które teraz wyciągnęli z auta, a kiedy zbliżali się do drzwi wejściowych, otworzyła je z uśmiechem starsza kobieta w ciemnoniebieskiej spódnicy oraz różowej, marszczonej bluzce. – Dzień dobry – przywitała się. – Zapewne państwo Prentice. – Przypominała bardziej wdowę na statku rejsowym niż gospodynię.

– Domyślam się, że pani Hildebrand – odparł Wayne. – Rozmawialiśmy przez telefon.

– Tak, oczywiście, proszę wejść.

Weszli do domu. Podczas gdy Susan rozglądała się lśniącymi oczami, pani Hildebrand powiedziała: – Pan Proctorr wyszedł, lubi się przechadzać wokół domu. Pokażę państwu pokój.

– Wiem, gdzie go znaleźć – zapewnił ją Wayne. – Już tutaj byłem.

– W takim razie wróć do przygotowywania lunchu. Mam nadzieję, że lubią państwo młodego kurczaka?

Wayne zaśmiał się. – Może pani na nas liczyć, pani Hildebrand.

Ruszył przodem na piętro do dużego, słonecznego pokoju gościnnego, z którego korzystał ostatnim razem. Kiedy znaleźli się w środku i zamknęli drzwi, Susan powiedziała: – Tu naprawdę wygląda jak w jego mieszkaniu.

– Mówiłem ci, ale on tego nie widzi.

– Dziwny człowiek – stwierdziła Susan i zerknęła za okno. – Idzie.

Wayne podszedł bliżej, by również spojrzeć na zewnątrz. Wyżej na wzgórzu znajdował się basen, niemal na poziomie ich pokoju, dalej pole, a na końcu gęsty las wspinający się w górę wzniesienia. Bryce szedł przez trawnik, okrażając basen, ubrany w duży, ciężki czarny płaszcz z drewnianymi kołeczkami zamiast guzików. Trzymał ręce w kieszeniach, a poły rozpiętego płaszcza łopotały na wietrze. Miał gołą głowę, na jego nieruchomej twarzy malował się wyraz zaciętości, jak u człowieka, który próbuje sobie przypomnieć coś ważnego.

– Zejdę na dół, żeby z nim porozmawiać – powiedział Wayne.

– A ja rozpakuję rzeczy – odparła Susan. – Spotkamy się na lunchu.

Wayne zszedł po schodach i zastał Bryce'a zmierzającego w jego stronę, wciąż w płaszczu, z rękami wciąż w kieszeniach. Jego twarz pojaśniała, gdy dostrzegł Wayne'a. Wyjął prawą rękę i wyciągnął ją do powitania, kiedy zbliżał się ze słowami:

– Wayne! Wspaniale cię widzieć.

– I ciebie też – powiedział Wayne. Zauważył, że Bryce wciąż jest podekscytowany, ale panuje nad emocjami.

Bryce ściągnął płaszcz, jakby do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że ma go na sobie, i przewiesił go przez lewe przedramię. – Do lunchu została jakaś godzina, może więcej. Chcesz zerknąć na te szkice teraz, czy później? – zapytał. – Dobrze wiem, że z Nowego Jorku to kawał drogi.

– Nie, było naprawdę przyjemnie, wynajęliśmy porządne auto. Zerknijmy na te szkice.

– Żeby mieć już te nerwy za sobą, co? – stwierdził Bryce, po czym wyszczerzył się szeroko do Wayne'a i klepnął go niezgrabnie w ramię.

– Zgadza się – odparł Wayne.

Razem wrócili na piętro i przeszli do gabinetu, gdzie Bryce rzucił płaszcz na czarną skórzaną sofę.

– Wiesz chyba, jak to wszystko obsługiwać – powiedział.

– Jasne.

– Tam są, te szkice. Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia cztery, ale jeden zabrał Joe.

– Chyba nie ten najlepszy – rzucił Wayne.

Bryce wybuchnął śmiechem nieco zbyt głośno. – Nie szukał najlepszego – wyjaśnił. – Nie wtedy. Słuchaj, będę się czuł tutaj dość niezręcznie,

kiedy ty będziesz to czytał. I dla ciebie też by było lepiej, gdybym wyszedł.

– Jasne.

– Zobaczymy się na lunchu – powiedział Bryce, po czym wyszedł.

Wayne przysunął się do biurka, a Bryce znów się pojawił z uśmiechem zażenowania drżącym na ustach. – Mój płaszcz... – Wskazał płaszcz, podniósł go, pomachał i w pośpiechu wyszedł.

Odchodzi, kiedy dowiaduje się, że jego żona zmieniła płeć wiele lat przed ich pierwszym spotkaniem. Ona go ściga, a on ucieka do Kanady, gdzie zostaje mnichem w klasztorze, który w tajemnicy pomaga przemycać do Stanów Zjednoczonych uciekinierów politycznych. Zakochuje się w chińskiej dziewczynie, która była twarzą filmów propagandowych a teraz chce zostać modelką w Nowym Jorku. Chcąc go ścigać, jego żona musi udawać mężczyznę. Ten szkic był najkrótszy. Niektóre były rozpisane bardziej szczegółowo, ale większość nie przekraczała objętości trzech, czterech stron. Wszystkie nadawały się do śmieci.

Wayne nie był zaskoczony, nie teraz, kiedy wiedział, jak zareagował Joe, lecz tak czy inaczej czuł się przygnębiony. Co się stało z Bryce'em? Czy naprawdę chodziło o śmierć Lucie, poczucie winy, niemożność zamknięcia tej sprawy raz na zawsze, ponieważ nie zrobił tego sam?

Czy może to się zaczęło jeszcze wcześniej, może nie miało związku z Lucie. Może to Lucie postanowiła go opuścić, bo zaczął dziwadzić, a nie odwrotnie.

O cokolwiek by jednak nie chodziło – i jakich korzyści Wayne by z tego nie czerpał – cała sytuacja wciąż wydawała się smutna i przygnębiająca. Lubił Bryce'a, lubił go w dawnych czasach w ten niezobowiązujący sposób, później z daleka podziwiał i zarazem mu zazdrościł, a przez ostatnie sześć miesięcy jego uczucia wobec niego bezustannie się zmieniały. Wciąż jednak identyfikował się z Bryce'em jako pisarzem, gawędziarzem i rozumiał ból wynikający z tego, że nowe historie już się nie pojawiały. Kiedy stagnacja była wszystkim, co mógł znaleźć.

Wiedział, co powinno się teraz wydarzyć, ale wiedział też, że dotarcie do celu będzie niezwykle delikatną kwestią. Pomimo reakcji Joego i pomimo własnego wewnętrznego przekonania, które nie pozwalało mu zaglądać do tych szkiców, Bryce liczył, że jest wśród nich coś sensownego, iskierka nadziei, cieniutki fragment nici, za którym można podążyć, by dotrzeć do całkowitej, pełnej, wartościowej powieści.

Nie. W umyśle Bryce'a nie było nic prócz stagnacji, skorup, przemieszanych szczątków. Tylko że Wayne nie mógł mu tego powiedzieć ani nie mógł pozwolić, by Bryce sam zaczął to podejrzewać. Zdesperowany Bryce Proctorr nie był mu potrzebny, stałby się bezużyteczny. Wayne potrzebował Bryce'a Proctorra, który wciąż żył nadzieją.

Patrząc na ekran monitora, momentami dostrzegał swe niewyraźne odbicie. Dopiero kiedy się wreszcie odwrócił, rzucił na głos: – Muszę podsunąć mu powód, żeby zrobił to, czego ja od niego potrzebuję. Muszę podsunąć mu powód, który będzie jego własnym.

Pani Hildebrand wpłynęła nie tylko na posiłki, wpłynęła również na jadalnię. Srebrne sztuce na kredensie lśniły jak świeżo wypolerowane, wiosenne kwiaty na stole zdawały się mienić własnym, wewnętrznym blaskiem, nawet zastawa wyglądała lepiej, bardziej fantazyjnie niż praktyczne talerze i miski, które Bryce wyciągnął ostatnim razem dla siebie i Wayne'a.

Wayne wszedł do jadalni jako ostatni. Pozostała dwójka siedziała już przy stole, starając się utrzymać niezręczną konwersację i oboje z ulgą powitali fakt, że nie są już sami. Wayne zdawał sobie sprawę, że Bryce nie dba o Susan, zaś Susan zachowywała wobec niego dystans. Było mu z tego powodu przykro, lecz nie wiedział, jak temu zaradzić. On i Susan będą tu częstymi gośćmi, jeśli wszystko ułoży się tak, jak na to liczył.

Może w końcu Bryce i Susan przywykną do swojego towarzystwa, przestaną wprawiać się wzajemnie w zakłopotanie.

Oprócz ulgi w oczach Bryce'a pojawiła się nadzieja, ale Wayne tylko pokręcił głową. – Przykro mi – powiedział i odwrócił się, by nie patrzeć na bolesną reakcję.

Usiadł, a pani Hildebrand wniosła trzy młode kurczaki z przystawkami, po czym zapytała, czy ktoś ma ochotę na wino. Wayne spojrział na Bryce'a, czekając na jego odpowiedź, ale Bryce powiedział: – Ja dzisiaj podziękuję, pani Hildebrand.

Wtedy Wayne również podziękował, a za nim Susan.

Gdy pani Hildebrand wyszła z jadalni, Bryce zapytał: – Nic? Żaden z pomysłów?

Wayne znów pokręcił głową. – Przecież już to wiedziałeś – stwierdził. – Wiedziałeś, kiedy powiedział ci o tym Joe. Wiedziałeś nawet wcześniej, kiedy nie chciałeś ich nawet oglądać...

– Pyszne – wtrąciła Susan.

– Powinniśmy jeść – orzekł Bryce i podniósł swoje sztucce.

Jedli przez chwilę, aż w końcu Wayne postanowił się odezwać: –

Mam pewną sugestię, jeśli cię to interesuje.

– Tonący brzytwy się chwyta.

– Cóż, mam nadzieję, że to nie jest brzytwa. Moim zdaniem problem polega na tym, że jesteś tu całkiem odizolowany – wyjaśnił Wayne.

– To się zaczęło przed moją przeprowadzką – odparł Bryce.

– Te szkice?

– Nie, masz rację, szkice pisałem tutaj.

– Zanim tu przyjechałeś – kontynuował Wayne – byłeś rozkojarzony przez wszystkie wydarzenia, ale teraz odciąłeś się od świata, żyjesz tu niemal jak na wygnaniu.

– Moja Elba – stwierdził Bryce ze śmiechem. – Nie mogę już wrócić, rozumiesz, nie mogę odzyskać mieszkania.

– My w nim mieszkamy – powiedziała Susan.

Wayne i Bryce spojrzeli na nią w zdumieniu.

– Wy w nim mieszkacie? – upewnił się Bryce.

– Wayne o niczym ci nie wspominał? – zapytała spokojnie. Oczywiście wiedziała, że nie wspominał. – Kiedy się dowiedzieliśmy, że zostawiasz to mieszkanie – tłumaczyła – pojechaliśmy je obejrzeć, nie dla nas, po prostu szukaliśmy czegoś większego i chcieliśmy się zorientować w cenach wynajmu, powierzchni i tak dalej. I od razu się w nim zakochaliśmy. Wprowadziliśmy się do niego, a Joe i Shelly wprowadzili się do naszego.

– Nie chcą opuszczać Greenwich Village – dodał Wayne. Ufał, że Susan wie, jaki będzie najważniejszy krok, ale nagle sytuacja stała się bardzo delikatna. Czy naprawdę to był dobry moment, by tak ją komplikować?

Bryce spoglądał to na Wayne'a, to na Susan. – Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

– Czuję się... Czuję się niezręcznie, jakbym zabierał coś, co należało do ciebie. – Wayne uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, właśnie z tego powodu nie wziąłbym tego mieszkania, ale Susan była nim zauroczona.

– Nie krępuje nas, że Joe i Susan wzięli nasze mieszkanie – zauważyła Susan.

– A co z moimi meblami?

– Pozbawamy się ich, wymieniamy kawałek po kawałku – wyjaśniła. – Jeśli jest tam coś, co chciałbyś...

– Nie, nie, nie – przerwał jej Bryce. – Nic stamtąd nie chcę, niech tam to zostanie. – Z drżącym, płaczkliwym uśmiechem, który ostatnio stał się jego nierozzerwalną częścią, powiedział: – Mógłbym je odwiedzić. To miejsce. Was dwoje, kiedy znów będę w mieście.



W tym zdaniu Wayne zwiertzył szansę powrotu do pierwotnego tematu. – Bryce – zaczął – kiedy ty po raz ostatni byłeś w mieście?

– Co? Nie wiem, dość dawno.

– Jakoś w lutym, zgadza się? Na początku lutego. Wyjechałeś, zanim skończył ci się wynajem.

– Mniej więcej w tym okresie – przytaknął Bryce. – Słuchajcie, ten kurczak jest świetny, jeśli nie będziemy jeść, pani Hildebrand zacznie dopytywać, co z nim nie w porządku.

Znów zaczęli jeść, ale Wayne cały czas myślał o rozmowie, o kierunku, jaki chciał jej nadać, i o tym, jak to zrobić. W końcu powiedział: – Jesteś tutaj odcięty od świata, do tego to się sprowadza. Potrzebujesz aktywności, musisz się pozbierać do kupy.

– Mieszkanie w Nowym Jorku w niczym mi...

– Nie o to chodzi – przerwał mu Wayne. – Chodzi mi o to, że moglibyśmy pracować razem, tak jak opowiadałeś Joemu. Tylko że tym razem będziemy to robić naprawdę.

Bryce wziął do ust kawałek kurczaka, przeżuł, zmarszczył brwi i zapytał: – Jak?

– Będę przyjeżdżać w każdy weekend. Żeby rozmawiać. Ty w ciągu tygodnia myślisz, robisz notatki, a w weekendy omawiamy twoje pomysły, nadajemy im kształt, pomagamy ci skupić myśli.

– Skupić – powtórzył Bryce. – Tego słowa użył Joe. A może to byłem ja.

– Właśnie tego potrzebujemy. Może Susan przyjeżdżałaby ze mną od czasu do czasu.

– Jasne – powiedział obojętnie Bryce. – Jeśli nie będzie się nudzić.

– A kiedy uruchamiasz basen? – zapytała Susan.

Wayne zauważył, że spojrzenie, którym obrzucił ją Bryce, było niemalże wrogie. – Z początkiem maja.

– Świetnie. Kocham pływać, w wodzie czuję się jak ryba.

Tymczasem Wayne, chcąc pociągnąć swój pomysł jeszcze dalej, powiedział: – Bez względu na to, jak długo to potrwa, w każdy weekend będziemy się spotykać i doskonalić twoje pomysły. Jesteś bardzo utalentowanym facetem, z wielkimi sukcesami, po prostu wypadłeś z rytmu, ale we dwoje pomożemy ci się pozbierać. Bez względu na to, jak długo to potrwa.

Powtórzenie tego ostatniego zdania wreszcie dało oczekiwany rezultat.

– Ale ja nie mogę tego przeciągać w nieskończoność, rozumiesz? – mówił Bryce. – Joe powiedział, że mam już roczne opóźnienie. Nie możemy siedzieć tu sobie w weekendy i bez końca gadać. Ja potrzebuję książki.

– Ja mam książkę – rzucił Wayne.

Bryce spojrział na niego uważnie. – Słucham?

– Pół książki – poprawił się Wayne. – Ostatnio nad nią nie pracowałem, bo zajmowałem się artykułami dla magazynów, żeby coś zarobić. Ale w poniedziałek mógłbym do niej wrócić. Tym ja mógłbym się zajmować w tygodniu, podczas gdy ty będziesz pracować nad pomysłami. I w każdy weekend będę ze sobą przywozić to, co zrobiłem, żebyśmy mogli to przejrzeć, i przejrzeć twoje pomysły, a kiedy będziesz gotowy, zaczniesz pisać własną książkę.

– A co z twoją? – zapytał Bryce.

– Tak samo, jak ostatnio.

– Masz na myśli, że to będzie książka, którą oddamy Joemu. Twoja książka.

– To jedyna, jaką mamy – zauważył Wayne. – Coś przecież musisz Joemu dać, wiesz o tym. Więc to będzie tylko środek zastępczy do czasu, aż znów staniesz na nogi.

Bryce zaczął się krzywić jak mały chłopiec, który zaraz wybuchnie płaczem. Ale nie płakał, powiedział: – Chciałem własną książkę.

– To będzie twoja książka – zapewnił go Wayne. – Nie siedziałem nad nią od dawna, bo nie miałem co z nią zrobić. A teraz mam. Jest twoja, tak jak ostatnim razem, z tą różnicą, że teraz dostaniesz tylko połowę, wniesiesz w nią swój wkład, to też ci pomoże, skupienie się na fabule i postaciach. W każdy weekend będziemy rozmawiać o tej książce i o twoich pomysłach na następną.

– Chciałem własną książkę – powtórzył Bryce. – Właśnie po to do ciebie zadzwoniłem, właśnie to powiedziałem Joemu, właśnie tego chciałem. Tym razem własnej książki. Chciałem, żebyś pomógł mi wytrzasnąć skądś książkę, ale moją książkę.

– Pomogę – zapewnił go Wayne. – Obiecuję. Nie mamy teraz dość czasu, żeby pisać powieść od zera, sam doskonale o tym wiesz, nie mamy nawet pomysłu, a Joemu kończy się cierpliwość, więc ta będzie nasza wspólna, będziemy współpracować i...

– Ta książka nie jest moja.

– Następną będzie. Obiecuję.

Bryce przez długą chwilę obserwował Wayne'a w milczeniu, po czym zapytał:

– Obiecujesz?

29

Bruce powiedział: – Facet jest obwoźnym handlarzem. Sprzedaje sprzęt komputerowy dla szkół, podróżując po całym północnym wschodzie. W jednym z okręgów członkowie kuratorium mają siedzibę w szkole, rozumiesz, w lokalnym miasteczku akademickim.

– Aha. – Wayne kiwnął głową.

– Facet wychodzi stamtąd późnym popołudniem, kiedy zamykają szkołę – ciągnął Bryce – i spotyka na parkingu kobietę, nauczycielkę, jest nieszczęśliwa, niedawno rozwiedziona, pyta ją, czy nie miałaby ochoty na drinka, a ona się zgadza, idą do restauracji i kończą w jego pokoju motelowym.

– Aha.

– W nocy ona znika, a on jedzie do następnego miasta, idzie do następnego motelu i ona tam jest.

– Aha.

– Przywiązała się do niego, chce go śledzić, ma obsesję, wierzy, że tylko on może ją wybawić. Ale on ma żonę.

– Aha.

– Idą na kolację, on próbuje przemówić jej do rozsądku, ona jednak nie słucha, wracają do motelu, jest późno, ciemno i nagle on zaczyna ją tłuc.

– Ha! – parsknął Wayne.

– Nie może przestać – opowiadał dalej Bryce – tłucze ją i tłucze, aż ona umiera. Facet wraca do motelu, bierze prysznic, pozbywa się ubrań, źle śpi.

– Aha.

– Nikt nie wie, że oni się kiedykolwiek spotkali. Nikt nie wie, że ona go śledziła, nie ma żadnego powiązania, nigdy go nie złapią.

– Jasne.

– Więc on musi jakby przechodzić przez to wciąż na nowo – tłumaczył Bryce. – Tę scenę, zabijanie, odtwarza to raz za razem, odgrywa na różne sposoby, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie, ale żadnego nie ma.

– Nikt go nie ściga – stwierdził Wayne.

– Nie, jest tylko on – przytaknął Bryce. – Jak Zbrodnia i kara albo Nędznicy, tylko że tutaj nie ma śledczego Porfirego czy Javerta. On jest swoim własnym nemezis, ściga samego siebie.

– I co robi, kiedy się już złapie? – zapytał Wayne.

Bryce rozumiał zawartą w tym pytaniu kpinę, ale ją zignorował. – Pojedzie do rodziny tej kobiety – odpowiedział. – Odda się w ich ręce.

- Dlaczego?
- Bo nie może tego znieść. Ale oni nie chcą go słuchać, siostra i brat zamordowanej, nie chcą na nowo rozgrzebywać sprawy, denerwować rodziców, nie chcą, żeby ich dzieci wiedziały, że ona zginęła z powodu seksu z nieznanym, na punkcie którego miała obsesję. Więc go zabijają.
- Kto?
- Siostra i brat – wyjaśnił Bryce. – Maltretują go na śmierć, i to już koniec. Teraz on wie, jak to jest, wie, jak ona się czuła. Rozumiesz? Wayne odchylił się i potrząsnął głową. – Nie wiem – odparł. – On w ogóle z kimś rozmawia?
- To wszystko dzieje się w środku. W jego wnętrzu.
- Joemu zależałoby na akcji. I czytelnikom. Czytelnicy oczekują od ciebie czegoś innego.
- Och, będzie też i akcja. Chodzi tylko o to, że ta główna sprawa rozgrywa się w jego głowie.
- W porządku. – Wayne kiwnął głową. – Dlaczego nie. Może mamy tu jakiś początek. Tylko że zależałoby mi na kimś, z kim ten facet mógłby rozmawiać, żeby czasem wydostać się z jego głowy.
- Chyba dałoby się coś takiego zrobić – odparł Bryce.
- I chciałbym wiedzieć coś więcej na temat akcji. Słuchaj, w przyszłym tygodniu spróbuj to naświetlić, zapisz na dyskietce, rozwiń odrobinę, a w następny weekend będziemy mogli to przejrzeć.
- W porządku – powiedział Bryce.
- A w międzyczasie mógłbyś to przeczytać. Bratnie widmo, pierwsza połowa.
- W porządku.
- Przeczytałeś maszynopis?
- Tak, jest dobry, ta cała Gwatemala to naprawdę świetna rzecz.
- Będziemy musieli pozmienić kilka rzeczy – powiedział Wayne – bo korzystałem z tego tekstu podczas pisania artykułu dla „New York Review of Books”. Pokażę ci, czego nie wolno nam zostawić, może popracowałbyś nad tym odrobinę. To znaczy jeśli w ogóle chcesz nad tym pracować.
- Och, pewnie – odparł Bryce. – To jest świetne, chociaż mam kilka pomysłów. – Zaśmiał się i potarł lewą dłonią twarz. – Tylko że nie chcę popełnić kolejnego błędu z Henrym i Eleanor.
- Nie przejmuj się tym – uspokoił go Wayne. – Zawsze możemy przedyskutować zmiany, odkręcić to i owo. Ale co z tą drugą książką? O facecie, który zabił nauczycielkę?
- Och, nie. – Bryce machnął ręką. – Tylko nie to.
- Słucham? Miałeś tam coś dopisać, rozwinąć pomysł. Akcję, kogoś do dialogów...
- Zapomnij o tym. Przeczytałem to i przyznałem ci rację, to jest zbyt introspekcyjne, więc mam coś innego.
- Okej, w porządku.
- Chcę skorzystać z tego samego bohatera – powiedział Bryce – z tła, sprzedawanie komputerów do szkół, podróże i tak dalej, ale w zupełnie innej historii.
- Okej – zgodził się Wayne. – To dobry bohater – sprzedawca, taki na czasie z tymi komputerami, elektroniką w szkołach, ale zarazem klasyczny tułacz.
- Zgadza się. Książkę otwiera scena, kiedy facet jedzie do szpitala. Z początku nie wie nawet, kim jest.
- Aha.
- Chodzi o to – ciągnął Bryce – że ktoś go pobił, niemal na śmierć, i on dotarł do szpitala w ostatniej chwili.
- Aha.
- Zaczyna sobie wszystko przypominać oprócz tego jednego wydarzenia. Pobicia. O tym nic nie pamięta.

– Aha.

– To zresztą dosyć częste, umysł wypiera traumatyczne wydarzenia – wyjaśnił Bryce.

– Tak, wiem. – Wayne kiwnął głową.

– A zatem on nie wie, kto to zrobił i dlaczego. Nie wie, czy ktoś nie czeka na niego na zewnątrz, by dokończyć robotę.

– Aha.

– Więc kiedy wychodzi ze szpitala – mówił Bryce – zaczyna grzebać w przeszłości, chce dotrzeć do momentu pobicia, zrozumieć go.

– Aha.

Bryce obserwował Wayne'a w milczeniu.

– I? – zapytał Wayne.

– To wszystko. To znaczy wszystko, co na razie mam.

– A kto w końcu go pobił? I dlaczego?

– Właśnie na to jeszcze nie wpadłem – odparł Bryce. – Zastanawiałem się nad tym w tygodniu, kiedy pracowałem. Czy spodoba ci się ten, no wiesz, punkt wyjścia.

– Pewnie, to dobry punkt wyjścia – stwierdził Wayne – ale potrzeba czegoś więcej.

– Och, wiem.

– I to musi wyjść od ciebie, Bryce. Wiesz o tym. Jeśli ja powiem, że pobił go ten czy tamten człowiek z tego czy innego powodu, to już nie będzie twoja książka. A przecież właśnie o to chodzi, żeby to była twoja książka.

– Och, wiem, wiem. – Bryce uśmiechnął się. – Będzie moja, a ty musisz mi pomóc, żeby doszła do skutku.

– Absolutnie. A jeśli chodzi o tę drugą...

– Widziałem, przyniosłeś kolejne strony.

– Wspomniałem o niej Joemu.

Bryce poczuł lekkie ukłucie. – Widziałeś się z Joem?

– Chciał wiedzieć, jak się dogadujemy – wytłumaczył Wayne. – Powiedziałem mu, że znalazłeś coś, co według mnie jest całkiem niezłe, co może się nadać i że nad tym pracujesz, a on chciał wiedzieć, kiedy zobaczy jakies strony.

– Nie pokazuję Joemu stron, pokazuję mu gotową książkę.

– Tym razem będzie się czuł pewniej, jeśli zobaczy strony. Powiedziałem mu, że za kilka tygodni powinien mieć ich wystarczająco wiele, by mu je pokazać. Możesz mu wysłać jakies sto stron za kilka tygodni, powiedzmy w połowie maja.

Bryce'owi nie przypadł do gustu ten pomysł. – Nigdy tak tego nie załatwialiśmy – upierał się.

– Gdy tylko Joe zobaczy, że znów pracujesz, na pewno się uspokoi – zapewnił go Wayne. – Sam dobrze wiesz, że ta sytuacja nie jest normalna. Przy następnej książce, twojej książce, wszystko wróci do normy.

– Ale tym razem muszę pokazać mu strony – stwierdził Bryce.

– Tylko po to, by go uspokoić.

W następną środę, w pierwszym tygodniu maja, przyjechała ekipa uruchomić basen. Bryce wyszedł na zewnątrz i stanął z boku, by przyglądać się ich pracy. Woda wyglądała nieapetycznie, kiedy ściągnęli pokrywę, oleista, szara i z metalicznym połyskiem, ale wiedział, że chemikalia w ciągu kilku dni załatwią sprawę. Kiedy będzie już czysta, włączy podgrzewacze. W sobotę mógłby popływać, a póki co prognoza była obiecująca: słonecznie, ciepło.

Bryce zrozumiał, że historia o sprzedawcy komputerów, który ląduje w szpitalu, nie wypali. Nie potrafił wymyślić, kto i dlaczego pobił głównego bohatera oraz jak miałyby on trafić na trop napastnika. To była droga donikąd, ślepy zaułek. Do soboty musiał wymyślić coś innego, coś nowego, coś lepszego.

Za to Bratnie widmo wyglądało dobrze, bardzo dobrze. Bryce'owi podobało się to, co Wayne robił z oryginalnym pomysłem; widział mniej więcej, dokąd zmierza całość, i bardzo chciał uczynić tę książkę tak dobrą, jak to tylko możliwe. Spędzał czas na rozmyślaniu o fabule, zupełnie jakby była jego własna, i z przyjemnością przesiadywał przed komputerem, dłubiąc w tekście. Nie musiał robić zbyt wiele, bo to, co dostał, samo w sobie było całkiem niezłe, a ponadto każdą zmianę miał omawiać z Wayne'em, więc wolał nie wprowadzać ich bez solidnego uzasadnienia. Kiedy jednak siedział nad tą książką, czuł się dobrze, zupełnie jak dawniej przed komputerem, gdy opowieść posuwała się naprzód.

Wykopują basen, pomyślał, i natrafiają na stare indiańskie cmentarzysko. Na świętą indiańską ziemię, a grupa radykalnych Indian atakuje dom, by go puścić z dymem...

Bryce przetarł twarz lewą ręką.

30

Późnym majem Wayne i Joe poszli na wspólny lunch, by omówić pierwsze strony Bratniego widma.

– Robisz z Bryce'em cuda – stwierdził Joe.

– To on sam – odpowiedział Wayne. – Po prostu przez jakiś czas nie mógł się odnaleźć, pogubił się, bo zbyt wiele rzeczy trafiło mu do głowy. Potrzebował innego pisarza, kogoś, kto zna temat, kto wie, jak to jest, żeby z nim siedział, rozmawiał i słuchał. I wreszcie się odblokował.

– Bez wątpienia.

– Założę się, że ta książka wychodzi spod jego pióra szybciej niż kiedykolwiek.

– Wiem tylko tyle, że to jest Bryce Proctorr u szczytu możliwości – przyznał Joe. – Jestem ci bardzo wdzięczny, Wayne.

– Cieszę się, że mogę pomóc.

– Mam kilka uwag – ciągnął – i pomyślałem, że byłoby łatwiej przedyskutować je z tobą, a ty przekażesz je Bryce'owi. Wiem, że on nie lubi teraz jeździć do miasta.

Wie, pomyślał Wayne. Wie, chociaż wolałby nie wiedzieć. Dla niego liczy się marka i tak długo, jak ta marka pozostaje mocna, wszystko jest w porządku. Lubi Bryce'a i lubi mnie, a jeśli potrafi uczestniczyć w naszym przedsięwzięciu, nie przyznając tego przed samym sobą, to w czym problem? Ani reputacja Bryce'a, ani jego dochody nie doznają uszczerbku, a ja zyskuję więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Jakże są zatem złe strony? Nie ma żadnej.

Wayne przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy spotkał Joego, opowiedział mu o swoim pseudonimie literackim, a Joe odparł, że jeśli nawet ma na liście jakieś dziewice po renowacji, to wolałby o tym nie wiedzieć. A zatem wszystko grało – miał jedną i wolał nic o niej nie wiedzieć.

Susan pływała w basenie, a oni obaj siedzieli w słońcu na tarasie.

– A więc podoba mu się – powiedział Bryce.

– Był bardzo zadowolony – odparł Wayne – i nie chce więcej stron, masz się tym nie martwić, już wie, że wszystko jest w porządku, po prostu skończ książkę.

– Wszystko jest w porządku – powtórzył Bryce, choć jego głos brzmiał beznamiętnie.

To była ta trudna część, panowanie nad Bryce'em. Gdyby tylko ten człowiek potrafił się zrelaksować i cieszyć z życia, powiedziałby sobie: „Chrzanić to, mam ghostwritera, wziąłem sobie wolne i wciąż dostaję połowę kasy, wrócę do pisania we właściwej chwili”. Tylko że nie potrafił; świadomość, że nie pracuje nad własną książką, przerażała go, tak jakby fakt, że nie pracuje dziś, oznaczał, że nie będzie już nigdy.

Wayne wolał nie zajmować się tym strachem, ponieważ nie chciał wydobywać go na powierzchnię, gdzie obaj ujrzeliby go jak na dłoni i Bryce'owi mogłoby się pogorszyć. Musiał w jakiś sposób sprawić, by nie stracił wiary, mimo że obecnie w ogóle nie pracował.

– Bryce – powiedział – myślałeś ostatnio o tym pomysle z indiańskim cmentarzem?

– Nie, zapomnij o tym, to nie zadziała, to jest, sam nie wiem, zbyt młodzieżowe. Indiańskie napady we współczesnym Connecticut. Zdaje się, że powinienem ich pomalować w barwy wojenne!

– I wsadzić do kanu z kory brzozy – zasugerował Wayne.

– Od Searsa – dodał Bryce. Wydawał się teraz weselszy.

– Więc co masz? – zapytał Wayne.

Bryce przetarł twarz. – Myślę i myślę, i nic nie mogę wymyślić. Nic przez cały tydzień. Lubię pracować nad twoją książką.

– To ci wystarczy?

– Nie!

– Tak sądziłem. Mogę coś zasugerować?

Bryce spojrział na Wayne'a z nadzieją, choć czujnie.

– Po pierwsze – powiedział Wayne – pamiętasz nasz układ, ta historia ma być twoja, musi być twoja, bo inaczej nie będziesz z niej zadowolony.

– Tak, jasne, pamiętam.

– Ale od czasu do czasu mogę coś zasugerować.

– Tak, proszę. Proszę.

– W porządku. Wydaje mi się, że zbyt szybko odpuściłeś pomysł o tym facecie, który morduje nieznaną kobietę. To znaczy ten, gdzie nikt nie wiedział, że on ją poznał.

Bryce uniósł głowę, spoglądając w bok. – Tak myślisz?

W rzeczywistości Wayne wcale tak nie myślał. Miał wrażenie, że ta historia pasowała raczej do kryminału w tanim wydaniu gdzieś około roku 1954; brat zamordowanej powinien być gangsterem związanym z przemysłem hazardowym. Zabijaj mnie powoli – tak brzmiałby tytuł.

Bryce musiał jednak nad czymś pracować lub przynajmniej wierzyć, że pracuje, a ze wszystkich pomysłów i wrywków opowieści, jakie dotychczas proponował, ten wydawał się najspójniejszy. Była w nim fabuła, były postacie i było nawet kilka scen.

Gdyby Wayne'owi udało się sprawić, żeby Bryce skoncentrował się na tej historii i przez jakiś czas przy niej pozostał, wszystko byłoby w porządku. Przynajmniej do chwili ukończenia Bratniego widma, zaakceptowania maszynopisu przez Joego i wypłacenia pieniędzy. Wówczas mieliby z Susan okrągły milion dolarów, które Mark Steiner mógłby zainwestować. Wróć do pisania artykułów, myślał Wayne, Susan zostanie na swoim stanowisku i będziemy żyć we wspaniałym apartamencie w Central Park West. Nawet nie chciał zaczynać kolejnej powieści, bez znaczenia, czy będzie miał pomysł, a zresztą wątpił, by do głowy przyszła mu jakakolwiek nowa historia, jeśli skupi się na publicyście.

A po zaakceptowaniu Bratniego widma Bryce mógł zatonać lub utrzymać się na powierzchni o własnych siłach. Wszystko, co trzeba było zrobić, to przeprowadzić go teraz przez bystrza o rwącym nurcie.

I pamiętać, by nigdy nie tytułować jego pomysłu Zabijaj mnie powoli. Przed nami spokojna woda.

Powiedział więc: – Wydaje mi się, że ta historia ma elementy, które mógłbyś wykorzystać, pomogą ci rozwinąć ten temat, który zwykle poruszasz, o tym, co mogło się stać obok tego, co naprawdę się stało.

– Też to zauważyłeś? – zapytał Bryce. – Tylko że... Nie widzę nic pomiędzy samym morderstwem a wyznaniem winy bratu i siostrze. Tak jak mówiłeś na początku, to jest zbyt... wewnętrzne, on nie ma z kim rozmawiać ani co robić.

– I właśnie tutaj pojawia się moja sugestia – powiedział Wayne. – A co jeśli ten facet spotka brata i siostrę wcześniej? Zaraz po morderstwie. Ale w innym kontekście.

Bryce powoli skinął głową, rozważając pomysł. – Szuka ich – stwierdził.

– Jasne.

– Chce wiedzieć więcej o kobiecie, którą zabił. Zabił, chociaż tak naprawdę nic o niej nie wiedział.

– Dokładnie tak.

– Próbuje się czegoś dowiedzieć od jej rodzeństwa.

– Warto się tym pobawić.

– Ta druga kobieta – powiedział Bryce.

– Jaka druga kobieta?

– Tytuł. Pierwsza kobieta to ta, którą zabił, druga ta, którą chce poznać.

– Dobrze – stwierdził Wayne.

W sobotni wieczór odbyło się kolejne przyjęcie, tym razem w wielkim weekendowym domu ludzi o nazwisku Hendrickson. Bryce miał rację, w tej okolicy tętniło życie towarzyskie. Wayne i Susan natychmiast się w nie wpasowali, prawdopodobnie nawet lepiej niż sam Bryce, bo wśród gości dominowały pary. W szczególności Susan czuła się tu jak w domu, zupełnie jakby przez te wszystkie lata świat trzymał to miejsce specjalnie dla niej, a Wayne promieniał w blasku jej szczęścia. Uwielbiał oglądać Susan radosną.

Wszyscy byli życzliwi, wszyscy dobrze sytuowani i w tej chwili większość uważała Wayne'a oraz Susan za część grupy. „Naprawdę musisz sobie uwić tu gniazdko”, radziło Wayne'owi kilka osób.

W drodze do domu, w bmw Bryce'a, z Susan siedzącą z przodu i Wayne'em z tyłu, Susan powiedziała: – Naprawdę lubię Hendricksonów. Lubię ich wszystkich.

– Ja też – przytaknął Wayne.

– To wspaniali ludzie – zgodził się Bryce.

– Wciąż powtarzają, że powinniśmy sobie coś tutaj kupić – zauważyła Susan.

– Mnie też to mówili – poparł ją Wayne.

– Dlaczego nie? – zapytał Bryce. – Moglibyście to zrobić.

– Tak się składa – odparła Susan – że na początku czerwca biorę dwa tygodnie wolnego. Mogłabym wtedy porozglądać się za jakimś domkiem. Bryce, nie przeszkadzałoby ci, gdybym została u ciebie przynajmniej na kilka dni?

– Możesz zostać na całe dwa tygodnie – zaproponował Bryce. – Przywieź laptopa, Wayne, popracujemy razem.

– Świetny pomysł – stwierdził Wayne. – Ty nad Tą drugą kobietą, ja nad Bratnim widmem.

W sobotę trzy tygodnie później jechali zieloną toyotą land cruiser, którą właśnie kupili. Początek czerwca, oślepiające słońce, w sąsiedztwie już wszyscy mówili o suszy. Pani Hildebrand powitała ich jak członków rodziny i pomogła zanieść bagaże do pokoju gościnnego, gdzie Bryce przeniósł duży stół jadalny, który miał służyć Wayne'owi za biurko, i ustawił go pod jednym z okien wychodzących na basen i zalesione wzgórze. Gabinet Bryce'a znajdował się po tej samej stronie domu, zaraz za łazienką pokoju gościnnego, i rozciągał się z niego taki sam widok.

Po lunchu Susan poszła pływać, zaś Wayne i Bryce usiedli w salonie, by przejrzeć zmiany, które wprowadzili do tekstów w tym tygodniu. Bratnie widmo było już na ukończeniu. Wayne sądził, że zdażą przekazać Joemu gotowy tekst przed czwartym lipca, dzięki czemu mógłby go przeczytać w czasie świątecznego weekendu.

W przypadku Tej drugiej kobiety trudniej było ocenić postępy. W ciągu pierwszego tygodnia Bryce pracował nad książką z szaloną energią, jakby

wreszcie udało mu się uwolnić to, co tak długo w sobie więził. W sobotę tamtego tygodnia przekazał Wayne'owi dwadzieścia trzy strony maszynopisu, na których Lukę Parmalee przeszedł od rozmowy z księgowym kuratorium szkolnego do spotkania z Brendą Wade na parkingu, kolacji i łóżka. Powieści Bryce'a nigdy nie słyndęły z obrazowych scen seksu, ale ta wydawała się wyjątkowo niedbała, jakby autor nie wiedział, czym jest seks, albo nawet nie chciał tego wiedzieć. Poza tym jednak obie postaci były dobre, a dialogi zabawne i wzruszające, podczas gdy odkrywali przed sobą swoje wnętrza.

Wayne nie widział sensu w negatywnej krytyce, ponieważ wydawało się bardzo mało prawdopodobne, by Ta druga kobieta kiedykolwiek doczekała się wydania książkowego. To była tymczasowa praca, która miała zapewnić Bryce'owi satysfakcję aż do chwili ukończenia Bratniego widma, w związku z czym Wayne chwalił go za słodycz i człowieczeństwo Luke'a oraz Brendy, pomijając całą resztę.

W drugim tygodniu spod pióra Bryce'a wyszło dwadzieścia jeden kolejnych stron, lecz tym razem tekst był nierówny, niewyglądony. Przejście od pierwszej wspólnej nocy do spotkania w drugim motelu następowało zbyt gwałtownie i niezgrabnie, w kiepskim stylu pełnym niezręcznych zdań. I podczas gdy w dialogach Lukę pozostawał tą samą osobą – uroczą, odrobinę smutną i niepewną siebie – Brenda nagle przemieniła się w zupełnie inną kobietę – surową, oskarżycielską i intrygancką w bardzo oczywisty sposób. Scena kolacji wyszła nieporadnie i sztywno, a tekst kończył się w momencie, gdy oboje opuszczali restaurację.

W trzecim tygodniu Bryce miał popracować nad sceną morderstwa, ale zamiast tego oddał Wayne'owi plik siedemdziesięciu teraz stron poprawionego maszynopisu.

– Wprowadziłem kilka zmian – powiedział – więc pomyślałem, że powinienś jeszcze raz zerknąć na całość.

Oczywiście Bryce pierwszy skończył przeglądać jedenaście nowych stron Wayne'a, więc zaczął kartkować magazyn, podczas gdy Wayne wciąż czytał. Ta druga kobieta zaczynała się tak samo, jeśli nie liczyć kilku cięć w pierwszej scenie z kupcem, ale za to scena na parkingu została wydłużona, a Brenda już teraz wydawała się odrobinę surowsza niż początkowo, dzięki czemu bardziej przypominała kobietę z drugiego spotkania. Przejście od pierwszego spotkania do drugiego było znacznie dłuższe i lepiej napisane, Bryce wygładził niezgrabności. Kolacja też trwała dłużej, a Brenda nieco spuściła z tonu, dzięki czemu w tej wersji tekstu jej postać właściwie nie zmieniała się pomiędzy scenami. Ponadto w tej wersji Brenda mówiła odrobinę o swoim rodzeństwie, wprowadzając do opowieści ich postaci. Tekst kończył się, tak jak tydzień temu, w chwili gdy para wychodziła z restauracji.

– To wygląda dużo lepiej – powiedział Wayne. – Brenda jest teraz o wiele bardziej spójna. I podoba mi się, w jaki sposób wprowadzasz postacie brata i siostry.

– Tak, czułem, że to będzie dobra zmiana – stwierdził Bryce. – Masz jakieś... hm, masz jakieś wskazówki co do następnej sceny?

– Nie, wydaje mi się, że powinienś robić to tak, jak planowałeś.

– W porządku. – Bryce kiwnął głową, zerkając na plik kartek, które oddał mu Wayne. – Myślę, że chyba teraz usiądę do pracy.

– Ja też zajmę się swoim tekstem. A jakieś uwagi na temat nowych stron?

– Słucham? Ach, twoich. Nie, wszystko w porządku, po prostu płyniesz przez tekst – zaśmiał się Bryce. – Nie potrzebujesz mojej pomocy.

– Świetnie. To znaczy, że możesz się skupić na Tej drugiej kobiecie. Czyż nie byłoby dziwne, myślał Wayne, gdyby mimo wszystko Bryce'owi udało się stworzyć z tego prawdziwą powieść? Wciąż wydawało się to mało prawdopodobne, ale już nie niemożliwe. Może jednak Bryce'owi uda się



doprowadzić rzecz do końca. Wayne miał nadzieję, że się uda. Nie wierzył w to, ale mógł mieć nadzieję.

Ruszyli razem na piętro, do osobnych pokoi. Wayne wyciągnął swojego ThinkPada, nową, małą drukarkę, którą kupił specjalnie na ten pobyt, oraz resztę materiałów, po czym rozłożył je na stole. Wyjrzał za okno – Susan przepływała w basenie kolejną długość.

Podobał mu się pomysł kupienia domu w okolicy, szczególnie takiego z basenem, ale wiedział, że nie musi się śpieszyć. Ten dom był wielki i wygodny, a pani Hildebrand zasługiwała wyłącznie na pochwały. Wayne i Susan mogli tu zostać na dwutygodniowe wakacje i przyjeżdżać w weekendy przez resztę lata. Susan z pewnością by to odpowiadało, zakochała się w tym domu.

31

Lucie zwykle pływała w basenie nago; oboje pływali. Wtedy jednak nie było w tych pokojach nikogo więcej, kto mógłby wyglądać z okien.

Bryce usiadł przy biurku i spojrział w lewo przez okno. Susan robiła kolejną długość. Przez niemal dwa tygodnie pływała dwa razy dziennie, po śniadaniu i po lunchu. Dziś był drugi czwartek ich pobytu w domu, zamierzali wyjechać w niedzielę. I oczywiście wrócić w następny weekend.

Bryce pamiętał nagą Lucie w basenie. Pamiętał, jak woda perliła się na jej włosach łonowych, kiedy z niego wychodziła. Zwykł wówczas mawiać: „Twoja cipka do mnie mruga”, a Lucie wybuchała śmiechem. Seks w wodzie nigdy do końca im nie wychodził, ale kilka razy i tak próbowali. Pamiętał błądy połysk jej skóry, gdy się poruszała. Pamiętał, jak się poruszała.

Susan pływała w dwuczęściowym stroju kąpielowym, nie tak skromnym jak bikini. Miała ich trzy, jeden z wzorem białych gwiazdek na czerwonym tle, drugi cały granatowy i trzeci z wirującymi plamami kolorów przypominającymi kalejdoskop z krwistych plam. Dzisiaj założyła ten z kalejdoskopem. Raz na jakiś czas wychodziła z basenu, by skoczyć z trampoliny. Robiła to sprawnie, bez rozchlapywania wody, ale też bez wyjątkowej gracji.

Zamknął oczy. Czas coś zrobić, czas wrócić do pracy, zaprzestać gry na zwłokę, poczynić jakiś postęp, rozbić mur, kiedy Wayne wciąż znajduje się w pobliżu. To była jego ostatnia szansa i Bryce doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Póki co Wayne wykazywał się wyjątkową cierpliwością, zachęcając go do pracy, choć niezbyt nachalnie, ale Bryce czuł, że ta cierpliwość niebawem się skończy.

Nie mógł dotrzeć do sceny morderstwa. Za każdym razem, gdy się do niej zbliżał – dwoje ludzi idzie ramię w ramię, kłótnia, wrażenie ciemności, odosobnienia, nikogo więcej w okolicy – odpływał myślami, zastanawiał się, co jeszcze zmienić albo usunąć ze stron, które już napisał. Jak chociażby rozpisanie sceny seksu, sprawienie, by była bardziej osobista, prawdziwa, ale nie wulgarna. Zrobił to w poniedziałek. Każdego dnia robił coś innego, próbował nawet przeskoczyć do późniejszych scen, kiedy Lukę poznaje Dillona, brata Brendy, ale to nie działało. Bez tego niezbędnego doświadczenia Lukę nie istniał w późniejszych scenach i Bryce nie wiedział, jak pisać tę postać.

Muszę to zrobić dzisiaj, pomyślał i otworzył oczy, by zobaczyć, jak Susan wyciera się ręcznikiem. Schemat był następujący: wejdzie do środka, żeby wziąć prysznic, a następnie zejdzie do kuchni pogawędzić z panią Hildebrand. Robiła tak każdego dnia.

Wszyscy posługujemy się schematami, pomyślał Bryce, tworzymy wspólnie niewielką społeczność, wszyscy powtarzamy pewne zachowania, aleja muszę napisać dzisiaj scenę morderstwa.

Owinięta ręcznikiem Susan ruszyła w stronę domu, znikając z pola widzenia. Bryce ponownie skupił się na monitorze, z palcami spoczywającymi na klawiaturze.

– Brenda – powiedział, zaciskając dłonie w pięści Czy na pewno? W pięści? Jak w pojedynku boksterskim, wyprowadzanie prostych, sierpowych i podbródkowych? Nie, coś się tutaj nie zgadzało, brakowało brutalności i przemocy. To nie był pojedynek.

zginając palce w szpony

Nie, to ona powinna drapać, szarpać i drapać. Dlaczego Wayne nie miał zadrapań?

Zza ściany doleciał odgłos prysznica. Nie chcąc, by cokolwiek go dekoncentrowało, Bryce skupił się na słowach widniejących na ekranie.

– Brenda – powiedział, zginając palce w szpony,

Ona nie ma na imię Brenda. Czy to stanowi źródło problemu? Jak zatem brzmi jej imię, jeśli nie Brenda?

Bryce trzymał przy biurku między innymi niewielką książeczkę zatytułowaną 4000 imion dla twojego dziecka. Ściągnął ją teraz z półki i zaczął kartkować. Jaka litera? Na pewno nie „L”.

Zrób to później, przykazał sobie. Teraz zmusz się do napisania sceny, przejdź przez nią wreszcie, imiona zmienisz później.

Odkładając książkę na bok, usłyszał pukanie. Kiedy był tu sam, zostawiał drzwi biura otwarte, ale teraz, z gośćmi w domu i kłopotami z koncentracją, wolał je zamykać.

Odwrócił się i zawołał: – Tak?

– Tu Wayne.

– Wejź.

Wayne otworzył drzwi w chwili, kiedy szum prysznica umilkł. – Muszę podskoczyć do Danbury, chcesz pojechać ze mną?

– A czego potrzebujesz w Danbury? – zapytał Bryce.

– Tонера do tej nowej drukarki. – Wayne uśmiechnął się szeroko, rozbawiony i zmieszany zarazem. – Wydawało mi się, że wystarczy do powrotu do Nowego Jorku, ale pracuję szybciej, niż zakładałem. Podjedziesz ze mną? Jeszcze nie widziałeś naszego nowego samochodu.

– Jasne – powiedział Bryce i skinął w stronę monitora. – Pozwól mi tylko...

Wyłączyć to wszystko, chciał dokończyć, ale spojrzał na ekran i zobaczył:

– Brenda – powiedział, zginając palce w szpony,

...i od razu się zorientował, co jest nie w porządku. – Poczekaj sekundę – poprosił.

– Nie ma sprawy.

Bryce dotknął klawiszy.

garbiąc się i zginając palce w szpony. Jego lewa ręka poruszyła się niemal z własnej woli i zacisnęła boleśnie na jej ramieniu.

Ona odwróciła się cofnęła powiedziała...

– Bryce?

Bryce ściągnął palce z klawiatury i zerknął na Wayne'a stojącego w drzwiach. – Chyba powinienem jednak zostać – stwierdził. – Chcę wreszcie skończyć tę część.

– Jasne, w porządku. Jak ci idzie?

– Powoli – odparł. – Powoli, ale do przodu.

– Dasz radę. Na razie.

– Na razie – powiedział Bryce, a zaraz potem pomyślał: okłamuję teraz Wayne'a w taki sam sposób, w jaki zwykłem okłamywać Joego. To samo kłamstwo, te same słowa.

Wayne zamknął drzwi, a Bryce położył palce z powrotem na klawiaturze. Słyszał niewyraźnie odgłos włączonej suszarki.

– Phoebe – powiedział i szarpnął ją za rękę. – Za bardzo na mnie naciskasz.

– Zabieraj to cholerne łapsko – warknęła i zamachnęła się w stronę jego twarzy.

Ona to zaczyna? Dlaczego ona miałaby zacząć? A jeśli zaczyna, to czy przypadkiem ten fakt nie zmienia zupełnie dynamiki całego epizodu? Uniewinnię go, jeśli to ona zacznie, a nie jestem tu po to, by go uniewinniać.

Phoebe. Brzmiało jak dowcip, głupi dowcip na temat jej fobii. Święty Fobian, patron twardych kobiet. Jak twarda jest ta kobieta?

– To jak twarda jesteś, Brenda? – zadrwił, po czym wymierzył jej policzek.

Policzek. Policzek nic nie da, policzek to tylko zniewaga, a nie groźba. Musi zrobić... coś więcej. Musi to wreszcie zacząć.

Powinienem był pójść z Wayne'em, pomyślał Bryce, wyjść z gabinetu, przejechać się lśniącym, nowiutkim samochodem, pomyśleć o... Łatwiej będzie mi myśleć, jeśli na chwilę oderwę się od ekranu.

Zapytaj go. W samochodzie. Powiedz: „Wayne, ale tak zupełnie teoretycznie, jak by się ta walka zaczęła? Jak wyglądałby pierwszy ruch?”.

Wstał i ruszył do przedpokoju, zostawiając drzwi biura otwarte. Przeszedł przez korytarz do swojej sypialni i wyjrzał przez frontowe okno, by sprawdzić, czy land cruiser stoi zaparkowany w tym samym miejscu co zwykle, ale już go nie było. Wayne odjechał.

Bryce wrócił na korytarz. Wciąż słyszał włączoną suszarkę. Dziś był czwartek, dzień wolny pani Hildebrand, która pojechała do Danbury odwiedzić znajomych.

Przeszedł dalej korytarzem i otworzył drzwi pokoju gościnnego. Susan, ubrana w szary szlafrok, siedziała przed toaletką. Zauważywszy ruch w lustrze, odwróciła się w stronę Bryce'a. Wyłączyła suszarkę. – Bryce? O co chodzi?

– Widzisz, Lucie – powiedział – cały problem w tym, że ja naprawdę muszę wiedzieć.

Susan wstała. – Mam na imię Susan – przypomniała mu.

– Już nie.